Łoziński

LEGIONISTA

LEGIONISTA.

Z drukarni Narodowej W. Manieckiego.

BIBLIOTEKA NARODOWA.

TOM 2.

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI. LEGIONISTA.

LEGIONISTA.

POWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI.

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.

WE LWOWIE,

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

1870.

Spis rozdziałów:

I.

OSTATNIE STRZAŁY.

Miasto Lublin, sławna stolica trybunalska, rozgłośne miejsce zjazdów szlacheckich, tak ludne i gwarne zawsze, smutny w czasie naszego opowiadania przedstawiało widok.

Burze wojenne, których widownią była Polska podczas swych ostatnich, krwawych zapasów o niepodległość, przebiegły srogą, niszczącą stopą po nim i jego okolicach. Gospodarstwo wrogów, uwijających się po Polsce z ogniem i żelazem w okrutnej dłoni, dodawało z dniem każdym prawie gruzy do gruzów, zgliszcza do zgliszczów, a pożary, rabunki i gwałty były od czasu konfederacyi barskiej aż do ostatnich strzałów bitwy maciejowieckiej powszednim chlebem nieszczęśliwego miasta.

Po trzykroć spalony Lublin składał się prawie z samych małych kamieniczek i na prędce wzniesionych domków drewnianych, od których odbijały okazałością swą głównie tylko dwa więk-

sze gmachy: ratusz trybunalski i jezuicka kollegiata. Dawniejsze pałace i gmachy, niegdyś mieszkania magnatów, jak np. Radziwiłłów, Sapiehów, Sanguszków, rozsypywały się w gruzy, klasztory, choć ich miasto wiele w murach swych posiadało, były w ruinie lub opuszczeniu, a sam rynek, główny i najokazalszy zazwyczaj punkt każdego miasta, w niemniej opłakanym był stanie.

Na wszystkich czterech połaciach rynku szczerzyły się pustkowia, a z wyjątkiem kilku kamienic, mało który dom był zamieszkany. Gdziekolwiek zwróciło się oko, wszędzie spotykało smutne piętno najazdów, pożogi, rozpaczliwego nieładu, ubóstwa i upadku.

Miasto wyglądało, jak gdyby wyludnione. Na rynku i na ulicach było pusto i głucho, na targowicach zalegała cisza, tylko dzielnica żydowska, ciągnąca się od Tatar i od spalonego zamku, bardziej ożywiony nastręczała widok. Dzięki bowiem wyłącznym przymiotom swego charakteru tylko żydzi w czasach owych burzliwych zdołali jako tako utrzymać się przy warunkach znośniejszego bytu.

Obojętni na wypadki wojenne i polityczne, o ile te nie dotykały ich w bezpośrednio osobistych sprawach, bez tego obywatelskiego uczucia solidarności z nieszczęsnym krajem, które resztę ludności robiło igrzyskiem najrozmaitszych wzru-

szeń: trwogi i otuchy, nadziei i zwątpienia, przelotnych uniesień zapału i tem okropniejszej potem rozpaczy, zawsze trzymający z mocniejszym, zawsze sprytni i przebiegli, oni jedni i tym razem nadawali odrobiny ruchu fizyognomii miasta.

Z ludności bowiem polskiej, kto mógł tylko schronił się w zaciszniejsze miejsce; z goszczącej niegdyś tłumnie szlachty nie było prawie nikogo, a mieszczanie ukryci w swych domach, wyrzuceni z toku zwykłych zatrudnień, oczekiwali z głuchą, rozpaczliwą rezygnacyą, co im przyniesie niepewne jutro.

Niedawno jeszcze jutro to zdawało się uśmiechać obietnicą szczęśliwszego losu. Powstanie narodowe, wzrastająca szybko potęga jego, pierwsze zwycięstwa odniesione przez wojska polskie nad Moskalami, przejmowały radosną otuchą patryotyczne umysły.

W Lublinie tem większy był powód do uniesień i nadziei, ile że miasto to miało sposobność doświadczenia pierwszych faktycznych skutków pomyślnej zmiany sytuacyi. Po rozpoczęciu wojny było miasto to siedzibą osobnej komisyi, zawiązanej przez Kościuszkę celem popierania powstania. Ledwie jednak odżyło miasto ruchem patryotycznym, ledwie po uroczystej inauguracyi dzieła na rynku lubelskim wzięto się do czynności, gdy

pod mury miasta przybywać poczęły garstki żołnierzy polskich, niosąc z sobą smutną wieść o bitwie pod Szczekocinami.

Komisyą lubelska opuścić musiała miasto, a wraz z nią kto mógł uchodził w bezpieczniejsze strony.

Zamiast zwycięzkich hufców narodowych wkroczyli do Lublina Moskale. Po Moskalach przyszli Austryacy.

Generał austryacki Majenszerm stanął załogą w Lublinie z swym kilkutysięcznym korpusem. Okupacya miasta przez cudzoziemskie wojsko przytłumiła ciężką zmorą umysły mieszkańców. Odcięci od pola walki, od ruchu patryotycznego, nie mieli żadnych wiadomości od swoich. Aż nagle jakiś tajemnie przemykający się kurjer z obozu polskiego poruszył miasto całe kilku wieściami, które zostawił.

— Król pruski odstąpił od Warszawy!

— Wojska rossyjskie cofają się!

— Górą nasi! Kościuszko ma już w ręku zwycięztwo!

Takie i jeszcze radośniejsze wieści gruchnęły po Lublinie, a podawane z ust do ust w tajemniczy sposób zelektryzowały na nowo uciśnionych i zrozpaczonych mieszkańców.

Wstąpiła na nowo otucha w umysły, i na pustych dotąd ulicach gromadziły się małe grona, które jakoś śmielej i pewniej spoglądały na austryackich żołnierzy. Mało kto wątpił w pomyślny obrót rzeczy, a już i najnieufniejsi poczęli jaśniej patrzeć w przyszłość, gdy naraz dał się postrzedz ruch jakiś niezwykły w garnizonie austryackim i magistrat dostał nakaz dostarczenia podwód.

— Wynoszą się, uciekają! Krzyżyk na drogę! — wołano sobie z ukontentowaniem.

Istotnie też pewnego poranku zebrał się korpus austryacki na rynku, ściągnął wartę z odwachu i uszykował się do marszu. Co tylko żyło wtedy w Lublinie, wyroiło się na rynek i ulice, aby się przypatrzeć rejteradzie.

Generał Majenszerm dosiadł konia, rzucił szydercze spojrzenie na publiczność i kłaniając się z lekka urzędnikom magistratu uśmiechnął się ironicznie i rzekł po niemiecku:

— Auf Wiedersehen!

Odpowiedziano na takie pożegnanie szmerem niebardzo pochlebnych komplementów albo nawet głośnym okrzykiem, podobnym bardzo do słów: „fora z dwora—czarapary!“—ale szczęściem odezwały się bębny, zaświstały faifry i korpus wymaszerował drogą ku Zamościowi. Generał Majen-

szerm kłaniał się ciągle po drodze bardzo grzecznie i ciągle powtarzał swoje:

— Do widzenia!

Ledwie ułożył się kurz po Austryakach, a życie i ruch zapanowały w Lublinie. Niebawem nadbiegły wieści z obozu, pojawili się oficerowie polscy, a wkrótce zjechała do miasta napowrót komisya lubelska. Co chwila nadchodziły pomyślne wieści, które chwytano z gorączkowem uniesieniem.

— Nasi zwyciężyli! Moskwa w popłochu!

— Dąbrowski zwyciężył nad Sekulim!

— Łabiszyn wzięty!

Wśród takiego nastroju serc i umysłów upłynął czas jakiś. Potem zabrakło nowych wieści. Była chwila ciszy, jakby przed burzą, i dochodziły tylko pogłoski, że Naczelnik gotuje się do wielkiej, stanowczej bitwy.

Wówczas to łowiono posłuchy, polowano na wieści, nagabywano przejeżdżających, nacierano gorączkowo na obecnych członków komisyi.. Ale najbardziej może odznaczał się tą szlachetną ciekawością starzec pewien, znany tylko z postaci w mieście, który mimo zgrzybiałego już wieku i kalectwa od czasu ustąpienia Austryaków cały dzień był na nogach, cały dzień na czatach, aby uchwycić jaką wieść pomyślną z pola walki.

Była to snać jedyna jego pociecha, jedyna roskosz dni samotnie spędzanych. Liczyć mógł lat zgórą siedmdziesiąt, ale twarz jego mimo to zachowała szlachetne rysy i pociągający urokiem męzkiej sędziwości wyraz twarzy. Lica jego okryte były bliznami, a noga jedna, pogruchotana kulą armatnią, wisiała mu bezwładnie, tak że musiał używać kuli.

Wiedziano o nim tylko, że był to jeden z najwierniejszych żołnierzy konfederacyi barskiej, jeden z nieodłącznych towarzyszy obu Pułaskich, ojca i syna Kazimierza. Od kilku lat mieszkał w Lublinie, gdzie na Korcach, za pojezuickiemi gmachami, nabył był dom opustoszały jednopiątrowy, w którym kazał sobie wyrestaurować pokój i salę na dole, zostawiając resztę w dawnem opustoszeniu. Nie żył z nikim, i dopiero publiczne gorączkowe życie ostatnich czasów zbliżyło go do świata, nikt się też i nim nie zajmował w porze, kiedy wypadki dostarczały tyle innych przedmiotów do zajęcia.

Pewnego jasnego, suchego dnia osoby, które wyszły za miasto, usłyszały słabe echa dalekich detonacyi. Między osobami temi znajdował się także i ów stary, okaleczały w boju szlachcic-konfederat.

— Biją się! — zawołał i wytężył słuch.

W powietrzu dały się czuć znowu lekkie drzenia z towarzyszeniem głuchego, niknącego echa...

— To działa grają! — zawołał starzec, i oczy mu się roziskrzyły na nowo młodzieńczym zapałem...

Odrzucił kulę, na której się opierał i chyżo położył się na ziemię, przykładając do niej ucho.

Za przykładem jego rzuciło się całe grono na ziemię i słuchało.

Ziemia jakby drzała z lekka, a echa wyraźniej czuć się dawały...

Stary konfederat leżał ciągle, z skronią przyciśniętą ku ziemi, z wytężoną twarzą, z rozwartemi szeroko i błyszczącemi oczyma.

Leżał nieruchomy, a serce biło mu gwałtownie, jakby szło w takt z echem dalekich wystrzałów. Pytali go towarzysze, czy słychać jeszcze ciągle działa, ale starzec nie odpowiadał... Zdawało się, że zmartwiał zupełnie. Ktoś poruszył go ręką, potem usiłowano go podnieść, ale on padł znowu nieruchomy na ziemię...

Groza straszliwa przejęła obecnych.

Starzec ten żyć przestał...

— Apopleksya—zawnioskowało przerażone grono.

Przyczyna prosta i naturalna.

Ale nikt nie wiedział, że owe echo głuche zwiastowało bitwę pod Maciejowicami, że to od strzałów na tem pobojowisku drzała ziemia...

Kto wie, co tam słyszał stary barski rycerz i od czego skonał nagle?...

Kto wie, co mu mówiło echo niesione przez błonia... i jakim jękiem tętniła wówczas ojczysta ziemia?...

Kto wie, czyli wieszczem przeczuciem nie odgadł ów starzec, że to echo, to ostatnie uderzenie serca jego ojczyzny?

Może Bóg chciał mu dać najwznioślejszą nagrodę i zlał tak w akord ostatnie te strzały z ostatniemi uderzeniami jego serca, że zamilkło wraz z wrzawą bitwy, że skonał, ani na chwilę nie przeżywając swej ojczyzny...

Ktoś z obecnych powrócił szybko do miasta, aby przybyć z powozem i lekarzem, i niebawem też nadpędziła kolasa odkryta, a w niej siedzieli dwaj mężczyzni.

Obaj wyskoczyli szybko z kolasy i pospieszyli ku leżącemu, a jeden z nich dobył czarnego pudełka i wydobywszy z niego jakieś flakony i instrumenta chirurgiczne rzucił się do ratowania martwego starca.

Przypatrzmy się na chwilę obu tym ludziom.

Były to dwie figury, które zdawały się wyzywać najfantastyczniejszą nawet imaginacyę, aby coś dziwniejszego wymyśliła od nich. Callot i Breughel mogliby byli obu żywcem przenieść na swe płótno, a Amadeusz Hoffmann, który właśnie w czasie, kiedy to się działo, co opisujemy, był pruskim urzędnikiem w Warszawie, mógłby ich był bez retuszu wpleść w swe szalone fantazmagorye.

Jeden z nich był to wysoki, chudy jak szkielet starzec z twarzą w spiczasty owal ściętą, z czaszką o ostrych kątach, na których zdawała się być przyklejona żółta, jak pergamin zeschła skóra, z podgolonem czołem, co głowę jego czyniło jeszcze bardziej fantastyczną, z czubem siwych, jak szczecina twardych i najeżonych włosów, które jak grzebień koguci sterczały na ciemieniu.

Twarz tego człowieka była, jak już powiedzieliśmy, niezmiernie chudą, sterczała ostremi kośćmi i była w najdziwaczniejszy sposób oszpeconą. Czoło i policzki miały ogromne, czerwonawe blizny jakby z oparzenia, nos długi i zgarbiony zdawał się być przełamanym, bo skręcał się od lewego policzka ku prawemu, a wąs krótki pod górę najeżony, żółto-siwy, przyczyniał się jeszcze bardziej, aby z fizyognomii tej całej zrobić jakąś

dziwnie assymetryczną, na poły śmieszną, na poły fantastyczną groteskę...

Ubrany był ten człowiek po polsku, ale strój ten nie przystawał mu do ciała; drapował się na nim, jak na szkielecie. Miał na sobie stary, wypłowiały kontusz niebieskiego koloru z karmazynowemi wylotami, barwa trybunału lubelskiego, a na bandolecie, sztukowanym sznurkiem z konopi, wisiała ogromna, szeroka, w ciemny jaszczur oprawna karabela z prostą rogową rękojęścią.

Drugi, jego towarzysz, ten który usiłował przywieść do życia skostniałego już szlachcica, ubrany był po niemiecku, całkiem czarno, z fantastyczną widocznie pretensyą. Twarz miał dużą, gładko ogoloną, o rysach niepospolitej szpetności, uderzającej dziwaczną amorfią. Nos i wargi jego były podobne do tych, z jakiemi zwykle malują Ezopa, cera była gąbczasta, płowa, z gęsta czerwonemi wyrzutami jakby goździami nabita.

Oczy były małe, niezmiernie bystre i świetliste, z szerokiemi pupillami, wpadające z piwnego koloru w zielonawy. Migotały się one jak dwie pryskające iskry, a pokutował w nich obok inteligencyi jakiś dziwny, powiedzielibyśmy mistyczny wyraz, który i pociągał i odpychał zarazem, jak wszystko, co jest zagadką.

Głowa tego człowieka okryta była olbrzymią, źle upudrowaną peruką, która spływała zawijanemi i gęstemi lokami do pół grzbietu i poniżej ramion prawie, na jej czubie siedział trójgraniasty czarny kapelusz.

Nadto był ten człowieczek nizki, gruby i ułomny, oprócz bowiem garbu na plecach, miał nogi krótkie, grube i mocno niekształtne, w rodzaj kabłąka wygięte. I tak już oryginalną i dziwaczną tę figurę czynił jeszcze osobliwszą strój niemiecki, zastarzały, według odwiecznej skrojony mody. Do wspomnianej już olbrzymiej, kudłatej peruki, jakby się dobrały obcisłe czarno-szklące szarawarki, takiejże barwy pończochy z ogromnemi sprzączkami stalowemi, i czarny frak z długiemi połami.

Oryginalność tego ubioru uwydatniały w fantastyczny sposób dodatki, jak np. kłębiaste żaboty i kryza, cudackie bryloki, blaszki i trzęsidła z brylantowej stali, zwieszające się od kieszeni, a już najbardziej guziki przy fraku. Guziki te były niesłychanej wielkości, wypukłe jak zegarki, i jak zegarki szybką szkła okryte. Pod temi szklannemi szybkami zaś na tle z czarnego rogu znajdowały się żabki, chrząszcze, salamandry i trupie czaszki wyrobione z słoniowej kości.

Tak dziwacznie ubrany Niemczyk, który zdawał się być lekarzem, ukląkł przy chorym, otworzył mu żyłę, z której jednakże już krew spłynąć nie chciała, przykładał mu do nosa rozmaite flakony z ostrym zapachem, nacierał skronie itp. Jego towarzysz, ubrany w kontusz trybunalskiej barwy, stał z boku pochylony nizko ku ziemi, jak gdyby chciał lepiej przypatrywać się trzeźwieniu, a twarz jego zeschnięta i oszpecona wykrzywiła się jakimś dziwnym grymasem, o którym jednak w żaden sposób powiedzieć nie było można, co miał wyrażać: czy ciekawość, czy zdziwienie, czy przestrach lub współczucie.

Kilka minut trwało trzeźwienie przy ciekawym udziale obecnych, ale gdy nic nie skutkowało, Niemiec w peruce raz jeszcze obmacał pulsa zastygłe starca, a potem robiąc gest stanowczy ręką powstał i z flegmą zamykał swe pudełko.

Towarzysz jego domyślił się zapewne znaczenia tego gestu, bo kiwnął głową smutno i popatrzył raz jeszcze na Niemca, a potem jakby wyczytawszy w twarzy jego ostateczne potwierdzenie domysłu wziął ciało starca na ręce i poniósł do czekającej kolasy. Niemczyk, który już w niej siedział, usunął się na bok, pomógł ułożyć trupa, a gdy usiadł i mężczyzna w kontuszu, ruszyły konie i popędziły ku miastu.

Na Korcach przed opustoszałym domem zatrzymała się kolasa, a obaj mężczyzni zabrawszy z kolasy zwłoki, zniknęli z niemi w kamienicy, której bramę silnie zatrzaśnięto.

II.

NA RYNKU LUBELSKIM.

Pan generał Majenszerm żegnał się przy wymarszu z Lublina z burmistrzem słowami: „do widzenia", i — dotrzymał też słowa...

Zaledwie dwa dni minęło od owej sceny nadsłuchywania dalekich strzałów, gdy nadbiegła okropna wieść o klęsce maciejowickiej.

Jeszcze nie miano w Lublinie żadnych wieści o katastrofie, jeszcze nie można było powziąć jasnego wyobrażenia o całym ogromie strasznej klęski, gdy z wież i dymników miasta, które służąc za punkt obserwacyjny mieszkańcom w tych dniach trwogi i niepewności, obsadzone były zawsze ciekawymi, pokazał się z dala długi łańcuch wojska, nadciągający spiesznie.

Gdy się już zbliżało pod Tatary i Krępiec, można było dojrzeć, że to cały liczny korpus, postępujący w porządnym wojennym szyku. Z początku nie domyśliwano się, co to za wojsko.

— Może to nasi! — przypuszczano w sercu — może uratował się jaki cały oddział, cały korpus!

Tymczasem wojsko zbliżało się coraz bardziej i naraz wpadła przednia straż do miasta.

Byli to Austryacy. Poznano ich po mundurach, poznanoby nawet po twarzach. Jechało bowiem naprzód kilkunastu huzarów w czerwonych dołmanach z krzywemi szablami, a na ich czele ten sam siwy, czerwony na twarzy jak rak, wąsaty i pokiereszowany wachmistrz, który niedawno jeden z ostatnich opuszczał Lublin.

Siedział on niedbale na koniu i spoglądał na miasto i widzów, jak na starych znajomych, a kiwając głową z lekka, całą służbistą swą fizyognomią i obojętnym wzrokiem zdawał się upewniać wszystkich wobec i każdego z osobna, że jak nie wiedział, dla czego ztąd niedawno wyjechał, tak też nie wie, dla czego powraca.

Wiedział o tem chyba rotmistrz, co z tyłu zdążał z szwadronem, pan generał Majenszerm i „węgierski pan Bóg“ poczciwego huzara.

Za drobnym oddziałem huzarów jechał cały ich szwadron, za huzarami przeciągała piechota w białych kurtach, w czerwonych wysokich kamaszach i w spiczastych kaskach bez daszka, za nią jechał sztab z generałem Majenszermem w środku.

Dotychczas nic w tem nie było ciekawego dla widzów. W owych czasach widok obcych wojsk nie był osobliwością. Moskale, Prusacy, Austryacy gospodarowali po kraju jak u siebie, a zresztą oddział pana generała Majenszerma znany już był w Lublinie.

Ale daleko ciekawszy i niestety daleko boleśniejszy miał nastąpić widok... Za piechotą nadciągnęła konnica, a byli to dragoni. Nie jechali snać sami, bo pomiędzy białemi ich płaszczami czerniały ciemne burki, a z pośród hełmów wystrzeliwały do góry kity od kołpaków. Dragoni trzymali w ręku duże pistolety w pogotowiu, a szable obnażone zwieszały się na temblakach.

Pośród nich, bezbronni i widocznie eskortowani szli lub jechali konno jacyś ludzie w strojach uniformowych, niedobranych i rozmaitej barwy. Byli to oczywiście jeńcy, a dość było rzucić spojrzenie na ubior ich, aby poznać, że byli to Polacy.

Istotnie Austryacy wiedli z sobą rozbitków z maciejowickiej bitwy. Po zadanej polskiemu wojsku klęsce, wiele drobnych i większych oddziałów polskich albo przekraczało granicę austryacką szukając schronienia na neutralnem na pozór terytoryum, albo też ratując się przed ścigającymi je Moskalami poddawało się pierwszej lepszej ko-

mendzie wojsk austryackich, posuwanych wówczas naprzód, ku Lublinowi.

I owa garstka prowadzona przez Austryaków doznała podobnego losu.

Rozbrojeni, zmęczeni walką i doznanym w obozie niedostatkiem, smutnie wyglądali nasi jeńcy. Wielu z nich było rannych, niektórzy upadali prawie od bezsenności i znużenia, a wszyscy na wybladłych twarzach mieli piętno smutku lub głuchej, rozpaczliwej rezygnacyi... W widoku tych nieszczęsnych rozbitków wyczytać można było niejako całą katastrofę, która zakończyła krwawy, narodowy dramat.

Patrzyli oni zapewne obojętnie już w przyszłość i nie obawiali się dalszych igrzysk losu, którego tyle ciosów okrutnych doznali, a przecież zgotowaną była dla nich niespodzianka, która serca ich raz jeszcze poruszyć miała oburzeniem, gniewem i najdotkliwszem dla żołnierza uczuciem upokorzenia.

Ludność miasta, poruszona wieścią, że Austryacy prowadzą z sobą rozbitków polskich, opuściła domy i zbiegła się na rynek, aby ich oglądać. Niebawem też zatrzymał się oddział austryacki i szykować się począł.

Mieszkańcy ustawili się wzdłuż połaci rynku, a z okien kamienic wychylali się także ciekawi.

Wszystkich oczy zwrócone były na garstkę nieszczęśliwych rodaków, których ustawiono pod eskortą w środku całego korpusu.

Główna część Austryaków stanęła przed trybunalskim ratuszem. Gmach ten, który staraniem Stanisława Augusta przybrał był okazalszą postać, przecięty był na wylot sklepionym i brukowanym przechodem. Po lewej jego stronie znajdowały się odwach i kordegarda trybunalskiej niegdyś straży, którą odbywał dawniej pułk Czapskiego.

Wojsko austryackie zaczęło od obsadzenia tego odwachu. Po krótkim przeglądzie, który nad wojskiem odbył generał Majenszerm, odmaszerował od głównego korpusu silny oddział piechoty i wśród odgłosu bębnów i fajfrów zajął z formalnościami wojskowemi odwach. Wśród honorów oddawanych przez całe wojsko złożono tam także chorągwie, a zaraz też po odbytej krótkiej konferencyi sztabu i kwatermistrzów z kilku zakłopotanymi urzędnikami miejskimi, pojedyńcze oddziały wojska rozchodzić się poczęły po rozmaitych częściach miasta, w którem na prędce miano im obmyśleć umieszczenie.

Niebawem też zniknął z rynku generał Majenszerm ze swym sztabem, zajmując dla siebie pobliską kamienicę Nossadynich. Został tylko

na rynku duży oddział dragonów, ten sam właśnie, który miał pod swoją eskortą rozbitków polskich.

Tłum ludu zgromadzonego nie rozszedł się, czekając, co się dalej stanie z jeńcami. Wkrótce też rozległ się odgłos komendy niemieckiej, i cały oddział piechoty wystąpił pod broń na odwachu. Równocześnie pojawił się przed frontem komendant dragonów i wydał jakiś rozkaz jednemu z podwładnych mu oficerów.

Na rozkaz ten rozsunął się szereg konnicy, a garstka jeńców polskich wystąpiła naprzód. Niektórzy z nich byli na koniach. Zbliżył się do nich jakiś wachmistrz i łamanym żargonem, z czeska po polsku, kazał im zsiąść i stanąć razem w szeregu z pieszymi.

Gdy rozkaz ten spełnionym został, rozpoczęła się upokarzająca scena.

Między zgromadzonymi na rynku mieszkańcami Lublina rozległ się szmer głuchy. Z ściśnionym sercem i z bolesnym współczuciem spoglądano na bezbronnych rodaków. Mimo smutnego wrażenia widoku nie przeczuwano może przecież, jak sromotny akt odegra się wkrótce publicznie...

Jakkolwiek rząd austryacki z wszystkich rządów rozbiorowych najwięcej miał sympatyi u Polaków, i jakkolwiek najwyższe jego organa miały poniekąd i chęć częściowego choćby usprawiedli-

wienia tej sympatyi, przecież zdarzały się przy inauguracyach nowej władzy austryackiej zajścia i sceny, które oburzeniem przepełniać musiały serca polskie.

Jeżeli dopuszczali się niegodnych nadużyć urzędnicy cywilni i może nawet wbrew woli rządu samego na najboleśniejsze próby narażali uczucie godności narodowej, to w wyższym jeszcze stopniu czyniły to wojskowe władze.

Wśród zamętu wypadków wojennych, działanie wojskowych komendantów nie mogło być ujęte ścisłemi instrukcyami na każdy wypadek, a posiadanie absolutnej władzy oręża prowadziło niektóre indywidua do aktów żołnierskiej srogości i oburzającej samowoli.

Jestto faktem stwierdzonym przez dokumenta i zeznania świadków naocznych, że po klęsce maciejowickiej, dowódzcy austryackich oddziałów, z któremi przecież nie walczyły wojska polskie, a które nie wojenną ale raczej neutralną i interwencyjną miały odgrywać rolę, dopuszczali się nieraz aktów niczem nie usprawiedliwionej srogości.

Jeżeli nawet główny dowódzca kierował się bardziej ludzkiemi i sprawiedliwszemi pojęciami, to znalazł się zawsze jakiś podwładny komendant, który nie wahał się obrażać ciężko uczucie zwy-

ciężonych, a nieraz pierwszy lepszy oficer, nadużywając chwilowo danej mu władzy, puszczał wodze wrodzonemu żołdackiemu brutalstwu i z własnej fantazyi, na własną rękę, posuwał się do niegodnych gwałtów i nadużyć.

Ofiarami takich nadużyć bywali głównie żołnierze z armii Kościuszkowskiej, którzy idąc w rozsypkę i ratując się przed ścigającymi ich Moskalami szukali opieki u posuwających się w głąb kraju austryackich oddziałów.

Pamiętniki spółczesne przekazały nam wiele takich nieludzkich postępków i aktów żołnierskiej samowoli, a jedną z najpierwszych ich widowni miał być rynek lubelski w chwili naszego opowiadania.

Do ustawionych w rząd jeńców polskich zbliżył się komendant dragonów, oficer sztabowy. Zsiadł z konia i oddając go jednemu z swych żołnierzy stanął przed garstką rozbitków i zmierzył ich ponurem, srogiem spojrzeniem.

Garstka jeńców tych złożona była z rozbitków najrozmaitszej broni. Byli tam żołnierze z pułków regularnych i ochotnicy z zebranej na prędce ruchawki.

Od uniformu żołnierzy autoramentowych odbijały tu i owdzie wołoszki ciemne lub fantazyjne kurtki ochotników szlacheckiego pochodzenia, mię-

dzy którymi bieliło się kilka głów siwych; dwóch włościan w zwykłych sielskich sukmanach stało obok tak zwanych „ułanów królewskich“; kilku zagrodowej szlachty w domowych żupanach i rogatych czapkach zabrało miejsce obok kilkunastu milicyantów brzeskich.

Między jeńcami znajdowało się także kilku oficerów z brygady Kopcia i z pułków Mirowskiego i Lubomirskiego.

Komendant dragonów, major, patrzył chwilę na ustawionych jeńców, jakby ich chciał policzyć. Wzrok jego przebiegł po ich twarzach szybko i obojętnie, ale gdy się zatrzymał na ostatnim jeńcu, który zamykał szereg, zdawało się, jakoby zapłonął gwałtownie.

Postać austryackiego majora uderzała niemile i w wstrętny prawie sposób. Był to mężczyzna nie pierwszej młodości, ale zawsze w pełnej sile wieku. Wysokiego wzrostu, niezmiernie silnej budowy ciała, barczysty i z wypukłemi piersiami, zdawał się być typem brutalnej, żołdackiej postaci.

Twarz jego była owego jednostajnego różowego koloru, który stanowi właściwą cerę blondynów, uderzała ostro markowaną i kościstą, choć dość pełną formą i ponurym, dzikim prawie wyrazem szorstkich rysów. Gdy ciężki swój hełm odsunął w tył nieco, widać było wysokie, mocno

wypukłe czoło, które odbijało białością swą od cery reszty twarzy; pod czołem tem rysowały się w cieńkim łuku rzadkie i jasnowłose brwi; oczy duże, wypukłe, omglone, były jasno-sine i zdawały się pod szklanną swą powłoką tlić ogniem jakimś dzikiem i namiętnym. Pod dużym, nieco zakrzywionym nosem wił się wąs długi, daleko jaśniejszy od włosów, jaśniejszy od lnu, biały prawie całkiem. Wąs ten, który z daleka wydać się mógł posiwiałym, nadawał jasnością swą i formą szczególny, chrarakterystyczny wyraz całej twarzy majora.

Otóż major ten zatrzymał, jak powiedzieliśmy, wzrok swój na jednym z rozbitków, który zamykał szereg swych towarzyszów. Był to młody człowiek w uniformie oficerskim, po którym można było poznać, że należał do pułku Mirowskiego.

Słusznego wzrostu, kształtnej i smukłej, lecz silnej budowy ciała, młody oficer polski liczyć mógł lat dwadzieścia cztery. Twarz jego była szlachetnie zarysowana i uderzała wyrazem śmiałym i mężkim. Cera jej była mocno śniada, ogorzała; nos orli i czoło otwarte nadawały jej pewnego rysu wrodzonej dumy; z czarnych, gorejących płomieniem życia i młodości oczów wyglądała dusza jak to mówiono „rogata“, a całość fizjognomii uderzała marsem i energią, które ła-

godził nieco wyraz ust pełnych, czerstwych i rumianych, wyraz zarówno zmysłowy jak poczciwy.

Spojrzenia jeńca i majora spotkały się z sobą.

Twarz majora pociemniała rumieńcem, a oczy jego siwe zamigotały żywym odbłyskiem. Usta jego. zadrzały jakby ruchem jakiegoś zaczętego a niedopowiedzianego słowa, a twarz cała przybrała wyraz złośliwego ukontentowania...

Jeniec polski na spojrzenie majora odpowiedział wzrokiem silnym, bystrym, przeciągłym.

Z wzroku jego bił cały płomień odwagi i oburzenia. Twarz mu sposępniała wyrazem gniewu, okryła się groźnym marsem, rumiane usta zbladły i ścisnęły się, jakby od tłumionego uniesienia.

Trwało to kilka sekund.

Major odwrócił wzrok pierwszy i cofnąwszy się krok w tył zajął miejsce przed samym środkiem ustawionego z rozbitków frontu. Potem skinął na jednego z oficerów swoich, a ten zbliżył się zaraz w towarzystwie wachmistrza. Wachmistrz wydobył ogromny czerwony pugilares zapiskowy, wziął do rąk ołówek i wyprężywszy się jak struna, czekał co mu dalej rozkażą.

Major raz jeszcze spojrzał na gromadkę jeńców, a potem przybierając minę surową i groźną, odezwał się donośnym głosem:

— Słuchać i uważać!

Słowa te wymówił major najczystszym polskim akcentem, tak iż można było wnosić z pewnością, że musi być rodowitym Polakiem.

To polskie przemówienie wywołało trochę zdziwienia w rozbitkach, a na twarz ich wystąpił wyraz ciekawego zajęcia; jeden tylko młody oficer z pułku Mirowskiego, ów który się przed chwilą spojrzeniem mierzył z majorem, pozostał z tym samym marsem na obliczu i tym samym groźnym gniewem w czarnem, namiętnem oku.

— Słuchać i uważać! — odezwał się major. — Dość już zabawki, czasy burd minęły, kolej teraz nauczyć się rozumu i porządku! Zdaliście się na łaskę lub niełaskę, oznajmiam wam tedy, że wolą jest komendanta, ażebyście wstąpili w szeregi żołnierzy jego korpusu. Rozumiecie?

Cisza zapanowała po tych słowach.

— Od tej chwili jesteście cesarskimi żołnierzami — mówił major dalej — resztę powiedzą wam kaprale.

W szeregu jeńców ozwał się najpierw szmer cichy, a potem powstała istna burza wykrzyków.

— Co to jest! — zawołał major — milczeć!

— Nie chcemy służby! — odzywały się głosy.

— Nikt się nie pyta o to. Musicie!

— Nie będziemy służyć! — zawołano.

— Kto nie będzie? — krzyknął major.

— My...

— Kto to „my“?

— Wszyscy...

Major zaśmiał się szyderczo.

— Zobaczymy, kto do tych wszystkich należy... Po jednemu się pytać będziemy, po jednemu.

I odwróciwszy się do wachmistrza dał mu krótką informacyę po niemiecku. Wachmistrz znikł, a za chwilę przybyło z odwachu kilku żołnierzy. Każdy z nich dźwigał pod pachą pęk kijów...

Równocześnie zrzucono z fury bagażowej całą pakę starych kurt żołnierskich, zapasowych kamaszów i furażerek.

Jeńcy i zgromadzony na rynku tłum mieszkańców lubelskich przypatrywali się tym przygotowaniom z wytężoną, ponurą uwagą.

Major przystąpił do pierwszego z rozbitków polskich, który stał na końcu szeregu, i zawołał stanowczym, surowym głosem:

— Jak się nazywasz?

— Krzysztof Kotwicz — odpowiedział zapytany.

Był to młody człowiek, podoficer z pułku Lubomirskiego.

— Krzysztof Kotwicz — powtórzył major dając znak wachmistrzowi, aby zapisał nazwisko — pójdziesz pod muszkiet... Rechtsum, ruszaj!

Zagadnięty stał na miejscu nieruchomo... Spojrzał tylko po twarzach swych towarzyszy, jakby w oczach ich chciał wyczytać radę.

— Ruszaj, powiadam! — wrzasnął już teraz z całą furyą major i srogiem spojrzeniem zmierzył opierającego się.

— Patrzaj ty „Mospan Polak“ — dodał z szyderczym uśmiechem — wolno ci wybierać, jaką drogą masz zostać żołnierzem... Albo dobrowolnie, bez hałasu... albo...

I wskazał dłonią na żołnierzy, stojących opodal z pękami kijów.

W szeregu jeńców powstał szmer głuchy, stłumiony, ale wymowny, bo kipiało w nim oburzenie...

Major nie zważał, na to, ale dał znak kilku żołnierzom, którzy przystąpili natychmiast.

— Na bok z nim! — zawołał i owa pierwsza ofiara gwałtu i samowoli oficera zniknęła po krótkim daremnym oporze pośród żołnierzy.

Biedak szamotał się i krzyczał jeszcze po drodze, lecz kolby karabinowe zamknęły mu usta i przełamały daremny opór.

Podczas gdy się ta oburzająca odgrywała scena, ów młody oficer polski, którego opisywaliśmy powyżej, a którego tak mierzył wzrokiem swym major, drżał cały od gniewu i wzruszenia. Twarz

jego oblała się najpierw pąsem, potem okryła się ową bladością, która u namiętnych ludzi bywa znamieniem najwyższego rozdrażnienia; oczy zapałały gniewem i zwróciły się z niewypowiedzianą pogardą na majora.

Małą chwilkę stał tak młody oficer, i widocznem było, że się wahał, ale nagle zrobił ruch stanowczy i wystąpiwszy szybkim, śmiałym krokiem z szeregu, stanął przed majorem.

Major, jakby się uląkł tego niespodziewanego ruchu młodego jeńca, cofnął się o krok w tył. Twarz jego pokryła się ciemniejszym rumieńcem, który tem bardziej odbijał od jasnych, białych prawie wąsów i włosów. Prawą rękę położył na rękojeści szabli, lewą podał naprzód, jakby się nią chciał zasłonić.

Młody oficer stanął tuż przed majorem i utkwiwszy w niego swój wzrok płomienny, zapytał silnym, choć nieco drżącym od wzburzenia głosem:

— Panie, co znaczy ten gwałt?

Major, który nie ochłonął był jeszcze z swego dziwnego pomieszania, nie odpowiedział zaraz, jakby mu słów zabrakło, aż wreście zawołał:

— Do szeregu i milczeć! Przyjdzie kolej i na aspana, marsz!

— Przyjdzie kolej i na ciebie! — zawołał jeniec gwałtownie, przestając już być panem siebie.

Major wzniósł groźnie rękę, lecz spuścił ją napowrót, trzymany na uwięzi roziskrzonym i strasznym wzrokiem młodziana.

— To coś uczynił, co uczynić zamyślasz, jest podłym gwałtem! Jesteśmy bezbronnymi jeńcami, jesteśmy żołnierzami armii, która z cesarzem twoim nie walczyła, a której nieszczęście uszanować winniście!

Major, który w miarę, jak postawa i głos młodego jeńca nabierały przenikającej wymowy i grozy, coraz bardziej zdawał się być zmieszanym, próbował się uśmiechnąć.

— Kto ci pozwolił pastwić się nad rozbitkami, których chroni przed każdym honorowym żołnierzem — bezbronność ich... Żołdak bez czci, a nie oficer, kto nie szanuje tego prawa!

— Zuchwalcze, czy wiesz do kogo mówisz? — zawołał major.

— Wiem dobrze, mówię do oficera, któremu, gdybym był jego wodzem, kazałbym zerwać te szlify przez oprawcę na znak infamii!

Twarz majora okryła się ciemnym pąsem, oczy siwe zaszły mu krwią formalnie.

— Odpowiesz mi za to!

— Odpowiem ci zaraz, odpowiem ci, że się nie lękam twej wściekłości, że szydzę z twego gniewu, panie majorze! Ale co ty mi odpowiesz, gdy ci powiem śmiało, że znam ciebie i twoją podłość, mości Szczepanie Rozworski, majorze wojsk cesarskich!

— Znasz mnie — odpowiedział stłumionym od wściekłości głosem major — postaram się, abyś mnie poznał jeszcze lepiej...

— Znam cię na wylot nikczemniku! — zawołał młody jeniec, uniesiony szałem zapomnienia — cokolwiek już uczynisz, nie będzie dla mnie niespodzianką!

— Zobaczymy — odparł niezrozumiale prawie major, który bez skutku usiłował zamaskować wściekłość swą i pomieszanie—zobaczymy, znajdę niespodziankę i dla ciebie młokosie! Szukałem cię długo, i znalazłem przecie.

— Szukałeś mnie! — powtórzył jeniec z naciskiem szyderstwa, które dziwnie odbijało od uniesienia — ty mnie szukałeś i znaleźć nie mogłeś! Podły! Ileż to razy mogłeś mi stanąć oko w oko, pierś przeciw piersi! Znalazłeś mnie teraz dopiero, bo nie szukałeś przeciwnika, ale szukałeś ofiary bezbronnej... Patrz, oto stoi przed tobą, mości majorze, oddana ci na łaskę i niełaskę, wygodny przedmiot do pastwienia się, a przecież

nie boi się ciebie, a przecież urąga ci wzgardą, a jeżeli kto z nas drzy i drugiemu w oczy spojrzeć nie śmie, to ty nim jesteś, panie Szczepanie Rozworski!

Wyrzekłszy te słowa tonem szybkim, gwałtownym, w którym zda się wrzała cała burza namiętności i gniewu, młody jeniec wzniósł czoło swe piękne dumnie w górę i utkwił pałające oczy w majora...

Spojrzenie jego było nieustraszone, wyzywające...

Zdawało się, że siła tego spojrzenia odebrała przytomność i wszelką swobodę majorowi, że skrępowała mu usta i do ziemi go przykuła...

Stał milczący i bezradny, jakby ochłonąć nie mógł z doznanego wrażenia...

A przecież stał przed nim tylko jeniec bezbronny, oddany jego władzy, pozbawiony wszelkich środków obrony lub odwetu... Major miał za sobą żołnierzy swoich, gotowych w każdej chwili na skinienie jedno rzucić się na zuchwałego młodzieńca i roznieść go na ostrzach swych bagnetów.

Do takiego rozkazu wystarczało jedno słowo, jeden gest przelotny... A przecież nie mógł czy nie chciał zdobyć się nań major. Chęci nie brakło zapewne, bo widzieliśmy ów wyraz nienawiści głę-

bokiej, który strzelił z siwych oczu majora zaraz na pierwszy widok młodego jeńca, zabrakło siły i odwagi...

Odwaga szalona, posunięta do najwyższego stopnia, nielicząca się z niczem, urągająca sile, miewa zawsze olbrzymi urok...

W wybuchu takiej odwagi leży jakaś dziwna a potężna siła, która czyni na chwilę strasznym najbezsilniejszego nawet przeciwnika, która silniejszemu odbiera poczucie jego przemocy, i trzyma na uwięzi okrucieństwo i podłość nawet.

Ten urok podobnej odwagi jest tem potężniejszym, jeżeli popiera ją moralnie rzecz, która ją wywołała, jeżeli staje w obronie prawa, odpiera nikczemne zamachy, lub jeźli odzywa się groźnym protestem przeciw doznanej krzywdzie.

Tak się miało i tym razem...

Gdyby major był przebił śmiałka swą szablą lub kazał go zastrzelić jednemu z swych żołnierzy, nie naraziłby się był niezawodnie na żadną odpowiedzialność. Ale ta szalona odwaga młodego jeńca odebrała mu poczucie przemocy. Tchem swym potężnym skruszyła jego butę, jego zawziętość i okrucieństwo... Pochwyciła niejako żelazną dłonią człowieka, wyrwała mu broń z ręki, odarła szlify, wyrzuciła z pośród zbrojnego hufca i postawiła przed swym majestatem samego...

Z majora pozostał tylko człowiek, a człowiek ten zapomniał, że dość skinienia tylko, aby wieczne milczenie nakazać ustom zuchwałym—i drżał.

Gdyby ktoś w tej chwili dopiero ujrzał był obie te osoby, a zapytano go, kto jest tu ofiarą, kto skruszonym przedmiotem gniewu i przemocy, wskazałby niezawodnie na majora...

Tak przynajmniej wyglądał przez dość sporą chwilę... Nagle jednak ocknął się i ruszył gwałtownie na miejscu. Twarz jego oblała się pąsem, oczy zamigotały żarem złowrogim, a usta skrzywiły się i ścięły.

Wydał z siebie okrzyk jakiś głuchy, niezrozumiały, wściekłością stłumiony i w jednej chwili zabłysła obnażona szabla w jego dłoni. Wyleciało mu z ust przekleństwo i znowu kilka słów prawie nieartykułowanych, z których zrozumieć można było tylko wyrazy:

— Giń, jak pies... krwią twoją własną zakrztusisz się, abyś umilkł, gadzino!

I podniosłszy broń w górę, nadał jej zamach do śmiertelnego cięcia...

— Nie... to niedosyć — zawołał nagle i opuścił szablę na dół. Wezmę ja cię na wychowanie, mój zuchwały paniczu... Skruszejesz mi pod rękami, nauczą cię kaprale skakać, jak każę, przyczołgasz

się do mnie na kolanach i będziesz mi jeszcze lizał stopy...

I wyrzekłszy te słowa z wymuszonym spokojem, skinął na żołnierzy.

— Związać mu ręce! — zawołał.

Rozkaz wykonano w tej chwili. Młodzieniec stał nieruchomo i dał z sobą robić wszystko. Oczy jednak tkwiły ciągle w twarzy majora — a twarz jego nie straciła nic z swego śmiałego i dumnego wyrazu, pobladła tylko bardziej jeszcze i ostygła rezygnacyą...

Gdy już miał ręce w tył skrępowane, major kazał stanąć po obu jego stronach dwom żołnierzom, a sam przystępując do niego, uchwycił za końce szlif u mundurka, szarpnął je silnie, zerwał z kołnierza i rzuciwszy je na ziemię, podeptał...

Potem zwrócił się do wachmistrza podyktował mu do zapisków:

— August Szczytowski G e m e i n e r, okuć w dyby i wziąć pod areszt! Zamknąć go osobno aż do dalszego rozkazu...

Rzekłszy to podniósł raz jeszcze rękę, zrzucił jeńcowi kołpaczek z głowy i zawołał:

— Nakryć mu łeb po rekrucku!

Zaraz jeden z żołnierzy przystąpił z mycką kłapiastą i nasadziwszy ją jeńcowi na głowę w brutalny sposób, zasunął mu nią oczy, potem pchnął

go silnie naprzód i młody oficer polski zniknął wśród bagnetów...

Major ścigał go jakiś czas wzrokiem pełnym jadowitej nienawiści, a potem szepnął jeszcze coś do jednego z podoficerów, wskazując na więźnia. Następnie zwrócił się do reszty jeńców i kazał występywać jednemu po drugim.

Z każdym odbywał się ten sam ceremoniał brutalny, co z nieszczęśliwym młodzieńcem. Oficerom zdzierali kaprale szlify, wszystkim zaś nasadzono mycki, zapisywano i potrącano kolbami na odwach...

Z wyjątkiem kilku poddawali się wszyscy z rozpaczliwą rezygnacyą tej operacyi, oczy tylko pałające od oburzenia i ciskające pogardą protestowały przeciw gwałtowi, dokonywanemu na bezbronnych. Ci, co dali się porwać uniesieniu i opór stawić usiłowali, umilkli... pod razami...

Bolesna ta scena odgrywała się publicznie wobec licznie zgromadzonego ludu. Szmer oburzenia rozległ się między zgromadzonymi mieszkańcami Lublina, a wśród tego szmeru wylatywały z tłumu kamienie i cięższe od nich wykrzyki oburzenia i przekleństwa.

Major zwrócił się ku tłumowi, a gdy go z tamtąd doleciały nowe oznaki oburzenia, kazał wsiąść

na koń oddziałowi dragonów i rozpędzić zgromadzonych.

Na widok żołnierzy gotujących się do szarży począł się tłum rozbiegać i wkrótce pusto było na lubelskim rynku.

Gdzieniegdzie tylko zostały małe gromadki z kilku osób złożone i spoglądały spojrzeniem pełnem bolesnego współczucia na szereg jeńców ustawionych na odwachu.

Owego młodego oficera, który był pierwszą ofiarą żołnierskiej dzikości i osobistej widocznie nienawiści majora, nie było między nimi.

Gdy tym sposobem całe widowisko, wyprawione na rynku lubelskim, zakończone zostało, major kazał odjechać swym dragonom, a sam dosiadłszy konia, rzucił raz jeszcze wzrokiem na odwach i zacierając ręce, jakby od nadzwyczajnego zadowolenia, szepnął sam do siebie:

— Doskonale, lepiej niż się tego kiedykolwiek spodziewać mogłem! Ptaszek w klatce z podciętemi skrzydłami! Nie ujdziesz mi już teraz, nie ujdziesz, mój ty zuchwały rycerzu!

I kazał się prowadzić na przeznaczoną dla siebie kwaterę.

III.

UCIECZKA.

Rozbitków polskich, zmienionych w tak niespodziewany i upokarzający sposób na rekrutów cesarskiego wojska, spędzono z odwachu do sali ciemnej i małej, która za czasów trybunalskich jeszcze służyła za areszt wojskowy dla regimentu Czapskich, który przydanym był dawniej za straż i siłę egzekucyjną sądom polskim.

Między rozbitkami znajdowało się przypadkiem kilku z tego pułku. Odbijali oni od reszty swych towarzyszy czerwoną barwą swych mundurów i harbajtlami, a najwięcej ze wszystkich okazywali zimnej krwi i rezygnacyi. może z tego powodu, że prawie każdy z nich odbywał był niegdyś służbę przy trybunalskiej straży, a dziś ujrzawszy się między ścianami dobrze sobie znanej kordegardy czuł się poniekąd w domu. Wzięli też żołnierzy ci na siebie niejako obowiązek gospodarzy i uwijali się w swych czerwonych mun-

durach jak raki pomiędzy towarzyszami, zgartując słomę, która tu z dawniejszych czasów pozostała, i przygotowując z niej posłanie dla siebie i innych.

Niebawem też znużenie po tylu trudach bojowych i po forsownym marszu z austryackiem wojskiem przemogło u jeńców bolesne wrażenia doznanej krzywdy i upokorzenia, i większa ich część rzuciła się na słomę lub na gołą podłogę, zapominając o smutnej przeszłości i niepewniejszym jeszcze jutrze.

W jednym z kątów ciemnej kaźni siedział odosobniony całkiem jeniec. Był to właśnie ów młody polski oficer, którego zajście z majorem w poprzednim opisaliśmy rozdziale. Gdy towarzysze jego przybyli do aresztanckiej izby, już go tam byli zastali. Niejeden też z nich, a mianowicie niejeden z oficerów, usiłował zbliżyć się do szlachetnego i śmiałego kolegi, aby uściskiem dłoni oddać hołd jego bohaterskiemu zachowaniu się; ale koło młodego jeńca stała osobna straż, z dwóch dragonów złożona, którzy trzymali swe ogromne pistolety na pogotowiu i niedopuścili nikogo do więźnia.

Młodzieniec ten, którego major nazwał Augustem Szczytowskim, a którego i my odtąd zwać tak będziemy, siedział z skrępowanemi w tył ramionami, głowę pochylił ku piersi i zdawał się

być głęboko zadumanym. Na bladej jego twarzy malowało się znużenie obok ponurej rezygnacyi, a tylko drżące usta i gorączkowy wzrok jak echo minionej burzy przypominały ów wybuch namiętnego gniewu, który nim niedawno miotał.

Gdy nagle towarzyszy jego wprowadzono do kaźni i szczupła przestrzeń zaludniła się cała, on spojrzał na swych kolegów i na współczucie malujące się w ich oczach odpowiedział smutnym i gorzkiem uśmiechem, a potem strojąc piękną swą twarz w wyraz męzkiego hartu, z dumą podniósł czoło do góry, jakby chciał dowieść, że nie dba o dalsze swe losy.

Niedługo jednak przebywał August w towarzystwie swoich towarzyszy, które jakkolwiek nieme, mogło być przecież rodzajem pociechy w niedoli. Wkrótce otwarły się drzwi kodegardy i wszedł ów podoficer, któremu major dawał osobne jakieś polecenia. Był to wysoki, osiwiały już mężczyzna, z miną sztywną i służbistą, z wyrazem dzikiej prawie surowości na ogorzałej twarzy. Za nim weszło dwóch żołnierzy z muszkietami i najeżonemi bagnetami i stanęło przy drzwiach oczekując rozkazu.

Podoficer zbliżył się do dragonów, szepnął im coś językiem łamanym czesko-niemieckim i

dotykając końcem swej urzędowej laski młodego jeńca zawołał:

— Vorwärts Polak!

Zwolna i obojętnie podniósł się nasz jeniec, rzucił raz jeszcze pożegnalne spojrzenie na swych towarzyszy, skinął głową i oddany przez podoficera żołnierzom wyszedł z kaźni.

Przez gmach trybunalski ratusza wiodło przejście brukowane i sklepione, przez nie poprowadziła straż jeńca aż na przeciwny koniec gmachu, gdzie się znajdowały więzienia. Oczekiwał tu nadchodzących pachołek magistratu z pękiem kluczów, a gdy podoficer zbliżył się z więźniem, otworzył drzwi do pierwszej z kolei celi.

Z długo nieotwieranej celi, ciemnej i brudnej, tchnął wstrętny prąd ciężkiego, popsutego powietrza i owiał przykrym tchem stęchlizny i wilgoci rozpalone lica młodego oficera. Jakby nie mógł pokonać wstrętu zawahał się nasz więzień na progu, ale potrącony silnie przez podoficera znalazł się w więzieniu, którego drzwi w tej chwili się zawarły.

Podoficer postawił na straży jednego z żołnierzy przy drzwiach, drugiemu kazał udać się zewnątrz gmachu pod okratowane okno celi, sam zaś przerzuciwszy pęk kluczów przez rękojęść swej szabli, wyszedł z ratusza. Cisza się zrobiła

w całym gmachu, a takież same milczenie zaległo cały plac rynkowy, przed chwilą tak rojny i ożywiony, obcy bowiem żołnierze odpoczywali po trudach marszu, mieszkańcy zaś kryli się w zakątkach domowych, oddając się trwożnym i pełnym zwątpienia rozmyślaniom.

Opuścimy na chwilę młodego jeńca i udamy się do jednej z pobliskich gmachowi trybunalskiemu kamienic, w której jak to poznać było można po warcie i snujących się ordynansach, stanął kwaterą jeden z wyższych oficerów austryackich.

Była to istotnie kwatera placmajora, oficera przeznaczonego na prędce do utrzymywania policyi wojskowej i rygoru nad mieszkańcami. To też podczas gdy w kwaterach reszty oficerów pogasły już światła, a strudzeni żołnierze we śnie szukali spoczynku po długim marszu, w pomieszkaniu pana placmajora panował ruch żywy i ustawiczna komunikacya z odwachem.

W dużej izbie na dole, rozparty w wygodnem krześle siedział pan plac-major, a nie był nim nikt inny, jak tylko znany nam już major od dragonów, którego nasz młody jeniec polski nazwał Szczepanem Rozworskim. Zdawał się myśleć nad czemś głęboko, bo pochylił głowę na dół i mrucząc od czasu do czasu niezrozumiałe słowa,

szarpał swój wąs jasny, a na raporta i zapytania przychodzących i odchodzących ordynansów i podoficerów odpowiadał tylko po pauzie, której za każdym razem potrzebował do ocknienia się z zadumy.

Gdy wreście wydane zostały wszystkie nocne hasła i rozkazy, których potrzebowały straże i patrole, mające czuwać nad spoczynkiem wojska, które czuło się poniekąd w nieprzyjacielskim kraju, major drzwi zasunął na rygiel i stłumił nieco płomień w lampie, jakby mu potrzeba było ciszy i cienia do dalszych rozmyślań.

Rzucił się znowu na krzesło, rozpiął mundur i opierając głowę na dużych, żylastych dłoniach, siedział jakiś czas nieruchomo. Następnie, jak gdyby go myśli, którym się oddawł, jątrzyły i niepokoiły, porwał się na nogi, i silnym, mierzonym krokiem przechadzać się począł po izbie.

Siwe oczy zamigotały mu jaśniej, twarz mu płonęła coraz żywiej, a z ust wydobywały się wyrazy, które z nieartykułowanego mruku przechodziły powoli w coraz głośniejsze i zrozumialsze słowa. Krok jego stawał się coraz szybszym, jakby na znak, że rozjątrzenie wzmagało się, aż nagle major zatrzymał się i sam do siebie zawołał:

— Mogłem go zabić... Czemuż go nie zabiłem? Sposobność była jedyna, paść mógł od mego

strzału lub pchnięcia i wszystko byłoby skończone! Nie poznaję siebie, zkąd ta chwila słabości, w której młokos ten śmiał igrać ze mną i urągać mi bezkarnie!...

— Kto wie, może to lepiej — mówił do siebie dalej major — mam go w mej mocy, nie ujdzie mi, a czego nie zrobiłem zaraz w pierwszej chwili, zrobić mogę dzisiaj, zrobię zaraz... Gdybym go był zabił na miejscu, byłbym nasycił moją namiętność i nienawiść, teraz zaś mam sposobność uczynić to z pożytkiem... Nim umilknie na wieki, będzie musiał mówić... nim go usunę na zawsze, postaram się, aby mi nigdy po śmierci nie stanął upiorem na drodze, aby nie świadczyła przeciw mnie pamięć jego!

Twarz majora przy słowach tych rozgorzała odbłyskiem prawdziwie demonicznego zadowolenia. Zatarł ręce z okrutną rozkoszą, a po ustach przebiegł mu uśmiech szkaradny. Począł się znowu żywiej przechadzać po pokoju, a po kilku chwilach przystąpił do drzwi, odryglował je, otworzył i zawołał w słabo oświetloną sień:

— Trunk!

— Tu! — odpowiedział głos służbisty, i w tej chwili wszedł do pokoju kapral, ten sam, który zamknął do celi jeńca i klucze od kaźni zachował.

Wszedłszy do pokoju kapral Trunk stanął przy drzwiach, wyprostował się jak świeca i wlepił wzrok sztywnie w majora.

Major przystąpił do niego i zapytał szorstkim i surowym tonem:

— Mój rozkaz?

— „Najposłuszniej“ spełniony, panie majorze!

— Cóż się więc dzieje z aresztantem?

— Związany, oddzielony od reszty i zamknięty w osobnej celi.

— Bezpiecznie?

— Straż podwójna.

Major przeszedł się po izbie, spojrzał na zegarek stołowy i powróciwszy do podoficera, położył mu ciężką swą rękę na ramieniu, wlepił weń swój wzrok surowy i przeszywający i ozwał się głosem powolnym, dobitnym:

— Czy chcesz zostać wachmistrzem, dostać medal, gratyfikacyę z kasy pułkowej, srebrny zegarek odemnie, wziąć urlop i pójść do domu?

Twarz kaprala rozjaśniła się, jakby od przedsmaku owego szczęścia, które odmalował mu major swem zapytaniem.

— O chcę „najpokorniej“, panie majorze! — zawołał z radośnem zdumieniem.

— Słuchaj tedy! Za dwie godziny, o jedenastej, weźmiesz sześciu ludzi z odwachu i przyjdziesz

tu po mnie. Potem pójdziemy do tego buntownika Polaka... Ale to niedość... Pamiętaj, że mam z nim spisać wojenny protokół. Wiesz co potrzeba, abyś przyniósł do tego protokołu?

— Wiem... — odparł sucho kapral — i twarz jego przybrała minę ponurą oprawcy.

— To dobrze — mówił dalej major — nie ma wątpienia, że ten aresztant zechce uciekać, a wtedy co zrobimy?

— Trzy kroki dystansu... sześć strzałów... ognia...

— A jak przy raporcie zapytają, czemu?

— Prosta rzecz, bo uciekał...

— Pamiętaj tedy: godzina jedenasta! A teraz ruszaj!

Kapral Trunk skręcił się na piętach i zniknął za drzwiami.

Major pozostawszy sam w izbie, roztworzył małą, blaszaną, skórą okrytą kasetkę, wydobył z niej plik papierów, i począł przeglądać. Potem usiadł do stolika i po niejakim namyśle począł pisać. Skończywszy począł przechadzać się po pokoju a na twarz jego wystąpił wyraz głębokiego zamyślenia i poznać można było łatwo, że coś rozważał i kombinował.

Od chwili zaś do chwili to wydobywał własny zegarek, to spozierał niecierpliwie na duży staroświecki zegar stołowy.

Była dopiero godzina dziewiąta.

— Jak leniwo czas się ślizga! — mruknął do siebie major — czemuż wcześniejszego terminu nie wyznaczyłem... Ale nie, trzeba czekać, aż przybędzie noc głęboka z swą ciszą i tajemnicą! Za dwie godziny, gdy on zginie, któż mi stanie na drodze?...

Podczas gdy major wśród ponurych myśli i widocznego wzburzenia wiódł z sobą samym rozmowę i oczekiwał nadejścia przeznaczonej godziny, młody oficer polski leżał na wilgotnej, nagiej podłodze swej celi i zdawał się być oddanym rozpaczliwej i głuchej rezygnacyi. Od czasu tylko do czasu całe ciało jego zadrgało ruchem jakimś nagłym, gorączkowym, a z ust uleciało westchnienie lub jęk, który raczej gniew niż boleść wyrażał.

W całym gmachu trybunalskim panowała dokoła cisza głęboka, tylko krok straży pod drzwiami stłumionym odzywał się echem. Ciszę tę przerwał dzwon zegara miejskiego, wybijający godzinę dziesiątą. Uderzenia zegara zdawały się być hasłem do rozbudzenia ruchu w oniemiałym gmachu. Była to godzina zmieniania straży. Na odwachu wszczął się ruch, żołnierze przeznaczeni do dalszej warty nocnej występowali zaspani pod broń i wkrótce rozległy się kroki w rozmaitych kierunkach.

W małem okienku celi, wychodzącym na kurytarz, zabłysło światło słabe. Promień jego padł na twarz leżącego jeńca, który przetarł oczy i podniósł się z ziemi, nadsłuchując ruchu, który się odezwał tuż pod drzwiami jego kaźni.

W tej chwili zaskrzypiał klucz w zardzewiałym zamku i przez otwarte drzwi rozlało się światło po celi. Na progu ukazał się kapral Trunk z dwoma żołnierzami. Przybył on zmienić straż, stojącą pod drzwiami, i wszedł do kaźni, aby obaczyć jeńca i wskazać go żołnierzowi, który świeżo przybył na wartę.

Kapral podniósł latarnię do góry i oglądając sam jeńca, zawołał z czeska do żołnierza:

— Widzisz go! Jakby uciekł, kula w łeb!

Żołnierz podniósł się nieco na palcach, wysunął twarz naprzód i wlepił oczy swe senne w pokazanego sobie aresztanta. Ale w miarę jak patrzył, oczy jego, które miały wyraz zaspania i głupiej obojętności, przybierać poczęły cechę szczególnego zdziwienia i prawie przestrachu.

Żołnierz raz jeszcze posunął się naprzód, potem znowu cofnął się, jakby szukał lepszego punktu widzenia, wytężył oczy jeszcze mocniej i począł je przecierać, przyczem ledwie na ziemię nie opuścił muszkietu.

— Panie Polak! — odezwał się w tej chwili kapral Trunk — do widzenia! Nie życzę dobrej nocy, bo za godzinę będziesz miał gości! Przyjdzie tu Herr Oberstwachmeister Rozworski. Będzie Kriegsrecht, panie Polak, Hals-pein-Kriegsgericht!

Usłyszawszy nazwisko majora, którego przybycie zapowiadał podoficer, jeniec nasz drgnął gwałtownie, oczy mu zapałały namiętnie a na czoło wystąpiła chmura oburzenia i nienawiści...

Usta zadrzały mu, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale nie wydobył żadnego głosu z siebie, odstąpił tylko w tył i oparł się o mur w milczeniu.

— Hinaus! — zawołał tymczasem kapral na żołnierza.

Ale żołnierz stał jak skamieniały i ciągle patrzył na swego więźnia, a z oczu jego nie ustępywał wyraz niewysłowionego zdumienia.

— Hinaus! — powtórzył kapral i zniecierpliwiony pchnął pięścią zapatrzonego żołnierza.

Żołnierz ocknął się, uchwycił silniej muszkiet, raz jeszcze spojrzał na jeńca i wyszedł z kaźni. Za nim wyszedł i kapral zatrzaskując drzwi z całej mocy.

Drzwi stare, wypaczone, widocznie nie przymykały dobrze, bo kapral przycisnął je kolanem

i dopiero wtedy kręcić począł kluczem. Nie szło mu jakoś składnie, i zawołał na żołnierza:

— Przyciśnij drzwi, a ja zamknę!

Żołnierz odstawił na bok muszkiet i przystąpiwszy, korzystał z światła latarni, którą trzymał kapral, aby je oglądnąć z miną wielce uważną i przebiegłą. Potem przytknął się do nich całem ciałem, stęknął jakby od wielkiego natężenia i zawołał:

— T e p e r f e r t i g, panie kapral, s z l u s u j c i e!

Kapral Trunk obrócił dwa razy kluczem, a wrzeciądze zatrzasnęły się głośno podwójnym nawrotem.

Żołnierz zaraz stanął przy drzwiach, a podoficer dawszy mu ostre napomnienie, aby uważał, odszedł z kluczami na odwach.

Żołnierz stał nieruchomo pod drzwiami. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, liczący może lat trzydzieści. Łagodne rysy twarzy i poczciwy, tęskny wzrok odbijały dziwnie od długiego wąsa, wykręconego i wywoskowanego czupurnie.

Typ jego twarzy i całej postaci mówił wyraźnie, że nie należał ani do czeskiej, ani do niemieckiej lub węgierskiej narodowości, które głównie składały się na korpus pana jenerała Majenszerma. Z kilku słów wyrzeczonych do kaprala w woj-

skowym, popsutym żargonie, można było wnioskować, że jest Rusinem.

Przez kilka chwil dobrych żołnierz stał sztywnie i nieruchomo. Gdy zniknęło mu już zupełnie z oczu światło latarki, niesionej przez kaprala, i gdy ucichły już kroki wart zmienionych i powracających z miasta patroli i rondów, odważył się powoli posunąć na środek ciemnych sieni i rozglądnął się do koła.

W długich i szerokich sieniach było ciemno i głucho. Jak już powiedzieliśmy, sklepiona ta sień przechodziła przez cały gmach trybunalski. Drzwi zamykające wychód na tylną stronę były zamknięte szczelnie, drzwi od frontu, przy odwachu tylko słabo przywarte, tak że przez szparę przeciskał się blask księżycowej nocy.

Po kilku minutach nadsłuchiwania żołnierz oparł swój muszkiet przy drzwiach i cichutko, na palcach, puścił się w głąb korytarza.

Widocznie chciał dobrze zrekognoskować miejscowość, a przedewszystkiem przekonać się, czyli nie ma kogo w samym korytarzu.

Jedną część korytarza, oświetloną ową strugą księżycowego blasku i światełkiem bijącem z okienka bocznych drzwi kordygardy, która znajdowała się zaraz przy głównym wchodzie, można było zbadać

spojrzeniem, drugą, pogrążoną w ciemności, musiał żołnierz przejść ostrożnie.

Idąc powoli i cichutko, zatrzymał się nagle, jakby przestraszony. O kilka kroków przed nim zarysowały się kontury jakieś ciemne, jakby leżących lub siedzących ludzi. Żołnierz zawahał się chwilę, a potem śmielej posunął naprzód. To co się wydawać mogło grupą odpoczywających żołnierzy, było tylko składem bagażów wojskowych, popsutych muszkietów, lub rynsztunków maroderów, które umieszczono tu na prędce.

Jakby uspokojony tem spostrzeżeniem żołnierz przebiegł ostrożnie ale już śmielej resztę ciemnej sieni, a potem powrócił pod drzwi kaźni, przy której oparł był swój muszkiet.

Znalazłszy się na swojem miejscu, raz jeszcze słuch i oko wytężył, a potem z lekka, cicho, zapukał do okienka, czyli raczej otworu nieoszklonego, znajdującego się we drzwiach, i odsunął z niego rodzaj zasuwanej okienniczki.

Na pukanie to nie odpowiedziano w celi... Żołnierz po chwili zapukał powtórnie do drzwi trochę głośniej, choć jak przedtem łagodnie i ostrożnie, i przychylił ucho do drzwi.

Z kaźni dały się słyszeć ruch i stąpanie, które zatrzymało się przy drzwiach... Żołnierz jakby w celu tem wyraźniejszego zwrócenia uwagi więźnia

raz jeszcze powtórzył pukanie, a potem podnosząc się na palcach i zbliżając usta do otworu szepnął cicho lecz wyraźnie:

— Paniczu...

Lekki szmer dał się słyszeć w odpowiedź z tamtej strony drzwi, a w szybce ukazała się tuż przed oczyma żołnierza twarz jeńca.

— Paniczu... — szepnął znowu żołnierz — ja was poznał... a może i wy mnie już poznali... Ja swój, dobry znajomy...

Słowa te wymówił żołnierz czystym akcentem ruskim.

— Kto? — szepnął jeniec głosem, w którym przebijało się zdziwienie.

— Alboż wy pamiętacie, jak ja się zwał, paniczu Szczytowski — rzekł żołnierz — ot, kto ja, Mykita Sawczyn... biedny wojak...

— Ty, Mykita z Modrowa!

— A nie inaczej, paniczu... Ot i poznaliście mnie.

— Cóż tu robisz?

— Ot co! Na warcie stoję koło was, paniczu!... Hej, hej... ktoby się tego spodziewał...

— W Modrowie co słychać?—przerwał więzień z pospiechem — wszyscy zdrowi... panna?...

— Byli zdrowi, jakem odchodził, ale to już rok temu, jak mnie wzięli w kamasze, ta aż tu przypędzili... Oj gorzka mi dola, paniczu...

Nastąpiła chwilka milczenia.

— Słuchaj Mykita — odezwał się jeniec — ty sam mnie pilnujesz?

— Sam z tej strony, a z tamtej od okna, jest drugi...

— A wiesz, że jak nie ucieknę zaraz w tej chwili, to zginę marnie?

— Oj to bieda... gorzka bieda!...

— A uciec mi nie można?...

— A kto to wie, możeby jak i można paniczu— odrzekł żołnierz z uśmiechem pełnym satysfakcyi.

— Ale jak? Mam ręce związane... masz nóż może... ja stanę na listwie drzwi, podniosę ręce, ilę będę mógł a ty przetnij powrozy.

— Ta na co? — zapytał naiwnie Mykita.

— Jak to na co? Aby drzwi wysadzić, jeżeli będzie można...

— Oho, paniczu, toby dopiero był sposób na nic... A gdzieżby wy drzwi wyłamali! Już ja o tem inaczej pomyślał...

— Więc jakże?

Mykita obejrzał się raz jeszcze do koła, nadsłuchiwał chwilkę, a gdy się uspokoił panującą do koła głuchą ciszą, szepnął:

— Na co drzwi wyłamywać, paniczu... Drzwi otwarte.

I uchwyciwszy za rygiel, otworzył drzwi zwolna.

Jeniec jednym skokiem stanął w ciemnych sieniach.

— To cud! — zawołał stłumionym głosem — zbawco mój, jakże to się stało?...

— Ot jak... bez żadnego cudu... Cud w tem, że mnie tu postawili i że ja was poznał, paniczu. A poznałem zaraz, jak mi was tylko kapral pokazał... Jak przyszło drzwi zamknąć, nie chciały zaprzeć się dobrze i rygiel nie wchodził w zasuwę. Kapral kazał mi przycisnąć, i ja też co mocy przycisnął, ale wsunąłem pierwej między drzwi koniec od pochwy z bagneta. Jak zawołałem, że już fertig, kapral skręcił klucz, trach!... trach!... żelazo zaszło w dwa spusty, ale nie w hak, jeno ot po za hak...

I wskazując na rygiel żelazny sterczący z drzwi otwartych dodał:

— Ot jaka bieda gruba... ktoby to złamał!

W tej chwili zobaczył Mykita, jak na okratowanem oknie celi rysował się bagnet żołnierza stojącego zewnątrz na warcie i prędko drzwi zamknął.

— Paniczu, jeżeli mamy uciekać, to zaraz — zawołał z cicha.

— Jak to i ty?

— A pocóżby mi tu zostawać, jak ja was już

puścił, to tu nie ma dla mnie popasu... Ot tak... rozwiążę wam ręce...

Za pomocą silnych zębów i noża Mykity, ramiona jeńca były w mgnieniu oka wolne.

Jeniec rzucił się na żołnierza i serdecznie go uściskał. Potem jakby gnany bezwiednym instynktem, zrobił ruch ku światłu bijącemu przez szczelinę drzwi od głównego wchodu.

— Owa! — szepnął Mykita — tak nic z tego. Tak nie uciekniemy.

— Więc cóż zrobić!...

— Ot bierzcie paniczu muszkiet i stójcie jak na warcie, na przypadek, jakby kto z kordegardy wyglądnął. A ja coś tym czasem przyniosę.

Jeniec wziął muszkiet na ramię i stanął przy drzwiach, a Mykita przypadł na ziemi i na raczkach podsunął się do owego składu przyborów i bagażów, które leżały w dalszej części sieni. Niebawem powrócił w ten sam sposób. Miał w ręku kasko duże, takie, jakie sam miał na głowie i muszkiet z nasadzonym bagnetem.

Nim go jeniec miał czas zapytać, co myśli robić, już mu Mykita nasadził na głowę ciężkie kasko:

— Tak będzie dobrze! Teraz wy paniczu wojak i idziecie ze mną luzować warty, niby to z wachcymru... A niech nam teraz h o s p o d' Bóg i prze-

czysta Panna będą miłościwi, bo jak poznają i złapią, wtedy pożegnać się z życiem... Co nas czeka, to nie wiem, ale ja przysięgał wierność „na polu i w murach, na morzu i lądzie“, i jak nie ujdę, będę gryzł ziemię surową i już mnie nie zobaczy stara mateńka. Przeżegnajmy się paniczu!

I uzbroiwszy piersi swe potrójnym znakiem krzyża świętego, poczciwy Mykita wziął muszkiet drugi na ramię i pewnym krokiem posunął naprzód.

Za nim z muszkietem po formie i z kaskiem na głowie postępywał jeniec. Kiedy mijali drzwi od odwachu, Mykita aż oddech wstrzymywał od obawy, ale nikt nie wyglądał przez okienko.

Kiedy już stanęli pod bramą, rzekł poczciwy Rusin:

— Szyldwach chodzi po stronie lewej. Panicz niech teraz idzie naprzód, zaraz po pod mur na prawo, a ja tuż za wami z tyłu, aby was zakryć, bo noc, jakby licho nadało, taka miesięczna. Jeżeli na nas warta nie zawoła, to dobrze na początek, a co dalej będzie, w bożych rękach.

Rzekłszy to otworzył Mykita bramę, która przeraźliwie zaskrzypiała. Zatrwożony jeniec postąpił szybko naprzód, ale Mykita polecił mu iść wolniej i aby nie wzbudzać podejrzenia straży, przymknął bramę spokojnie napowrót.

Obu zbiegów oblało jasne światło miesięczne i orzeźwiające tchnienie chłodnego powietrza, które jeniec z rozkoszą zaczerpnął do uciśnionej piersi. Według polecenia Mykity skręcił na prawo, a Rusin szedł tuż za nim zakrywając go sobą.

Oparty o mur koło szeregu karabinów stał żołnierz i zdawał się drzemać. Na skrzyp bramy ocknął się, podniósł głowę do góry i klejące się do snu oczy zwrócił w stronę, z której go kroki dochodziły. Ujrzał dwa bagnety sterczące, dwa kaska wysokie, oparł się napowrót, ziewnął głośno, i wstrząsł się od chłodu, nie zwracając uwagi dalszej na obu żołnierzy, których za patrol uważał...

Tymczasem obaj nasi znajomi skręcili po za trybunał i znikli...

. . . .

Major Rozworski czekał niecierpliwie godziny oznaczonej. Siedział na krześle i przerzucał gorączkowo leżące przed nim papiery, z których niektóre świeżo były zapisane. Im bardziej zbliżała się wskazówka na stołowym zegarze do cyfry jedenastej, tem wyraźniej wybijał się na jego twarzy wyraz niecierpliwości i wzburzenia.

Zdawało się, że to zbliżenie się spotkania z więźniem wzburzało go i przejmowało uczuciem niepokoju, który przybierał prawie wyraz trwogi.

Nareszcie wskazówka leniwa dobiegała już oznaczonego kresu.

Major porwał się z krzesła i otarł swe wysokie, wypukłe czoło, które oblane było potem.

— Nie pojmuję siebie — mruknął przez zęby major — jakaś niepojęta groza wieje od tego młokosa... Przejmuje mnie trwoga poniewolna... jakby nie on pod moją, ale ja pod jego leżał stopą!

W tej chwili uderzył zegar głośno jedenastą godzinę.

Major zapiął szybko swój mundur, przypasał szablę, nasadził hełm, i papiery, które przed nim leżały, schował w zanadrze.

Równocześnie prawie z ostatniem uderzeniem zegarowego dzwonka dało się słyszeć pukanie do drzwi, i w progu ukazał się kapral Trunk, wyprężony jak struna, z ręką wyciągniętą do kaska. Za nim połyskiwały bagnety przyprowadzonych żołnierzy.

— Pójdziemy — ozwał się major i chciał postąpić ku drzwiom.

W tej samej jednak chwili, gdy słowo to wyrzekł, zatrzeszczała szyba i coś silnie uderzyło go w hełm. Uderzenie było ciężkie, jakby od kamienia. Pocisk sam upadł i potoczył się na ziemię.

Major pochylił się ku ziemi i ujrzał coś okrągłego, owiniętego w papier...

Pod oknem dały się słyszeć szybkie kroki, jakby uciekającego człowieka...

Major szybko rozwinął papier, z którego wypadł kamyczek. Z zdziwieniem spojrzał na kartkę, która została mu w ręku. Była ona zapisaną ołówkiem.

Major zbliżył się do lampy i rzucił okiem na zagadkową depeszę. Na kartce stały następujące słowa:

Mości Panie Majorze!

Przepraszam najmocniej, że nie oczekiwałem twojej wizyty, panie Szczepanie Rozworski! Musiałem opuścić kwaterę przed przybyciem uprzejmego gospodarza. Daruj, spieszno mi było, spieszniej niż panu widzieć się ze mną. Racz się nie fatygować. Nie bierz tego za złe, mości panie majorze. Przyjmuję wizytę jako faktyczną, i jak tego grzeczność wymaga, o d d a m c i j ą — przysięgam ci na Boga żywego! o d d a m c i j ą! Spodziewaj się jej codziennie, co chwila, kładź się do snu przygotowany na to, że cię zbudzę... Niespodziewani goście najmilsi, nieprawdaż, panie majorze?

Adresu twego nie potrzebuję. Znajdę cię wszędzie, choćby na końcu świata!

Do widzenia tedy!

August Szczytowski.

Major odczytawszy te słowa zadrzał jak liść, a potem stanął jak martwy na miejscu.

Oczy jego utkwiły w małej kartce i oderwać się od niej nie mogły.

Tak stał chwilkę śmiertelnie blady, aż nagle poczerwieniał i ocknął się wybuchając namiętnie.

Wydał z siebie okrzyk pełen wściekłego gniewu, a kartka zniknęła w ściśnionej gwałtownie dłoni...

— Uciekł! — ryknął w najwyższej furyi — hola za mną! Muszę go schwytać!... muszę go mieć żywego lub trupem! Za mną! więzień niebezpieczny zbiegł z więzienia! Alarm, pogoń, patrole konne!

I jak szalony wybiegł na ulicę, a za nim pospieszyli przerażeni żołnierze...

IV.

TOWARZYSZE UCIECZKI.

Było to w kilkanaście dni po wypadkach, które opisaliśmy w poprzednich rozdziałach. Od dawnej widowni przedziela nas znaczna odległość miejsca. Znajdujemy się tym razem w owej części kraju, która w czasie ostatnich zapasów o wolność zmuszoną była odgrywać rolę bierną, i tylko współczuciem patryotycznem, tylko podzielaniem nadziei. wiążących się z dolatującem echem boju, tylko boleścią, wywołaną przez ostatnie stanowcze ciosy, a nie bezpośrednią pomocą, nie otwartym czynem przebywała wszystkie wzruszające i tragiczne perypetje chwil przed- i pomaciejowickich.

Mamy na myśli Galicyę, która teraz właśnie w zajętych po bitwie maciejowickiej przez wojska austryackie okolicach otrzymała wspólniczkę doli i nazwy: Galicyę tak zwaną „nową“. Ale i nasza stara Galicya nie była jeszcze wówczas tak starą i miała dopiero lat dwadzieścia i trzy.

Zrównana opłakanym losem z innemi ziemiami polskiemi, którym do niedawna zazdrościła, spełniała Galicya w ostatnich chwilach walki smutne swe zadanie: służenia za chwilowe schronienie, za niepewne przytulisko dla nieszczęśliwych rozbitków, uchodzących przed zwycięzkim wrogiem, który przechodził teraz żelazną stopą po zdobytej ziemi.

Mnóstwo żołnierzy polskich chroniło się tu przed okrucieństwem i zemstą nowych władz moskiewskich, które najsroższym uciskiem i mordowaniem bezbronnych jeńców inaugurowały niewolę. Nie tylko wszakże z miejsc zajętych już przez wojska moskiewskie, ale i z tych okolic, które uległy okupacyi austryackiej i otrzymały nazwę „nowej Galicyi", chroniły się gromadki rozbitków i wygnańców do „starej Galicyi". Wprawdzie ci, którzy chronili się tu z okolic zajętych przez Austryaków, spotykali się z tym samym rządem, przed którym uchodzili, ale mimo to Galicya „dawna" była zawsze o tyle przynajmniej lepszem miejscem przytułku, o ile rząd ten ustaliwszy się w niej, złagodniał znacznie i większego bezpieczeństwa dawał rękojmię, niźli w Galicyi nowej, która zajęta zbrojną ręką, postawiona w pierwszych dniach pod władzę wojskową musiała stać się ofiarą wszelkich dorywczych aktów przemocy,

wszelkich skutków surowości wojennej, jakie nieodłączne są od nagłej okupacyi i pierwszych chwil obcego rządu.

Bezpieczniejsi tu byli wygnańcy, ale bezpieczni całkiem nie byli. Władze tutejsze, choć nie zaniedbujące ze wszystkiem względów humanitarności, trzymały się przecież wobec rozbitków systemu nietolerancyi, czasami bardzo surowej i bardzo jaskrawej. Ścigano i tu rozbitków kościuszkowskiego powstania, więziono, wyrzucano za kordon moskiewski, albo wcielano do szeregów armii. Mimo to jednak wielu z nich zdołało wypocząć tu po przebytych cierpieniach i trudach, uzyskać tyle przynajmniej spokojnego czasu, aby nabrać sił do nowych przygód i kolei tułactwa, które im niosło niepewne jutro. Zawdzięczać to należało głównie obywatelom wiejskim, którzy obeznani już dobrze z rządem i jego organami, a niewyczerpani w fortelach i środkach najrozmaitszych, umieli zapobiegać rygorom i mylić czujność urzędów.

To też w pierwszych tygodniach po klęsce maciejowickiej można się było spotykać na każdem prawie miejscu z rozbitkami wojska polskiego, chowanymi skrycie po dworach, aresztowanymi i znów odkradanymi, przymycanymi ze wsi do wsi, z okolicy w okolicę.

Do takiej to kontrabandy żywej należeli widocznie także dwaj mężczyźni, którzy w czasie oznaczonym na początku tego rozdziału na prostym wózku chłopskim jechali wśród wieczornego zmierzchu drożyną wiejską, wiodącą przez jedną z okolic przemyskiej ziemi. Osobliwie jeden z nich, młody jeszcze bardzo, zdradzał swą bardzo nie dawną obozową przeszłość i ogorzałą twarzą i resztkami żołnierskiego stroju, które nie dały się usunąć przez pospieszne i niedostateczne przebranie. Miał on bowiem na sobie sztylpy kawaleryjskie i kurtkę wojskowego kroju, choć bez żadnych oznak żołnierskich, którą okrył długą burką z grubego sukna, a na głowie siedział z junacka kołpaczek, któremu brakło tylko galonu i kitki, aby zachował swą dawniejszą uniformową cechę.

Obok niego siedział drugi, starszy nieco, ale także pierwszej jeszcze młodości mężczyzna, z miną dużo mniej dystyngowaną i wyrazem trwożliwej jakiejś pokory na twarzy, ubrany w kubrak hajducki nieco za przestronny i z kapeluszem wiejskim słomianym na głowie.

Chłopak powożący poganiał swe małe koniki, które z trudnością tylko darły się przez wyboje złej drogi, co widocznie wielce niecierpliwiło młodzieńca w kołpaczku. Wytężał on wzrok przed siebie, jakby usiłował przebić mrok wieczora i

dojrzeć celu, do którego podróż zmierzała, a co chwila naglił chłopka do pospiechu.

— Słuchaj — odezwał się do siedzącego obok siebie towarzysza — popatrz, czy daleko jeszcze? Tak dawno tu nie byłem, straciłem już pamięć drogi...

Mężczyzna w kubraku hajduckim podniósł się z siedzenia, wytężył wzrok w stronę, w której gubiła się drożyna wiejska i odrzekł:

— Już widać paniczu... Hen, hen... daleko!... r y c h t i k g r a d a u s... tylko się ćmi w oczach, to karczma na Czekaju.

Młodzieniec powstał, oparł się jedną ręką na ramieniu furmana i patrzył w wskazaną stronę. Płaszcz, którym dotąd był otulony i którego wysoki kołnierz osłaniał mu połowę twarzy, opadł na dół. Była to twarz choć nieco wynędzniała ale urodziwa, a co przedewszystkiem czytelników naszych obchodzi, była to ta sama twarz śniada, marsowa, z orlim nosem i ognistym, rogatym wyrazem oczów, którą poznaliśmy na rynku w Lublinie.

Młodym, niecierpliwym podróżnym był August Szczytowski, jeniec polski, zbieg z trybunalskiego więzienia, a łamana z ruska polszczyzna, którą mu odpowiadano, nie pozostawiała wątpliwości, że towarzyszem jego nie był kto inny, jak tylko

ów żołnierz, który mu tak niespodzianie ułatwił ucieczkę.

Nie będziemy obszernie opowiadać czytelnikom ucieczki tej dalszych szczegółów. Ograniczymy się tylko na dodaniu, że obaj nasi awanturnicy szczęśliwie wymknęli się po za gmach trybunalski, a minąwszy ostatnie, zewnętrzne straże, poodrzucali muszkiety i kaska, które oddawszy im dotąd tak dobre usługi, w dalszej ucieczce przez miasto mogłyby były stać się powodem odkrycia.

Przesuwając się po pod kamienicę, w której umieszczoną była komenda placu, a którą mijać koniecznie było trzeba, młody jeniec spojrzał mimowolnie w jasno oświetlone okno i jakby uderzony jakiemś magicznem widziadłem, stanął na miejscu jak wryty...

Przez okno można było widzieć dokładnie majora znanego już dobrze naszym czytelnikom.

Na widok majora August zadrzał. Nie było to jednak drzenie trwogi zbiega, był to dreszcz namiętnego gniewu i nienawiści. Nienawiść ta, jakby kurczami ścisnęła pierś oficera, bo chwycił się jedną ręką za serce, ściskając drugą gwałtownie...

Z ócz połyskiwał mu blask szalonego gniewu, a pierwszym ruchem jego po chwili otrętwienia

było instynktowe sięgnięcie do pasa, gdzie dłoń spodziewała się może zastać broń zwyczajną.

Żołnierz, który drżał ze strachu, bo może mu dopiero teraz stanęło straszliwem widmem niebezpieczeństwo uczynionego kroku, dotknął się z lekka ramienia Augusta i szepnął:

— Paniczu! czego stoicie! uciekajmy...

August przypomniał sobie teraz swego towarzysza i zwracając się ku niemu, syknął stłumionym głosem:

— Czemu rzuciłeś muszkiet głupcze! Był nabity!

— Ale na cóż wam muszkietu... Nie traćmy czasu, na miłość Boga!

— Na co? Zabiłbym go jak psa! Ale nie... spotkamy się jeszcze... A tymczasem dam ci wiadomość o sobie, panie majorze Rozworski!

Sięgnął w zanadrze i wydobył seksternik mały i ołówek, który miał jeszcze w obozie przy sobie, a których mu nie odebrano, gdyż nie przebywał był dotąd rewizyi. Potem podszedł bliżej, stanął z boku tuż przy oknie i przytrzymując papier na murze, począł kreślić szybko swój list do majora.

Żołnierz z rozpaczą i z najwyższem zdziwieniem patrzył na swego towarzysza, o którym gotów był przypuszczać, że dostał obłąkania.

— Co wam jest, czyście rozum postradali, paniczu?—zapytał szarpiąc za poły Augusta. — Na miłość Boga... mnie i siebie zgubicie...

— Tylko chwilka... tylko chwilka... skończę zaraz... — uspokajał August nie przestając pisać.

Jakoż dotrzymał za małą chwilę słowa, odstąpił od muru, przykląkł na ziemi a podniosłszy mały kamyczek, wstał, obwinął go zapisaną kartką i rzucił w okno z całym zamachem.

Stłuczona szyba odezwała się z brzękiem, a brzęk ten wśród ciszy nocnej wydawał się przeraźliwie głośnym.

Biedny żołnierz, który już i tak przebył torturowe męczarnie, uczuł pot śmiertelny na czole i jak szalony począł uciekać. Ale August dokonawszy tak zuchwałego czynu rzucił się w tej chwili za nim i obaj za chwilkę zniknęli w jednej z bocznych ciemnych uliczek.

Na tem się kończy najciekawszy dla czytelnika epizod ucieczki. Na dalsze jej koleje złożyły się przeróżne drobne zajścia, przygody i niebezpieczeństwa, których opowiadaniem znużylibyśmy czytelników. Szczęście opiekowało się naszymi zbiegami, i po kilkunastudniowych trudach dotarli do starej Galicyi, a teraz docierali do pierwszego celu swej podróży.

Owa karczma bowiem „na Czekaju“, o której mówił towarzysz Augusta, zbliżała się coraz bardziej, aż nareście zrównał się z nią wózek. Podróżni nasi mieli się tu zatrzymać, lecz nim zdołali oznajmić swe życzenie powożącemu chłopkowi, ten już siłą nawyczki stanął przed bramą.

Obaj podróżni wyskoczyli z woza.

Żołnierz przystąpił do Augusta i całując go w rękę, rzekł rozrzewnionym głosem:

— No, żegnajcie paniczu! Bożej łasce was oddaję... żegnajcie!

— Idziesz poczciwy mój wybawco! — zawołał August, ściskając serdecznie dłoń żołnierza—Mnie to pozostaje prosić Boga za ciebie, bom tobie winien życie. Jeżeli tylko jednemu z nas Bóg przeznaczył spokój i wytchnienie, to obyś ty nim był, drogi ty, kochany mój towarzyszu!

— Co tu wymawiać, złoty paniczu — mówił prawie z płaczem żołnierz — niech to sobie pozostanie Bogu niewymowne. Toż ja was znał paniczu, od tak dawna, i wasz dwór poczciwy cały... ta i pana a ojca waszego ja jeszcze zapamiętał...

— Żal mi rozstawać się z tobą — mówił rozczulony August — i boję się o ciebie... Mogą cię złapać samego i ciężkieby cię czekało nieszczęście.

— Oj to już daremnie — odparł stanowczo żołnierz — już mnie siła ludzka żadna tu niepo-

wstrzyma, chyba śmierć nagła. Toż to moje sioło już ledwie mila ztąd, człowiekowi się zdaje, że już widzi światło z swojej chaty. A ja mam mateńkę w tem siole, matkę starą, biedną, sierotę opuszczoną, co mnie opłakała krwawemi łzami, jak mnie werbownicy wzięli. Co ona tam robi biedna, jak gołąb siwiutka? Nie, już ja się niczego nie boję... złapią to złapią... zabiją to zabiją... a matkę moją przecież obaczę...

August, który już przedtem opatrzył był w pieniądze swego poczciwego towarzysza, wsunął mu jeszcze do ręki dwa dukaty i raz ją jeszcze uścisnął. Żołnierz pochylił się do kolan, zwrócił się szybko i pobiegł jakąś boczną ścieżką.

August patrzył przez chwilę za nim, a gdy mu już znikła całkiem z oczu postać, westchnął i wszedł do środka gospody, każąc wieśniakowi także zajechać do sieni.

Noc już zapadała, w izbie szynkownej nie było nikogo, tylko żyd drzemał w kącie szynkfasu. August przystąpił i zapytał:

— Czy w modrowskim dworze zastanę kogo?

— Czemu nie — odparł zaspany żydek, przecierając oczy i patrząc ciekawie na podróżnego.

— Dziedziczka jest?

— A gdzieby była... ona już teraz nigdy nie wyjeżdża...

— A więcej kto jest?

— A kogo pan chce, aby był...

— Panna... — dodał August po chwili, jakby mu trudno było wymówić to słowo.

— A jest, gdzieżby się podziała... Tylko jaśnie pana Rozworskiego nie ma, wielkiego jaśnie generała.

— Majora — szepnął przez zęby August...

— Aha... jaśnie pana majora... był tu długo, ale teraz pojechał na wojnę...

— To źle, miałem do niego interes — rzekł z udanym frasunkiem August — ale już ja tam kogoś znajdę w moim interesie. Tymczasem wóz niech zostanie w karczmie, aż powrócę.

I nie dając czasu ciekawemu żydkowi do dalszych zapytań, wyszedł z karczmy.

Na dworze zrobiła się noc prześliczna. Niebo okryło się gwiazdami, a księżyc w pełni zeszedł co dopiero i falą mistycznego swego światła oblał ziemię.

August spojrzał na to niebo tak pogodne, tak piękne, tak pełne majestatycznego spokoju — i po tylu przebytych gwałtownych wzruszeniach uczuł po raz pierwszy od dawnego może bardzo czasu pewnego rzewnego ukojenia.

— Jak jasno palą się gwiazdki niebieskie — szepnął sam do siebie — jakby sprzyjały mnie i

drogę chciały oświetlić do niej... Czy ją obaczę, czy zastanę? Czy odebrała mój list uprzedzający, czy przyjęła wezwanie na tę dziwną, ostatnią może schadzkę miłosną...

I szybkim krokiem podążył naprzód. Karczma na Czekaju stała na wzgórzu, i prowadziło od niej kilka ścieżek na dół do wsi, która leżała jakby w kotlinie, a której szarawe konturyy mógł już rozeznać nasz wędrowiec. Znał zapewne dobrze drogę do modrowskiego dworu, bo bez namysłu puścił się jedną z wielu ścieżek, prowadzących przez pole.

Szedł krokiem spiesznym, biegł prawie.

— Ten biedak — szepnął znowu do siebie August, zbliżając się coraz bardziej do wsi — rzucił na hazard życie swe, naraził się na srogą karę, byle ujrzeć matkę staruszkę, czemuż mnie tak braknie odwagi i otuchy... Czy mogęż mieć nadzieję? Czy będę mógł stanąć przed nią kiedyś bez maski, bez kłamstwa i śmiało wymienić nazwisko me, nie wywołując zgrozy w jej duszy!... O jeźli to widmo okropne stać będzie między mną a nią... co za straszliwy los dla mnie... i dla niej...

Wzruszenie jego wśród tego cichego szeptu wzbierało w gwałtowny sposób... skronie gorzały

mu gorączką. Zdjął kołpak i z odkrytą głową biegł coraz spieszniej ku wsi.

Nagle stanął na chwilę, spojrzał przed siebie i ciężko odetchnął. O kilkaset kroków zaledwie przed nim okazały się w świetle księżycowem rysy dużego, niekształtnego dworu wiejskiego. Był to dom bez piętra, obładowany najrozmaitszemi przyczepkami i dobudowaniami, jak to zazwyczaj spotkać można na starych dworach szlacheckich. Dwór ten stał w dość znacznej odległości od sioła i zabudowań gospodarskich, a otoczony był z jednej strony obszernem, obmurowanem podwórzem, z drugiej zaś, tylnej strony ogromnym ogrodem, który przypierał do wielkiego stawu.

W nocnem oświetleniu na bardzo piękną i malowniczą całość składały się ten białawy dwór, ta ciemna przestrzeń gęstego ogrodu i ta świetlana, promieniami księżyca dziwnie uroczo oblana, zdala połyskująca szyba stawu.

We wsi panowała już cisza, przerywana tylko głuchem, niknącem w oddali naszczekiwaniem psów, a we dworze także mało kto zdawał się czuwać mimo wczesnej jeszcze bardzo pory wieczornej, gdyż z licznych okien tylko dwoje zaledwie było oświetlonych...

August dążył wprost ku dworowi, ale coraz wolniejszym krokiem. Wzruszenie dziwne zdawało

mu się rozpierać piersi i cisnąć krew wszystką do serca, do którego dłoń swą cisnął. Nie szedł ku frontowi dworu ale zmierzał ku jasnej szybie wodnej, w której połyskujących głębiach jak w magicznem źwierciadle tonął wzrok młodzieńca.. Doszedłszy do stawu, szedł brzegiem jego, nad którym wznosił się parkan wysoki, przedzielający ogród od wody. Wzdłuż parkanu szedł długo; aż nareszcie stanął przed wązką, żelazną furtką, od której prowadziły kamienne schody do stawu.

Tu zatrzymał się, zaczerpnął raz jeszcze powietrza do piersi, jakby chciał nabrać sił i odwagi, i chwycił dłonią za małą żelazną klamkę. Ostrożnie popchnięta furta poddała się, była otwarta. Wrzeciądze lekko skrzypnęły i nasz wędrowiec znalazł się w ogrodzie.

V.

KLĄTWA INFAMII.

Ogród, do którego wszedł August, wyglądał ponuro i fantastycznie w półświetle nocnem. Było to już w zimie, bo na początku samym grudnia, ale śniegu jeszcze nie było, a powietrze mimo wieczornego przymrozku było przyjemne, prawie ciepłe. Ale drzewa były już całkiem nagie i czarnemi szkieletami swych gęstych gałęzi splatały się na tle księżycowego omrocza w tkaninę jakąś dziwną, a stare pokrzywione i powyginane pnie i konary przybierały kształty, któremi imaginacya igrać mogła do woli.

U samej furty żelaznej zbiegały się z całego ogrodu szpalery, których chłód i cienistość, sądząc po rozmiarach i starości drzew, musiały być w lecie rozkoszą przechadzki, a które teraz przedstawiały tylko puste rzędy czarnych i nagich, oniemiałych pni, rozczepionych w arabeski i zygzaki swych konarów. Językiem drzew jest szum

ich liści, tajemniczym gwarem brzmiący w powietrzu, a dziś liście te suche i żółte wyściełały ziemię i tylko pod ostrożną stopą naszego wędrowca wydawały smętny szelest.

August puścił się jednym z tych szpalerów, i wolnym krokiem, rzucając ciągle badawcze spojrzenia w około i przed siebie, zbliżał się do tylnej fasady starego dworu. Gdy się doń zbliżył na jakich trzydzieści kroków, zatrzymał się i wzrok jeszcze bardziej wytężył przed siebie.

Tylna strona dworu była prawie cała oszklona, bo wszystkie pokoje wychodzące na ogród miały ogromne włoskie okna i szklanne parapety. Po lewej i prawej stronie znajdowały się dwie terasy, dwa pawiloniki małe podobne do latarni, bo ściany ich prawie z samych szyb były złożone.

W jednym z tych terasowych pawiloników widać było światło. Oczy Augusta utkwiły w przezroczystych szybach. Chwilę patrzył stojąc nieruchomo, jakby daremnie szukał wyczekiwanego przedmiotu, gdy nagle po świetlanych szybach przesunął się cień jakiś, smukły i wysoki.

August porwał się z miejsca i poskoczył ku pawilonowi. Wszedł ostrożnym krokiem na wschody, prowadzące do drzwi, a stanąwszy w górze z lekka zapukał. Drzwi były odchylone, ale pukający nie otrzymał odpowiedzi.

Małą chwilkę zatrzymał się jeszcze August a potem zwolna drzwi otworzył. Z początku zdało mu się, że nie ma nikogo... Ale nagle w przeciwnym końcu pawilonu, gdzie stała grupa wazonów z egzotycznemi kwiatami, dał się słyszeć szelest i jakby wyrosła z pośród tych kwiatów, okazała się postać wysoka, niewieścia, w długiej spływającej sukni i okryta długim, niedbale zarzuconym szalem.

August objął ją wzrokiem, w którym zapłonęło uczucie, wygórowane aż do najwyższego zachwytu, postąpił krok naprzód, ramię instynktowo wyciągnął przed siebie i tłumiąc gwałtem głos wydzierający mu się z piersi, szepnął:

— Gabryela!

Kobieta cofnęła się lekko i wstrzęsła się jakby od doznanego lęku, lecz nagle jakby nie zdołając już powstrzymać silnego uczucia, postąpiła szybko naprzód i głosem, w którym choć drżący był i słaby, odezwały się całą swą skalą najwyższe wzruszenie, radość i przestrach słodki, szepnęła:

— Przybywasz... jesteś! To ty! O mój Auguście!

Ostatnie te słowa, które jakby tchem szczęścia i zachwytu wionęły z ust kobiéty, zamarły cichem, stłumionym łkaniem na piersiach Augusta, który objął ramieniem swem wiotką kibić kobiéty i tulił ją do bijącego serca.

Ale słodkie to upojenie trwało tylko chwilkę małą, krótką jak owo mgnienie oka, które potrzebnem było, aby objąć obraz kochanków.

Kobiéta wyrwała się z objęć Augusta i jakby przestraszona własnem zapomnieniem, cofnęła się wstecz, oblewając rumieńcem swe lica i wzrok spuszczając ku ziemi.

August z wyciągnionemi jeszcze ramionami stał zapatrzony w tę kobiétę, jakby w widziadło czarowne.

Istotnie też postać ta niewieścia podobną była raczej do utworu zachwyconej, poetycznej imaginacyi, do królowej snów cudownych, niż do zwykłej ziemskiej istoty.

Oblana strugami księżycowego światła, którego nie łamał stłumiony promyk lampy palącej się obok grupy wazonów kwiatowych, opromienioną była nadzwyczajnym, niewysłowionym urokiem.

Gabryela, bo tak ją nazwał August, liczyć mogła zaledwie lat siedemnaście. Wysokiej postawy, budowy ciała nieporównanie nadobnej, na którą składały się zarówno i rozkoszny, upajający powab kształtów, i powiewna, eteryczna lekkość, miała twarz ujętą w owal klasycznej poprawności, owianą owym szydzącym z opisów wszelkich puchem wiośnianej, świetlanej jakiejś świeżości.

Od białości cery, z lekka jakby odblaskiem różowej jutrzenki okrytej, od bujnych splotów jasnych włosów, odbijał karmin ust, z wdziękiem rozkoszy zarysowanych, i ciemny płomień dużych oczów, w których dość było głębi, dość wyrazu, aby pomieścić w sobie łagodność dziecięcą obok zapału namiętności, słodycz niewieścią obok blasku energicznej i silnej duszy.

Idealną prawie harmonią łączył się w tej postaci niewinny, dziewiczy powab pierwszej młodości z ponętnym czarem skończonej kobiety, wyraz słodyczy i słabości z śmiałem piętnem decyzyi i rzec można heroizmu, który jest jedną z tajemnic szlachetnych charakterów niewieścich.

— Panie Auguście — odezwała się Gabryela chłonąc z pomieszania — szalonego kroku kazałeś mi się dopuścić. List twój, tak rozpaczliwy, tak pełen zaklęć gwałtownych skłonił mnie, że cię tu czekałam. Lecz nie pojmuję, dlaczego obrałeś tajemnicę nocy i ten awanturniczy sposób... Moja matka nie wie wprawdzie nic o naszych stosunkach, bo ty mi jej zwierzyć się nie dozwoliłeś, ale mimo to widzieć się mogliśmy, jak to dawniej bywało.

— Czemu przybywam pod osłoną nocy, czemu staję przed tobą jak tajemnicza zagadka Gabryelo! —odparł z bolesnym uśmiechem August.—O wiedz,

aniele mój, że przebywam cię widzieć może po raz ostatni... że spokój i bezpieczeństwo nie dla mnie... Jestem rozbitkiem i wygnańcem, podwójną klątwą pędzony: boleścią po ojczyznie, którą widziałem tam, na błoniach skrwawionych, jak wśród jęku ginących swych obrońców upadała pod stopą wrogów... i klątwą własnego cierpienia!

Gabryela patrzyła na Augusta z wyrazem bolesnego współczucia, które jakby aureolą smętną okryło jej oblicze. Opierając się na ramieniu kochanka słuchała słów jego z łkaniem tłumionem.

— Przybywam jako zbieg, jako tułacz, który uszedł sromocie, powolnemu udręczeniu, śmierci może. Chciałem cię widzieć raz jeszcze, jedyna, najdroższa moja, nim mną rzuci daleko igrzysko losu... nim umrę...

— I przybyłeś, aby katusze zadać memu sercu, tęsknotę zmienić w boleść, nadzieję w rozpacz... Przestań Auguście. Bój ustał... z losem pogodzić się trzeba... Zostań przy mnie, nie opuszczaj mnie.

— Gdyby mnie gnały furye piekła, na to wezwanie stawiłbym im czoło i chroniąc się pod dłoń twą anielską, pod opiekuńczy promień oczu twoich, zostałbym... Ale nie... to być nie może... ja muszę, muszę cię opuścić!...

Głos Augusta drżał przy tych słowach całą

burzą szaloną uczucia, twarz jego grała wyrazem uniesienia i bolu zarazem.

— Nie rozumiem cię, nie pojmuję... — odezwała się Gabryela — Auguście, ty kryjesz się przedemną, ty nie uważasz mnie godną ufności... Jakaś tajemnica osłania cię przedemną a tajemnica ta staje między mną a tobą jak mara i dreszczem przeczucia i lęku mnie przejmuje!

— Auguście, zostań — dodała głosem, w którym przebijała się cała siła uczucia—ja cię kocham i nie ma zapory takiej, którejby nie przełamała miłość moja. Jam słaba kobiéta, ale zdobędę się na siłę, na heroizm dla ciebie. Matka moja kocha mnie, ona nie zechce zadać gwałtu memu sercu, gdy się przed nią z swych tajemnic wyspowiada. Nieprawdaż, ty zostaniesz, drogi mój...

Słowa te, zamiast poić szczęściem Augusta, zdawały się sprawiać mu niewypowiedziane męczarnie. Milcząc pasował się z sobą, rzucony na igrzysko najgwałtowniejszego wzruszenia.

— Miłość nasza jest zagrożoną — mówiła dalej Gabryela — ty nie wiesz wszystkiego. Drogę do ciebie zastępuje mi człowiek, którego ty nie znasz może, ale który opanował umysł mej matki i stał się panem jej woli... Auguście, czy moje siły wystarczą, aby wytrwać, jeźli mnie opuścisz! Lada dzień, lada chwila stać się mogę ofiarą nalegań

matki, ofiarą przymusu i gwałtu człowieka, który mnie zgrozą przejmuje, którego namiętność nie zna granic i nie wybiera w środkach.

— Boże mój— szepnął głuchym tonem rozpaczy August — czyż nie znajdę wyjścia żadnego! Męztwa, Gabryelo, męztwa! — dodał głosem silniejszym—o! ty wytrwasz mimo wszelkich burz, jakieby przyjść miały! Przyjdzie dzień słońca, dzień tryumfu, i stanę przed tobą śmiało i nazwę cię moją, a nikt... nikt! na Boga! nie ośmieli się stanąć między nami!

Słowa te wyrzekł August z zapałem, z uroczystym naciskiem przysięgi. Zapał ten zdawał się wlewać także otuchę w duszę Gabryeli, i twarz jej zapłonęła odblaskiem tego uniesienia, które biło z oczów kochanka.

Nowy uścisk przeciągły, upajający, namiętny, splótł ich ramiona, i oba serca zagrały jednem, zgodnem tętnem najwyższego uczucia.

W tejże samej chwili dało się słyszeć stąpanie, i drzwi, prowadzące z pawilonu do wnętrza dworu, skrzypnęły z lekka.

Gabryela wyrwała się z objęć Augusta i z przerażeniem spojrzała w stronę odgłosu.

We drzwiach okazała się wysoka postać starca.

Był to człowiek mający lat około siedmdziesiąt. Wysoki był, chudy i kościsty, ale trzymał

się sztywnie i prosto. Twarz jego nosiła na sobie znamię poźnej starości, nie była jednak zgrzybiałą, i krasił ją nawet rumieniec zdrowia, ale uderzała rysami ostremi i surowemi.

Na twarzy tej ponurej malowały się zawziętość i energia, a siwy bujny wąs, który spływał na dół po policzkach, nadawał jej marsu, który podnosiło jeszcze bardziej wysokie, silnie sklepione, chmurą okryte czoło, podgolone z polska i najeżone ostrym, gęstym a białym jak mleko włosem, sterczącem jak grzebień na ciemieniu.

Starzec ten ubrany był w kurtę z grubego granatowego sukna, zapiętą na stalowe guziki bez połysku i przepasaną amarantowym wełnianym pasem, nogi jego tkwiły w szerokich szarawarach i wysokich palonych butach.

Kiedy stanął w progu i ujrzał przed sobą kochanków, cała postać jego wyrażała z początku najwyższe zdumienie i przerażenie prawie, które przykuło go do miejsca i zda się oddech i głos mu zatamowało w piersiach.

Wkrótce jednak wrażenie to ustąpiło innemu uczuciu. Twarz starca oblała się ciemnym rumieńcem, bił z niej gniew jakiś namiętny, straszliwy, oczy wystąpiły z swej osady, i gorejąc płomieniem siały grozę; ostry podstrzyżony włos na głowie zdawał się jeżyć jeszcze bardziej, dłoń jedna ści-

snęła się kurczowo w pięść, druga groźnie wzniosła się do góry.

Tak stał chwilę, groźny, straszny, majestatem oburzenia oblany, i milczał chwilę. Nagle posunął się szybko naprzód i zmierzył okiem pełnem nienawiści i gniewu Augusta.

August zbladł, zadrzał, ale spojrzenie to wytrzymał. Gabryela opierając się jednem ramieniem o wysoki gierydon, drząca cała, pomieszana, zdawała się być bliską omdlenia.

Starzec widocznie pasował się z sobą, aby nie wybuchnąć; dobywał sił wszystkich, aby pokonać gniew, który go porywał.

Przez zaciśnięte usta jego przedarł się mruk stłumiony, z którego rozróżnić można było tylko słowa:

— Horror... horror!

Potem zwracając się do Gabryeli, wziął ją za ramię i siląc się do łagodniejszego tonu, rzekł półgłosem:

— Panno starościanko, opuść nas!

Słowa starca obudziły Gabryelę, postać jej zadrzała ruchem przestrachu.

— Łukaszu, panie Łukaszu — szepnęła — miej litość nademną.

— Opuść nas, wychodź natychmiast!—ozwał się bardziej już podniesionym głosem starzec — do-

puszczenie to Boże... ty go nie pojmujesz, tyś niewinna, ty nic nie wiesz może... Ale opuść nas, zostaw mnie z nim tutaj!

I biorąc ją pod ramię prowadził ku drzwiom, łączącym pawilonik z wnętrzem dworu.

Gabryela oparta o ramię starca postąpiła kilka kroków blada, struchlała, i bez siły oporu.

August stał tymczasem nieruchomy, a obok wzburzenia postać jego wyrażała bolesną, rozpaczliwą rezygnacyę. Wyglądał jak człowiek, nad którego głową zawisła czarna, piorunna chmura, a który wie, że grom wypadnie mu z niej na czoło.

Gabryela zbliżając się już ku drzwiom z Łukaszem, zatrzymała się, zwróciła głowę ku Augustowi, jakby go chciała pożegnać spojrzeniem.

— Panie Łukaszu — szepnęła do starca, opierając mu się — wysłuchaj mnie... Jam winna, żem się matce mej dotąd nie zwierzyła, ale to jedyna moja wina — dodała z dumą... — Powiem jej wszystko, a ona mi przebaczy i on tu zostanie... on... bo ja go kocham...

Twarz starca na słowa te przybrała jeszcze straszniejszy wyraz oburzenia i grozy. Chwycił on silnie ramię Gabryeli i zawołał stanowczym głosem:

— Milcz, na świętego Boga, milcz, panno starościanko! Ty nie wiesz nic! ale niechajby słów

twoich nie słyszał ojciec twój w grobie! Słuchaj mnie: jam sługa wasz, który do ciebie nigdy dotąd nie śmiał przemówić tak, jak teraz przemawia. Ale oto teraz mówię ci, panno Gabryelo: ty go już nigdy nie ujrzysz, nigdy, nigdy, tu na świecie! Między nim a tobą stanie Bóg straszliwy, położy się siwa głowa moja, nie splamiona dotąd, jak cześć domu waszego! Grób stanie między wami i otworzy się, aby świadczyć przeciw temu związkowi! Uchodź ztąd, uchodź!...

— Łukaszu — szepnęła Gabryela — nie pojmuję cię! Twoje słowa okropnym lękiem ściskają moją duszę! Co znaczą twe słowa, co myślisz uczynić?...

Starzec, który dotąd drżał od najwyższego wzburzenia, usiłował uspokoić się.

— Nie powiem ci nic więcej, panno Gabryelo— rzekł głosem łagodniejszym — ale zaklinam cię, zapomnij, zapomnij o nim! Chodźmy!

I z lekka ciągnąc za sobą struchlałą Gabryelę wprowadził ją do pokojów.

Drzwi z pawilonu wiodły do małej sali, z której znowu w trzech różnych stronach znajdywały się podwoje do dalszych pokojów. Starzec otworzył drzwi jedne. Był to mały pokoik, na którego ścianie jednej, naprzeciw wchodu, płonęła lampa,

oświetlając obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Przed obrazem stał klęcznik.

— Tu, panno starościanko — odezwał się uroczystym głosem starzec — tu przed Najświętszą Panienką przysięgnij sobie, że go zapomnisz, tu szukaj ulgi dla serca, jeźli jest uciśnione, i tu szukaj przebaczenia... jeźli go potrzebujesz...

Gabryela chciała przytrzymać za ramię starca, chciała przemówić doń... ale siły ją opuściły i zsunęła się bezwładnie na klęcznik, łkając cichym płaczem...

Starzec tymczasem wyszedł z pokoju, zawołał cichym głosem z sąsiedniej izby pokojową i kazawszy jej iść do panny, sam wrócił do pawilonu.

August stał nieporuszony na tem samem miejscu. Starzec snać nie spodziewał go się już zastać, gdyż na widok jego drgnął i z zdumieniem zatrzymał się w miejscu. Chwilkę tak stał — ale nagle twarz jego oblała się pąsem, a oczy groźnie znowu błysnęły z pod gęstych, najeżonych brwi.

— Zastałem cię jeszcze! — zawołał przystępując bliżej — czy strach cię przykuł do ziemi, że nie uciekłeś!

— Nie uciekałem nigdy i przed nikim — odparł August — i przed tobą uciekać nie będę, panie Łukaszu!

— I przed temi progami, do których ty wiesz, jakie się dla was wiążą wspomnienia, nie uchodzisz, mości podkomorzycu? I przed moim wzrokiem nie, i przed własną infamią nie? To sromotny animusz, to bezczelność jest, młokosie...

August drgnął na te słowa i groźnie wzniósł czoło do góry.

— Hamuj się! — odparł, głos tłumiąc — hamuj się na Boga żywego! Jestem nieszczęśliwy, bezbronny, winny może jestem, ale strzeż się starcze!

— Ty grozisz mi, nędzny! — odrzekł starzec gwałtownie, a potem siląc się do spokoju, głosem powolnym, lecz z strasznym naciskiem dodał:

— Słuchajże śmiałku ty! Patrz — tu wydobył z kieszeni swego kubraka krucicę — mógłbym ci strzelić w łeb jak psu, a dusza moja nie obciążyłaby się grzechem... Byłby to odwet słuszny i za winę ojca twego i za twoją, panie podkomorzycu!... Mógłbym cię zabić, a może powinienbym cię nawet zabić, boś zdradą nikczemną stanął na progach tego domu, boś chciał zakłócić spokój jego, i wnieść weń nieszczęście! Chciałeś być mordercą córki, tak jak ojciec twój był mordercą...

— Milcz! — przerwał August rzucając się naprzód.

Starzec wyciągnął dłoń z krucicą i wymierzył w młodzieńca.

— Strzelaj więc, strzelaj, panie Łukaszu! — zawołał August. — Patrz, urągam tobie, strzelaj.

— Nie masz odwagi zabić mnie — dodał z goryczą — a masz odwagę miotać słowa, z których każde straszniejszem jest i lepiej w serce godzi niż kula!...

— Gdyby te słowa cię zabijały, podkomorzycu— rzekł z szyderczym uśmiechem starzec—to dawno byś już nie żył! Czyż tych słów nie szepce ci ciągle własne sumienie? a przecież żyjesz jeszcze.

— Moje sumienie czyste jest; jeżelim zawinił, to miłością, a Bóg miłości wodzem. Nie zdrada wprowadziła mię w dom ten, ale miłość, która silniejszą jest, niż wszystkie zapory, niż ta straszna potwarz, która pełza jak gad jadowity...

— Ty mówisz, że sumienie twoje czyste! Czyż nie wkradłeś się tu pod skłamanem nazwiskiem, czyż nie usiłowałeś podejść serca Gabryeli? Czyż ty nie wiedziałeś człowieku, jaka klątwa cięży na twojem imieniu, i jakie okropne wspomnienia stoją między nią a tobą?

— Przysięgam ci — zawołał August — że w pierwszych chwilach miłości naszej nie wiedziałem! Poźniej... tak poźniej dowiedziałem się, ale było już — za poźno... Nie umiałem poskromić serca, uciekłem się do kłamstwa.

— O tyś niewinny, panie podkomorzycu — rzekł starzec z naciskiem okropnego szyderstwa — tyś tak nie winien jak ojciec twój, którego imię wraz z klątwą infamii nosisz, jak pan podkomorzy Szczytowski, aljant Moskali, zdrajca i morderca śp. pana starosty!

— To fałsz, fałsz okropny, ohydny! Ta potwarz straszna zmilknie... ja ją zgładzę, wyświecę, a biada sprawcom tej srogiej krzywdy! Ona o pomstę woła do Boga, i Bóg wysłucha jej głosu! To fałsz jest szkaradny, starcze, i nie spocznę, dopóki go nie wykryję! Ojciec mój był niewinny; dziś mam to święte przekonanie, jutro dowody mieć będę... Bóg mi dozwoli tryumfu, i ty, ty sam, panie Łukaszu, straszną skruchą się przejmiesz i odwołasz to, co twierdzić się ośmieliłeś!

August wymówił te słowa z takiem uniesieniem namiętnem, a zarazem z takim głębokim naciskiem bolu, że w oczach starca zabłysnął na chwilę wyraz współczucia. Stał milcząc i wzrok od młodzieńca odwrócił, jakby się obawiał zdradzić tę słabość swoją, ale wkrótce podniósł wzrok swój w górę i uroczystym rzekł tonem:

— Tam, przed straszliwym Majestatem Bożym spotkali się zapewne już obadwaj... On sądzić będzie...

— Amen! — zawołał August — On sądzić będzie, a sąd jego padnie klątwą na głowę haniebnych potwarców!

— Dość tego! — ozwał się surowym i uroczystym głosem starzec — tu na ziemi między domem tym a tobą nie ma przymierza! Powtarzam, ja ciebie zabić byłem powinien. Gdy mi pan Szczepan Rozworski opowiedział wszystko, gdy mi oznajmił o swojem odkryciu, żeś to ty Szczytowski, syn tego, któremu niechaj miłościw będzie sędzia najwyższy, czułem pogardę dla siebie, że na widok twój, a tyle razy widziałem cię przecież, nie zawrzała mi krew, i żem w twarzy twej nie odszukał rysów człowieka, który tak okropnie wpisał się w dzieje tej rodziny osieroconej.

— Idź tedy — mówił po małej pauzie — idź panie podkomorzycu, i niechaj noga twoja nigdy już nie stanie na progach domu tego, niech się nawet myśl twoja tu nigdy nie zabłąka! Słuchaj, ja nic jej nie powiem! Ona nie dowie się nigdy o tej okropnej tajemnicy... I matka nie powie jej także, choć wie o niej. Ale i ty, panie podkomorzycu, nie igraj z dopuszczeniem Bożem! Twoja stopa nigdy tu nie stanie, twoje usta nigdy nie wymówią imienia jej nawet, słyszysz: nigdy! na to przysięgę złóż, jeźli infamia tylko nazwisko twoje a nie duszę także skaziła! Wszystko niech

zginie, jak w grobie! A grobów ruszać nie można, ty wiedzieć o tem powinieneś, panie podkomorzycu — bo groby miewają nieraz straszliwą historyę!

Gdy tych słów domawiał, drzwi od pokojów otwarły się, i w pawilonie pojawiła się wysoka postać kobiéca. Była to matrona w sędziwym już wieku.

Twarz jej miała na sobie ślady wysokiego wieku, a imponowała wyrazem wyniosłym i surowym. Siwe całkowicie włosy odbijały od czarnej sukni i takiegoż szarafanu, a strój ten prosty, żałobny dodawał całej postaci jeszcze więcej poważnego i ponurego wyrazu.

Dama ta wszedłszy do pawilonu spoglądnęła na starca i Augusta i rzekła:

— Od chwil kilku słyszę głosy jakieś w pawilonie. Usnąć nie mogę, wicher jesienny tak przeraźliwie wyje. Łukaszu, kto to jest... Może ktoś z obozu pana generała Kościuszki... czemuż go tu przyjmujesz?

Łukasz nic nie odpowiedział, a kobiéta spojrzała na naszego bohatera uważniej i zawołała po chwilce:

— A! to pan August Narewski... witam waćpana! Kawaler pewnie z obozu, niechże się raczy rozgo-

ścić... Prosimy, prosimy, opowiesz nam te smutne dzieje, których świadkiem byłeś!

August skłonił się i pochylił czoło nic nie odpowiadając.

Na starcu zaprosiny damy sprawiły dziwnie przykre wrażenie. Drgnął z lekka, a czoło jego okryło się chmurą.

— Pan August nie zostanie! — rzekł głosem stanowczym — nie zostanie ani chwilki!

— Czemuż to? — odparła staruszka — serdecznie mu radzi jesteśmy, kawalerze... Zostaniesz waćpan, odpoczniesz, panie Narewski...

— Pani starościno — zawołał teraz nagle Łukasz — on tu nie zostanie, nie odpocznie w tych progach... To nie August Narewski, pani starościno, on się tak nie nazywa...

— Cóż ty pleciesz, stary; tu nie ma kreishauptmanów i Niemców, przedemną się maskować nie potrzebuje...

— Ten człowiek — zawołał teraz starzec — nazywa się Szczytowski... To podkomorzyc, starościno!

Dama w czarnym stroju cofnęła się nagle i wydała okrzyk przerażenia...

— Co mówisz, szalony...— szepnęła po chwili.

— Mówię prawdę... Nie, on tu nie zostanie, starościno, nie prawdaż!

Starościna spojrzała groźnym wzrokiem na Augusta a potem na Łukasza, jakby chciała wybadać go jeszcze. W posępnem, surowem spojrzeniu starego sługi znaleźć można było tylko uroczyste potwierdzenie słów wyrzeczonych.

Starościna postąpiła krok naprzód, wyprostowała się w całej wyniosłej swej postaci, i spojrzawszy na Augusta wzrokiem groźnym i dumnym, wskazała ręką wyciągniętą na drzwi.

Słówko żadne nie uleciało przytem z ust jej zaciśniętych — ale giest ten był tak wymownym, tak rozkazującym, tak pełnym uroczystej, przenikającej grozy, że sam stary sługa z lękiem pewnym spozierał na swoją panię.

Giest ten niemy zdawał się wywierać na Auguście straszniejsze wrażenie, niż przedtem wzrok pałający srogim gniewem Łukasza, niż lufa pistoletu, którym mu groził, niż słowa owe okrutne, któremi przemawiał...

Bohater nasz zadrżał, chciał coś przemówić, chciał zostać, ale jakby wypychany jakąś potężną magnetyczną siłą, porwał się z miejsca i wydając z piersi jęk stłumiony, wybiegł z pawilonu.

Biegł tą samą drogą, którą przybył, biegł jakby ścigany furyami...

Postać jego przez chwilkę tylko zarysowała się na tle nocnego mroku wśród drzew alei, które

szamotane przez wicher, wydawały skrzyp jakiś ponury.

Dziwaczne, poszarpane szmaty chmur pędziły po niebie, pływając na falach księżycowego światła; coraz silniej zrywający się wicher jesienny puścił się tańcem po polach, i jakby w zmowie był z gniewną matroną, gonił uchodzącego Augusta igrając płaszczem jego i gwizdem swym hucząc mu w uszy, jakby echem słów starego Łukasza!

August spieszył dalej przez pola, jakby ścigany straszliwą jakąś pogonią...

Instynktowo raczej, niżeli z namysłu kierował bieg swój ku karczmie na Czekaju... Niebawem znalazł się tuż w jej pobliżu.

Pod wierzbą, która rosła o kilka kroków od karczmy, siedział Mykita. Głowę swą ukrył on w dłoniach i płakał rzewnie, głośnem zawodząc łkaniem...

Gdy usłyszał kroki jakieś spieszne, podniósł twarz do góry, otarł łzy, spływające mu rzęsiście po policzkach, a gdy ujrzał Augusta, powstał i wybiegł naprzeciw niego, zachodząc mu drogę.

August nie spostrzegł go, i zatrzymał się wtedy dopiero, gdy go Mykita za ramię ujął.

— Kto to? — zawołał August budząc się niejako z bezprzytomności.

— To ty — dodał, patrząc zdziwionem okiem na ex-żołnierza — to ty Mykita?

— Ja mój paniczu, ja nieszczęśliwy — odparł chłopak tonem, w którym drżała żałość jakaś głęboka, bolesna.

— Co tu robisz? Czego chcesz? — zapytał August roztargnionym i zadyszanym głosem. — Czy potrzebujesz jeszcze czego odemnie?

— Niczego, paniczu, niczego... Czegoby jeszcze teraz było mnie potrzeba na świecie...

— Byłżeś we wsi i wróciłeś już?

— Byłem, ale oj za późno! — odparł Mykita. — Leciał ja tam jak ptak, a przyszedłem za poźno... Już ja tam nie mam co robić...

— A matka twoja?

— Oj niema jej już na świecie, sieroty!

— Umarła!

— Umarła — potwierdził Mykita zawodząc rzewnym płaczem — już mnie się nie doczekała, biedna! Dwa tygodnie temu, jak ją wywieźli na cmentarz. Już ona pod ziemią surową! A mówili ludzie, że tak za mną tęskniła, ta oczy wypłakała, ta przy śmierci o mnie wspominała: czy przyjdę, czy zobaczy mnie jeszcze... biedna, nieszczęśliwa moja mateńka!

I rzewna, rozżalona dusza poczciwego Rusina

wylała się całą elegią wyrzekań, prostaczą ale serdeczną i przejmującą...

August z szczerem współczuciem patrzył na Mykitę.

— Cóż teraz poczniesz, biedny?—zapytał.

— Alboż ja wiem nieszczęsny!—odrzekł Mykita — mnie już teraz świat czarny jak noc. Ja już teraz i na śmierć gotów, ja już teraz sam się postawię do Krygsrechtu, niech mnie zastrzelą albo zamęczą... Toć chyba wy mnie ze sobą weźmiecie, paniczu złoty...

— Ja pójdę daleko, daleko, na kraj świata i nie wrócę pewnie; na obcej ziemi zginę. Czyż chciałbyś iść ze mną?

— O weźcie mnie, weźcie — prosił Mykita — i ja pójdę na kraj świata i zginę z wami. Cóżbym ja tu począł sierota?

— Dobrze tedy — zawołał rozczulony August — chodź ze mną wierny, biedny mój towarzyszu niedoli. Chodź i zapomnij umarłych—dodał z cicha, jakby do siebie — tak jak ja zapomnąć muszę żywych. O to drugie zadanie cięższe i boleśniejsze!

Niebawem wyjechał z karczmy ten sam wózek chłopski, który przywiózł Augusta i Mykitę, i obaj ruszyli w drogę.

Gdy chłopek zaciął konie, August zwrócił się ku staremu dworowi i żegnał go bolesnem

westchnieniem, Mykita ku wsi swej rodzinnej puścił wzrok smutny, ku chacie owej biednej, w której nie było już matki, i w której wygasło na zawsze ognisko.

VI.

WOKANDA PANA NEMEZEGO KAPICY.

Opuścić musimy teraz na czas jakiś naszego bohatera i jego towarzysza. Przeniesiemy widownię napowrót do Lublina, gdzie się odegrały początkowe sceny tej powieści.

Czytelnicy nasi raczą sobie przypomnąć ów dziwny wypadek, który w dzień bitwy maciejowickiej zdarzył się na polu za miastem. Cofniemy się teraz napowrót do owego dnia, a nawet uprzedzić nam wypada chwilę, kiedy zwłoki starego konfederata, który nadsłuchując echa dalekich strzałów, jakby od przeczucia klęski skonał tak nagłą i cichą śmiercią, zabrali do kolasy i zawieźli do miasta dwaj opisani przez nas ludzie.

Musimy zabrać nieco bliższą znajomość z obiema temi postaciami, które już samą zewnętrzną swą oryginalnością zdolne były zająć uwagę ciekawszych czytelników.

Na jednej z ulic ubocznych, wybiegających z rynku, w kamienicy brudnej i starej, znajdowała się apteka. Nad wchodem do niej przybitą była duża tablica, na której wymalowanym był ponuremi farbami Eskulap, obok niego zaś węże pijące. U dołu tablicy znajdował się pompatyczny napis łaciński, objawiający przechodniom, że oficyna ta farmaceutyczna należy do Tobiasza Szmoka, wyzwolonego, dyplomowanego, przesławnych niemieckich akademii przesławnym patentem obdarzonego magistra.

W samej aptece za ladą nie było żadnego mężczyzny, ale uwijały się dwie wysokie, chude kobiety nie pierwszej już młodości, o jasnych włosach, długich wklęsłych policzkach i niepospolitej objętości zębach. Jedna z tych dwóch kobiet czytała uważnie receptę, przyniesioną przez jakiegoś młodego żydka, druga zajęta była mięszaniem jakiegoś świeżo odwarzonego płynu, obie zaś krzyczały ostrym dyszkantem do siebie i na bladego obrzękłego laboranta, mieszając do słów swoich łacińskie nazwy rozmaitych aptecznych materyałów.

Były to dwie córki samego pana aptekarza, przesławnym patentem przesławnych akademii niemieckich zatwierdzonego magistra, który wyuczył je swej sztuki, powierzając im zwykłą ekspedycyę medykamentów.

Pan Tobiasz Szmok bowiem od lat kilku zaniechał codziennych czynności swego zawodu, zachowując sobie jedynie oddział trucizn i prawo interwencyi w kwestyach wątpliwych, zwłaszcza jeżeli kwestye te doprowadzały obie nadobne adeptki do zbyt gwałtownych i głośnych dyssertacyi naukowych. Sam zaś pan Szmok oddawał się z namiętnem zamiłowaniem alchemii, umiejętnościom magicznym a przedewszystkiem — gorącym trunkom.

Kordyały te spirytualne zwykł był fabrykować własnoręcznie według rozmaitych sekretnych przepisów, których sam był wynalazcą—to też słynął on w Lublinie i w całej okolicy z przyprawy najrozliczniejszych wódek i likworów, win korzennych, essencyi itp., których nie jedynym wprawdzie, ale najgłówniejszym przecież był konsumentem.

W drugim pokoju, przytykającym do apteki, znajdujemy samego pana Szmoka. Jest to ten sam dziwaczny Niemczyk z garbem na grzbiecie, z olbrzymią kudłatą peruką na głowie, którego poznali czytelnicy w pierwszym rozdziale w towarzystwie starego drągala w kontuszu o barwach trybunalskich.

Pokoik, w którym pan Szmok przebywał, był ciemny, sklepiony, a urządzenie jego miało na sobie cechę dziwactwa i fantastyczności. Obok

kominka, na którym gorzał wieczny ogień, leżały w nieładzie najrozmaitsze narzędzia i przybory alchemiczne, u pułapu wisiał mały wypchany krokodyl na żelaznych łańcuchach, na szafach zapełnionych olbrzymiemi zapleśniałemi foljałami stały trupie główki, na stołach, stołkach i oknach piętrzyły się szklanne rury, rurki i retorty, powydymywane w najdziwaczniejsze kształty, i zielonawym połyskiem świeciły słoje napełnione spirytusem, konserwującym gady i węże.

Sam gospodarz, którego twarz szpetna i gąbczasta oblała się szkarłatem od ognia, nad którym syczał płyn jakiś, ubrany był tylko w koszulę i pluderki czarno-szkliste, i niecierpliwił się ogromnie nad swoją robotą, która mu się widocznie nie wiodła. Zniecierpliwiony do reszty pan Szmok wylał nagle płyn na żar komina, z którego buchnął zaraz wysoki, jaskrawy płomień błękitnawego koloru, i uderzając nogą gniewnie o ziemię chwycił oburącz za swą kudłatą perukę, a zerwawszy ją z głowy rzucił w przeciwległy kąt pokoju, gdzie ugrzęzła na głowie ustawionego tam kościotrupa.

Na tym wybuchu gniewu kończyła się zawsze codzienna eksperymentalna praca nad jakąś „essencyą wieczystego zdrowia“, którą pan Szmok obiecywał jutro w zupełności zpreparować. Takiemi

„jutrami“ wypełnionych było lat kilkanaście życia naszego magistra i alchemika.

Odsapnąwszy nieco z uniesienia, przystawił Szmok do ognia duży żelazny garnek, z którego tym razem nie rozwiewały się ostre, narkotyczne wonie chemikaliów, ale bił ponętny zapach wina, zaprawnego korzeniami, a sam przysunął głębokie krzesło z wysokiemi poręczami do komina, i obcierając pot z swej gołej jak kolano głowy, przypatrywał się w zamyśleniu zawieszonemu na powale krokodylowi, z którego rozwartej paszczy wyglądały duże zwitki pergaminów.

Po niejakim czasie spojrzał Szmok na stary zegar na kominie, jakby kogo oczekiwał. Zegar ten formą swą i pomysłem mechanizmu harmonizował z całem fantastycznem ustrojeniem pokoju, w którem snać lubował się pan magister. Był on z bronzu ciętego w arabeski, a na wierzchu jego znajdowała się głowa z twarzą maszkarową, która za każdem poruszeniem się wahadła kiwała się przytakując.

Szmok nieraz całemi godzinami siadywał przed tym zegarem i odkiwywał głową maszkarze, mianowicie było to u niego zazwyczaj wstępem do drzemki. I tym razem byłby może Szmok zadrzemał mimo ponętnego zapachu grzanego wina,

gdyby nie były otworzyły się drzwi i nie wszedł do pokoju jakiś mężczyzna.

Był to ów znany już także czytelnikom naszym z opisu w pierwszym rozdziale chudy, wysoki starzec, w wypłowiałym niebieskim kontuszu z karmazynowemi wylotami, z twarzą zeszpeconą bliznami i z przełamanym ukośnie nosem.

Był to pan Nemezy Kapica, obok aptekarza Szmoka znana całemu Lublinowi z oryginalności swojej figura.

Łacińskie przysłowie: nomen et omen wybornie się stosowało do tego dziwacznego starca. Nazywał się Nemezy, a życie całe swe sterał na usługach Nemezis, bogini karzącej sprawiedliwości.

Stary Kapica, pochodzący z drobnej podlaskiej szlachty od lat kilkudziesięciu, z wyjątkiem dwóch lat spędzonych w obozie konfederackim, był woźnym przy Najjaśniejszym Trybunale Lubelskim. Do urzędu swego przywiązywał on zawsze niezmierną wagę, będąc tego najmocniejszego przekonania, że stanowi on równie znakomity czynnik sprawiedliwości, co urząd marszałka lub deputata.

Znał on najdawniejsze dzieje Najjaśniejszego Trybunału, zarwał trochę prawa, osłuchał się jurydycznej retoryki, obznajomionym był z wszystkiemi tajemnicami palestranckiego życia, pa-

miętał wszystkie najważniejsze sprawy sądowe w trybunale od roku 1750, a nawet i wcześniej, bo przejął także tradycyę — zgoła zrósł on się duszą całą z trybunalską instytucją, z jej powagą, jej splendorem i jej zewnętrzną ceremonialną stroną.

Od długiego czasu nie pełnił już Nemezy swych obowiązków, bo z powodu ustawicznych rozruchów lat ostatnich nie fungował trybunał, ale mimo to uważał się on zawsze za woźnego w czynnej służbie, nie zrzucał ani miny urzędowej, ani stroju o barwach trybunalskich, i nie tracił nigdy nadziei, że lada dzień reassumować się będzie Najjaśniejszy Trybunał Lubelski.

Niestety, nadzieje te spełzły na niczem; od terminu reassumpcyi, który przypadał zawsze po przewodnej niedzieli, minęło pół roku, już nawet za kilka tygodni przypadał dzień św. Tomasza, w którym to dniu limitowała się, t. j. kończyła zazwyczaj kadencya, a o trybunale ani słychać było. Czekał tedy dalej pan Nemezy, a tymczasem szukał pociechy tam, gdzie jej pan magister Szmok szukał po swych ciągłych zawodach alchemicznych.

Ta skłonność do kieliszka była jednym z powodów zażyłości, w jakiej Nemezy zostawał z panem magistrem. Stary woźny wstydził się jakoś

pijać w prostym szynku, zakrapiał tedy doczesnego robaka w aptece, pod pozorem że leczy żołądek ziołowemi wódeczkami preparatu p. Szmoka, który miał się sam i przez wielu innych uważanym był za lekarza nad lekarze, adepta umiejętności sekretnych i właściciela przemnogich tajemniczych a cudownych środków medycznych.

Zachadzał tedy stary codziennie przed południem do Szmoka, gdzie już czekał go jakiś nowo spreparowany likwor, za który pan magister bardzo tanio kazał sobie płacić, klnąc się straszliwie, że mu cena żądana nie zwraca nawet w cząstce kosztów wyłożonych na owe ingredyencye przeróżne, jakich potrzeba było, aby z podłego gorącego trunku zrobić cudowny likwor medyczny, a nałóg zmienić w szlachetną i gorliwą dbałość o zdrowie.

Pan magister lubił się jednak zapominać czasami, i wieczorem niby to dla pogawędki zachadzał i do publicznej winiarni, a wtedy pan Nemezy jedynie z poświęcenia przyjaźni udawał się tam także, aby odprowadzić do domu magistra, „bo, jak powiadał, poczciwe Niemczysko nie trafiłoby do apteki.“ To też co drugi dzień prawie zdarzało się spóźnionym przechodniom spotykać około północy obu przyjaciół, trzymających się pod boki i perorujących głośno i sierdziście.

Szmok w takich chwilach nie mówił do nikogo, nawet do Nemezego; nie rozmawiał jak tylko z księżycem, któremu zawsze miał mnóstwo rzeczy niezrozumiałych do powiedzenia, podczas gdy Nemezy ograniczał się na tubalnem, a ustawicznem wołaniu:

— Mości panowie, ustąpcie się! Mości panowie uciszcie się! Mości panowie, na ustęp, na ustęp, mości panowie!

Przy tak bezczynnym trybie życia wychudł pan Nemezy jeszcze bardziej, jak szczypa zesechł z tęsknoty za trybunałem. Owe czerwone blizny na twarzy jego przybierały coraz gorętszą karmazynową barwę, a złośliwi ludzie przypisywali to zbyt gorliwemu zażywaniu medykamentów pana magistra Szmoka.

Gniewały srodze te pogłoski starego woźnego i odpierać je zwykł był energicznie.

— Uciszcie się, mości panowie! — mawiał, ilekroć słuchać go chciano — te blizny to honorowe oznaki! Blizna zdobi żołnierza, mości panowie. Mam ja blizny na piersiach od spis kozackich, bom razem z JWp. deputatem był w barskim związku dwa lata górą, ale te znaki na twarzy nie mniej są honorowe. Ten oto tu obecny Szmok magister poświadczyć może, bo mnie leczył... Azar-

dowałem się ja pro dignitate Najjaśniejszego Trybunału nieraz i dwa razy.

— Było to mości panowie anno domini 1784 — ciągnął w takich razach dalej opowieść swą pan Nemezy — na wokandzie ordynacyjnej de jure haereditatis et possesionis stała sprawa JO. Ksawerego Branickiego, w. het. kor., contra JO. książąt Jabłonowskich o Luboml i Lisiankę. W trybunale właśnie sądzono tę sprawę, a pan hetman z dworem swym czekał na wyrok na krakowskiem przedmieściu. Wyrok ferowano na jego niekorzyść. Srodze to rozgniewało pana hetmana, każe tedy zapalić swym ludziom kilkadziesiąt pochodni i ruszać z światłem za nim, wołając:

— Chodźmy szukać poczciwych ludzi!

Dworskiej hałastrze w to graj, a co im waży majestat sprawiedliwości i dignitas Najjaśniejszego Trybunału? Nuże tedy na rynek i ku ratuszowi z hałasem:

— Szukamy poczciwych ludzi!

Straż autoramentu cudzoziemskiego widząc hetmana, wystąpiła pod broń i oddała honory wojskowe, a tak powaga trybunału ogołoconą była z wszelkiej opieki. Kilku z pocztu pana hetmana rzuciło się z pochodniami do samego gmachu trybunalskiego, zkąd zatrwożeni panowie deputaci z wiel-

kim uszczerbkiem powagi umykać poczęli. Nie miał ja tego dnia żadnej sprawy do obwołania na mojej wakandzie, a byłem u bramy. Kiedy tak widzę, jak hetmańscy następują wołając ustawicznie: „szukamy poczciwych ludzi!“—ja mości panowie staję u wchodu, rozkrzyżowuję ramiona i wołam:

— Szukacie poczciwych ludzi! Oto znaleźliście jednego poczciwego zaraz u wstępu! Mości panowie, na ustęp! na ustęp, mości panowie! Nie pozwolę naruszać dostojności Najjaśniejszego Trybunału! Po moim trupie chyba tu wtargniecie!

— Wtedy to mości panowie — kończył swoje opowiadanie pan Nemezy — rzuciło się ku mnie kilku hetmańskich i swemi pochodniami głowę i twarz okładać mi poczęli. Twarz mi srodze opiekli, włosy mi zgorzały, i omal co oczów mi nie wypalono; ale nie ustąpiłem ani kroku, aż pan hetman zawołał na swoich i turbować mnie zakazał. Uciszcie się tedy mości panowie i wiedźcie, od czego Nemezy Kapica, woźny i wokant trybunalski, ma te karmazynowe blizny na twarzy! Dixi!

Tak opowiadał pan Nemezy historyę swego oszpecenia.

Ale wróćmy do pokoju pana aptekarza. Nemezy wszedłszy spojrzał najpierw na grzejące się

wino, zaciągnął się roskosznie jego korzennym zapachem, a potem kiwnął głową na przywitanie Szmokowi, który odwzajemniwszy się w podobny sposób wstał z krzesła, odstawił wino od żaru i poszedłszy ku drzwiom prowadzącym do apteki na klucz je zamknął. Na gzymsie od komina stały już dwie szklanice w pogotowiu.

Pan Nemezy wziął milcząc stołek skórą obity, przysunął go do komina, usiadł, umieścił między kolanami nieodłączną swą karabelę, zawiesił na rękojęści czapkę z barankiem, krząknął, zatarł ręce i odezwał się głosem, który się nie pozbył pewnego urzędowego nastroju:

— Szmok! Taki z ciebie doktor, jak z tego Kauzyperdy Wołkowicza mecenas! Twoje arkanówki diabła warte... Żołądek mi nie statkuje, lepszy on gracz od ciebie; co ty z repliką, to on z dupliką. Jak tak dalej pójdzie, człek zalimituje niezadługo...

— Oj durniu ty stary, durniu — odpowiedział syczącym, zasapanym nieco głosem i niemieckim akcentem Szmok — w twojej głupia głowa pieprz tłuc chyba jak w moździerzu... Gdybym cię nie trzymał na tym świecie mojemi arkanami, gdzie by ty był, mospan Kapica... A na czem ty stoisz, na twoich nogach może chudych jak trzaska? a co cię grzeje, twoja krew może? —

albo ty masz krew? Jak ci nie dam „arkanówki", gdzie ty?...

Przy tych słowach dmuchnął Szmok na wino i łyknął haust spory. Za jego przykładem poszedł i pan Nemezy, a odsapnąwszy replikował:

— Jeszcze w wokandzie niebieskiej nie przyszła na mnie kolej, a jak przyjdzie, to i twoja trucizna nic nie pomoże! A i jabym nie chciał, przyznam się aspanu, limitować jeszcze życia! Należy mi się instygatorstwo, i nie chciałbym umrzeć póki instygatorem nie zostanę. Toć do kaduka trzydzieście lat jestem już woźnym, i nie lada świadom prac i praktyk trybunalskich. Rozumiem się ja na akcessoryach, nie obcą mi aktykacya, a statut i korrekturę pruską nie gorzej przewertowałem, niż nie jeden susceptant! A zresztą sił trochę jeszcze starczy, a moja wokanda także jeszcze nie wyczerpana!

Przy tych słowach wydobył Nemezy z zanadrza książeczkę w burej okładce, na której przylepioną była biała kartka z napisem: „Incarcerator. Wokanda Nemezego Kapicy, woźnego przy Najjaśniejszym Trybunale Lubelskim".

Książeczka ta, którą woźny terminem palestranckim „wokandą" nazywał, zawierała rejestr spraw niezałatwionych, kryminalnych, które byłby

obwoływał na posiedzeniach trybunalskich, gdyby się kadencya była rozpoczęła.

— A jak się ma pan deputat?— zapytał Szmok nie zważając na wokandę Nemezego — eliksyr mój wypił?

— Pan deputat miałby pić twój eliksyr, panie Szmok! Wylał go za okno... Ale ja tu inną mam sprawę do ciebie od pana deputata, sprawę bardzo ważną, gardłową...

— Co! — zawołał Szmok oburzony, i oczy jego zielonawe zamigotały jakby iskrami — wylał za okno! Co on sobie myśli o mnie, ten twój deputat!

— Bo ci nie wierzy panie Szmok, a zresztą on zdrów jak ryba, a gdyby był chory, to pewnie nie ciebie by zawołał, ale Bergonzoniego, bo to doktor sławny i patentowany...

— Bergonzoni! Bergonzoni! — zawołał czerwieniąc się od gniewu Szmok, przyczem twarz jego szpetna wykrzywiła się wyrazem szyderstwa — Bergonzoni głupiec, i doktor Kompers głupiec, i Burian, der dumme Franzmann! także, i Hermann także! Ignoranci, kanalja trucicielska! Moja peruka umie więcej, niż oni! Oni mają patent na oślej skórze, a ja tu! — dodał pukając palcem po swem łysem, wypukłem czole — co oni umią, bydlęta! Kto konających dźwiga?—Szmok!

Kto umarłych wskrzesza? — Szmok! Kto posiada arcanum magnum? — Szmok! Kto jest na tropie sekretu aeternae sanitatis — Szmok! Kto odnajdzie jutro zgubioną tajemnicę eliksyru vitae? — Szmok! Czy oni wniknęli w tajemnice natury, w cudowną potęgę alchemii, czy zajrzeli w mistyczny świat zagadek?

— Ochsen! Blutzapfer! Pflasterschmierer! — wołał zaciekle dalej Szmok, posługując się ojczystą swą mową — kto pierwszy lekarz? Paracelsus Bombastus! Kto drugi? Tobiasz Szmok! Sławny Szmok! Wunderdoktor Szmok! — któremu sam Boerhaven nie wart służyć za cyrulika!

Tak krzycząc dalej, porwał się Szmok z krzesła, zasadził perukę na głowę, odwinął żaboty i począł frak wciągać na siebie.

— Pójdę ja sam do deputata! Już ja się z nim rozmówię.

— Ale poczekajże Niemcze opętany! — rzekł poważnie Nemezy przytrzymując za ramię Szmoka — nie zastaniesz go w domu. Wyszedł właśnie za miasto, zachciało mu się posztykulać gdzieś na zwiady, co słychać z obozu pana Kościuszki. Siadaj aspan i siedź cicho. Mam z tobą do pomówienia w sprawie innej, ważniejszej.

Szmok sapał jeszcze od oburzenia i mruczał dalej do siebie samego.

Nemezy dał mu chwilkę czasu na uspokojenie, a potem tak zagaił sprawę:

— Panie Szmok, przypominasz sobie dobrze czasy, kiedy cię to konfederaci chcieli powiesić pod Zamościem?

Zapytanie to, przerzucające rozmowę od razu na inne pole, przerwało ostatecznie dąsy pana Szmoka. Zwrócił przenikliwe wejrzenie na starego woźnego i odparł:

— Alem się ich nie bał!

— Boś był nie winien i poręczył za ciebie pan deputat Strzetuski, na którego waćpan tak się właśnie przed chwilą sierdziłeś zawzięcie!

— Mnie pan Strzetuski nie uratował! Ja ani jemu ani mojej niewinności nie zawdzięczam życia! Moje życie nie na sznurku wisi, ale na konstellacyach tajemniczych, na magicznej wyroczni, na horoskopie, o którym ty nic nie wiesz, ty polnischer Wasan! Ja mam demona, ten demon zawsze przy mnie, zawsze i wszędzie... on patrzy na mnie tu z tego żaru, syczy w tym oto tyglu, stoi za plecyma, we śnie na czole mi siada i do duszy zagląda... Ten demon mi mówił, gdy mi życie odebrać chciano: „Tobiaszu, żyć będziesz...“ Ale ty tego nie pojmujesz, co tobie o tem mówić!

Pan Tobiasz, który był w zapale, machnął

pogardliwie ręką, łyknął haust gorącego wina i i wlepił swe buro-zielonawe oczka w żar komina.

— Zamknij aspan bezbożne usta, farmazon jesteś i osadzićby cię warto za to in fundo! Ja nie o demonach przyszedłem z tobą mówić. Tu chodzi o to, abyś sobie aspan dobrze przypomniał wszystkie przygody, które wówczas przebyłeś, a mianowicie o to, czy mógłbyś poznać i pomódz do odszukania pewnego człowieka?...

— Co na tem komu zależy po latach dwudziestu!

— Nie znasz się aspan na rzeczy... Ta sprawa cała podobna do procesu, a znam ja procesa, co się toczyły przez lat setkę i prowadzą jeszcze in infinitum... Opowiedz mi raz jeszcze po krótce twoje zajścia, wszakże je i tak lubiłeś zawsze opowiadać.

Szmok chwilkę pomyślał, łyknął wina i rzekł:

— Co tu jest opowiadać... Co mnie to wszystko obchodzi! Rzecz była krótka i prosta. Jechałem do Zamościa, bo chciałem się widzieć z doktorem Schwindem, który tam przebywał. Po drodze zatrzymali mnie konfederaci i biorąc mnie za szpiega powiesić chcieli.

— Pan deputat Strzetuski — dodał Nemezy — który wówczas był rotmistrzem w obozie konfede-

ratów, a nadjechał na to wszystko, wybawił cię i dał ci polecenie.

— Tak jest — potwierdził pan Tobiasz — kazał mnie odprowadzić jakiemuś szlachcicowi do małej chatki pod lasem, aby tam opatrzyć rannego...

— Tym rannym był pan starosta Modrowski...— uzupełnił Nemezy...

On był strasznie ranny — ciągnął dalej pan Tobiasz — jemuby nie byli pomogli wszyscy wasi głupcy patentowani, wszyscy doktorowie ignoranci! Szmok tylko, Tobiasz Szmok, mógł mu cudem swej nauki zapewnić życie.

— Wierzę, wierzę, panie magistrze — przerwał Nemezy—ale powiedz mi aspan, kogo tam więcej zastałeś?

— Było tam kilku konfederatów, dla bezpieczeństwa starosty, a między nimi był jeden młody bardzo, który zdawał się być bardzo czuły dla rannego...

— Gadzina... — szepnął Nemezy marszcząc swą twarz oparzystą. — Otóż o tego młodego tu chodzi. Opowiadaj dalej kochany panie Tobiaszu!

— Opatrzyłem rannego jak mogłem, ale nie miałem nic pod ręką. Zaledwie trochę wody znalazłem. Nie było ani octu, ani wina, którego mi było potrzeba. Przypomniałem sobie, że o jakich tysiąc kroków od chatki za lasem była karczemka,

po pod którą mnie prowadzono. Umyśliłem tam pójść, spodziewając się, że dostanę tam jakich potrzebnych mi artykułów. Było to w nocy; konfederaci spali w drugim pokoiku, chory się także zdrzemnął trochę, pobiegłem tedy, bo ja, Tobiasz Szmok, dla mego pacyenta i dla mojej sztuki wszystkobym w świecie uczynił. Przybliżam się do karczemki i widzę, że w oknach jest światło, bo się przedzierało przez otwory okiennic. Dobywam się tedy do drzwi, ale były zamknięte. Idę do okna, aby zapukać, patrzę przez otwór i trochę mi się nie dobrze zrobiło. W izbie było pełno kozaków, przy stole siedziało kilku oficerów a między nimi był ten młody konfederat, którego zastałem był przy rannym staroście. Nie pukałem już do karczmy, ale uciekłem co tchu i nie chciałem już nawet wracać do rannego; ale nad Tobiaszem, zwykłym człowiekiem, przemógł Tobiasz, człowiek niezwykły, Tobiasz Szmok, adept i doktor... Nie można było opuścić chorego, wróciłem do owej chatki...

Nemezy słuchał z wytężoną uwagą, a Szmok zwilżywszy gardło ciągnął dalej:

— Chory starosta spał. Nie budziłem go, ale zająłem się przygotowaniem świeżych bandażów i kompresów. Wtem nagle słyszę gwar i hałas okropny, potem strzały rzęsiste i do pokoju wpada

oficer moskiewski i kilku Kozaków. Na trzask drzwi przebudził się chory, spojrzał na Moskali i chwyciwszy w tej chwili za pistolet, który leżał przy nim na stoliku obok jakichś papierów, palnął z niego w oficera, a tak dobrze wymierzył, że Moskal padł od razu na ziemię... Kozacy wtedy dali wszyscy razem ognia do chorego, błysk i dym zaćmiły mi oczy, kule świsnęły i mnie po nad głową, a gdy się dym rozwiał, ujrzałem rannego już bez życia... Miał kilka kul w piersiach i głowie...

Nemezy kręcił z widoczną irrytacyą wąs swój biało-żółtawy.

— Potem cała izdebka — ciągnął dalej Szmok — zapełniła się oficerami moskiewskimi. Między nimi zobaczyłem ja wtedy dwóch Polaków, pana deputata Strzetuskiego i jeszcze jednego, którego nie znałem. Obaj oni byli bladzi jak trupy... Najstarszy z oficerów moskiewskich kazał sobie podać papiery, co leżały przed zabitym, przejrzał je i odwracając się nagle do pana Strzetuskiego i jego towarzysza, zawołał:

— Aha, nie udała się sztuczka, moi panowie! To wy tacy Targowiczanie, to wy regały? A zdrajcy! w własne sidła was złapano!

I dał rozkaz jakiś Kozakom, a ci natychmiast związali obu i wyprowadzili

— Potem — ciągnął dalej Szmok — miałem tę samą biedę z Moskalami, jak przedtem z konfederatami...

— To już mniej nas obchodzi, panie Tobiaszu— przerwał mu Nemezy — ale powiedz mi, czy poznałbyś ty tego młodego człowieka, który był przy rannym staroście, a którego widziałeś w karczmie na naradzie z Moskalami — czy poznałbyś go dziś jeszcze po latach tylu?

— Czybym go poznał? — powtórzył Szmok — toż ja go widziałem i poznałem przed rokiem?

Nemezy aż podskoczył ze stołka.

— Człowieku! gdzie go widziałeś i kiedy? i czemu dopiero teraz o tem mówisz?!

— Alboż to mnie co obchodzi! Przed rokiem byłem we Lwowie i widziałem go. Ubrany był w mundur oficera austryackiego!

— Słuchajże! — zawołał Nemezy — na odszukaniu tego człowieka panu deputatowi i mnie wiele zależy. Jeżeli Najjaśniejszy Trybunał się zreassumuje, co da Bóg musi niebawem nastąpić, to ten człowiek jako złoczyńca stanie przed nim, a chybaby nie było sprawiedliwości, gdyby wszystkie kroki nie poszły za wyrokiem: capite plectendus! A jak się nie doczekam reassumcyi a dostanę go do rąk, to ja sam, ja Nemezy Kapica, starszy woźny Najjaśniejszego Trybunału,

ja sam uważać go będę za skazanego in contumatiam, i skorzystam z rygoru liberae captivationis et colli — tak mi Boże dopomóż! Mam go na mojej wokandzie, będzie to ostatnia sprawa, którą obwołam, nim umrę!

I poprawiając karabeli swojej, stary woźny nałożył czapkę i rzekł:

— Panie Tobiaszu, chodźmy do pana deputata Strzetuskiego! Jesteś ty panie magistrze trochę farmazon, trochę waryat, trochę pijak — i do tego w dodatku Niemiec, aleś poczciwy człowiek! Możesz nam być pomocny w odkryciu złoczyństwa i intrygi, chodź ze mną do pana deputata, Tobiaszu Szmok!

Szmok popatrzył z zdumieniem na woźnego i machinalnie podniósł się z swego krzesła, gdy naraz wpadł ktoś z trzaskiem do apteki wołając:

— Jest tu woźny Kapica? Jest Szmok w domu? Niech spieszą na ratunek!

Szmok otworzył zamknięte drzwi i wbiegł razem z Nemezym do apteki. Był to jakiś zadyszany mieszczanin lubelski, który ujrzawszy Nemezego zawołał nań:

— Panie Nemezy, spiesznie za miasto, stary pan rotmistrz czy deputat padł bez życia na ziemi i leży tam bez ratunku!

VII.

RABBI NEHEMIASZ.

Nemezy porwał się z miejsca i był w jednej chwili na ulicy, a Szmok wybiegł za nim. Obaj spotkali na szczęście woźnicę z kolasą, któremu pan deputat kazał był wyjechać naprzeciw siebie za miasto. Obaj wskoczyli do kolasy i kazali pędzić, co konie wyskoczą.

Jak to naszym czytelnikom wiadomo już z pierwszego rozdziału, zastali obaj starca już bez życia... Środki, których używał pan Szmok, okazały się bezskutecznemi.

Nemezy osłupiał z początku, a gdy w końcu troszeczkę się otrząsł z pierwszego wrażenia, twarz jego oszpecona wykrzywiła się grymasem, który był tak dziwacznym, że jak powiedzieliśmy wówczas, wiedzieć nie było można, czy wyrażać miał przestrach, czy wzruszenie, czy zdumienie, czy wszystko razem.

Dopiero w mieście samem, gdy raz jeszcze

spojrzał pytającym wzrokiem na Szmoka, a pan magister znowu niemym giestem mu potwierdził, że nie ma żadnej nadziei, woźny trybunalski westchnął boleśnie i łzy mu się zaszkliły pod siwemi powiekami...

— Boże wielki! — szepnął — sędzio najwyższy!

Dla starego woźnego Bóg był przedewszystkiem sędzią i najwyższym marszałkiem Trybunału Wszechświata... śmierć nagła deputata terminem, który obwołano z wokandy niebieskiej...

Kolasa jak wiemy, zatrzymała się na Korcach, przed starym, w większej swej połowie opustoszałym domem, w którym mieszkał staruszek.

Pan Nemezy Kapica i pan Tobiasz Szmok znieśli zastygłe już zwłoki do wnętrza kamienicy.

Kamienica ta, jak już dawniej nadmieniliśmy, nie była zamieszkaną przez nikogo, oprócz przez starego rotmistrza-deputata. Sprowadzając się do niej nieboszczyk kazał odrestaurować dla siebie tylko pokój jeden i dużą salę, dla jedynego zaś swego domownika małą izdebkę po przeciwnej stronie wązkiego i ciemnego korytarza, który zastępował sień w starem domostwie.

Domownikiem tym był właśnie pan Nemezy. Nieboszczyk pan deputat był zawsze jego dobrodziejem i protektorem, dom jego był od dawnych czasów ową klamką, której się trzymała rodzina

Kapiców. Dziad i pradziad pana Nemezego przekazali mu w rodzinnej tradycyi przywiązanie dla domu Strzetuskich. Gdy nieboszczyk po długich latach niebytności pojawił się w Lublinie i tu osiąść postanowił, oddał mu się zaraz na usługi nasz woźny, a pan deputat przyjął go serdecznie i przy sobie umieścił.

W milczeniu znieśli Nemezy i Szmok trupa do pokoju i złożyli na łożu, okrytem dywanem tureckim. Pokój ten był oszczędnie i w stosunku do owych czasów po staroświecku umeblowany. Jedyną jego ozdobą był bogaty zbiór kosztownej i najrozmaitszej broni i kilka portretów starych, porozwieszanych na ścianach. Nad łóżkiem wisiała para tureckich, bogato w srebro i kamienie oprawnych pistoletów, karabela i duży ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej, ten ulubiony symbol nabożeństwa Barszczan, „sług Maryi, u Boga stojących na ordynansie“.

Od jaskrawej barwy dywanu dziwnie odbijała blada twarz umarłego. Śmierć nie zmieniła szlachetnych rysów oblicza — oblała je tylko tchnięniem spokoju...

Nemezy spojrzał na zwłoki i folgując niejako wzbierającemu uczuciu żalu padł przed niemi na kolana i począł całować zimne dłonie staruszka...

Potem porwał się, łzy obtarł rękawem kontusza, złożył dłonie starca na piersi, zdjął ryngraf z ściany, wetknął w palce zmarłego, spuścił na dół lampę, zawieszoną nad głowami, i zapalił ją...

Oddawszy tę posługę zwłokom, spuścił firanki u okien i rzekł smutnym głosem do magistra:

— Panie Tobiaszu, zostań tu przy zwłokach. Ja pójdę do księdza komendarza, bo on jeden jest tu w Lublinie ze wszystkich znajomych nieboszczyka.

Nemezy wyszedł, a Szmok przysunąwszy krzesło do łóżka, usiadł, sparł łokcie na poręcz, a głowę na dłonie i wpatrzył się swemi małemi, bystremi oczkami w bladą twarz trupa, jakby chciał na niej wyczytać tajemnicę śmierci...

Tak trwało chwil kilka, gdy naraz drzwi z cicha się otwarły, i w progu ukazał się człowiek nizki, stary, zgarbiony, z twarzą wychudłą i zgrzybiałą, ale z oczyma żywemi i pełnemi młodzieńczego prawie ognia. Ubrany był w długi talar czarny, jedwabny, aksamitem lamowany, po którym spływała duża, okazała, jak srebro biała i połyskująca broda.

Zaglądając do ciemnego pokoju przybyły zatrzymał się przy drzwiach i odezwał się głosem dźwięcznym:

— Pokój temu domowi!

Tobiasz Szmok zwrócił się nagle ku drzwiom, a ujrzawszy w progu postać starca, drgnął i jakby po śnie przetarł oczy. Zdawało mu się, że widzi nadziemskie jakieś zjawisko. Umysł magistra, tak skłonny zawsze do mistycyzmu i fantastyczności, zajęty był kontemplacyą na temat tajemnic życia i śmierci, nie dziw tedy, że nieznajomego starca poczytał z początku za istotę nadziemską.

Powstał z krzesła, ale posunąć się naprzód nie śmiał, bo go lęk przejmował.

— Kto jesteś? — zapytał głosem exorcysty.

— Jestem Rabbi Nehemiasz — odparł przybyły — i chcę mówić z panem Strzetuskim. Wszak tu mieszka pan Strzetuski? Ale kogo ja widzę, toż to pan Szmok! Czyż mnie pan nie poznajesz?

Słowa te wytrzeźwiły do reszty z złudzenia pana Tobiasza, i nie rad był w duszy, że ten, którego uważał za nadprzyrodzone zjawisko, przemówił doń zwykłym, ludzkim językiem.

— Zkądże wy mnie znacie? — zapytał.

— Zapomniałeś pan o rabinie Nehemiaszu! Byłem tu w Lublinie przed laty kilku, odwiedzając zwyczajem moim izraelską gminę. Przychodziłeś pan do mnie prosząc, abym mu przetłumaczył jakiś kabalityczny dokument, pisany po hebrejsku.

— Pamiętam, pamiętam — odparł Szmok — cóż was tu sprowadza Rabbi Nehemiaszu?

— Z daleka wracam i daleko idę... Wracam z Frankfurtu, gdzie miałem dysputę z sektą Sebatyan, co przyjęli naukę Franka, a jadę jeszcze dalej, aby się uczyć poznawać Jehowę. Pielgrzymka moja poświęcona jest szukaniu prawdy i sławieniu wielkości Boga. Gdzie przyjadę, tam udaję się do mędrców Bożego słowa, czy oni żydzi, czy chrześcianie, czy wyznawcy proroka, bo jak mówi Salomon Gebirol: „W Bogu wszyscy jednacy, a choć słowo nasze zmienia się, to wszystko łączy i jednoczy się w Nim“! — i wzywam mędrców tych na dysputę, o Bogu, o wierze i rozmaitych religiach. Szukam prawdy ku sławie Jehowy! Bo czemże uczcić Najwyższego jak prawdą, a gdzie szukać prawdy, jak nie w sporach mądrości... Ona z rozumów ścierających się jak iskra wylata, a kto iskrę tę uchwyci, ten błogosławiony!

— I pochwyciłeś iskrę, Rabbi Nehemiaszu? — zapytał Tobiasz, którego zajęła namaszczona mowa żyda.

— Nie jedna iskra z tych dysput padła na rozum mój i na serce, ale czem iskra jest do ognistego morza świateł, którem jest oblicze Jehowy?... Nikt go nie przejrzał, bo słabe oko ludzkie blasków słońca nie zniesie!

— I znalazłeś prawdę?

— Czem słońce dla źrenicy ludzkiej, tem prawda dla ludzkiego rozumu... Z daleka ona grzeje i świeci, ale mózg ludzki spaliłby się u samego jej źródła...

— Więc po cóż szukasz prawdy, kiedy jej nie znajdziesz? — zapytał magister, wykrzywiając twarz swą do ironicznego uśmiechu.

— Gdyby On, Adonai, pokazał mi się nikczemnemu, i w lewej ręce trzymał żądzę prawdy, a w prawej prawdę samą, sięgnąłbym do lewicy i wziąłbym pierwszą, mówiąc w pokorze: Jehowah, prawda u ciebie jedynie, mnie pozostaw żądzę jej tylko...

Tobiasz wzruszył garbatemi plecyma i zapytał:

— Więc siedz w domu i nie dysputuj, Rabbi, kiedy prawdy łaknąć chcesz tylko, a mieć nie chcesz!

— W moich wędrówkach po świecie miałem ja już dużo dysput publicznych. Od czasu kiedy stoczyłem dysputę z ks. Kołłątajem w Warszawie i z Jezuitami we Lwowie, spierałem się o rzeczach wiary z rabinami, z Sabatyanami, z wyznawcami Lutra i z derwiszem jednym nawet... A jaki zysk ma ztąd Rabbi Nehemiasz? Oto po każdej rozprawie z większą pokorą i z większem uwielbie-

niem wznoszę ducha do Stwórcy! Kiedy rozum się wysili w walce, kiedy bystrość omdlewa po wytężeniu, kiedy myśl spracowana dociekaniem umilknie i źródło słów uschnie, wtedy duch mój korzy się przed Niezgłębionym i Odwiecznym i kąpie się w Tajemnicy Jego; i rozkosz czuję niewymowną powtarzając słowa z księgi Mojżesza: Schma Israel! Adonai Elohenu! Adonai Echad! Słuchaj Izraelu! Adonai Bóg nasz, Adonai jeden i jedyny!

— I czyż to niedosyć na życie całe? — mówił dalej rabin z zapałem — wszakże Jehowie poświęca prorok swe słowa, rycerz swój miecz, męczennik swoją krew, pobożny swe serce, a mędrzec rozum swój! Czy to nie dosyć?

— I będziesz rozprawiał, będziesz dysputował, będziesz pytał, mądry Rabbi Nehemiaszu, aż ci usta ziemią zasypią...

— A gdybym milczał całe życie, czy nie taką samą danoby mi odpowiedź? Ale i pan, panie Tobiaszu, chcesz dysputować ze mną, tymczasem mnie w drogę pilno. Czy zastałem pana Strzetuskiego? Mam mu oddać przesyłkę ważną bardzo, z za morza...

— Pana Strzetuskiego chcesz widzieć? Mógłbyś go zobaczyć, mógłbyś się od niego dowiedzieć prawdy. On już wie prawdę, ale jej nie wypowie

ustami swemi... Chodź za mną, mądry Nehemiaszu!

I udając się z żydem w głąb pokoju, wskazał na zwłoki starca.

— Umarł! — szepnął żyd i cofnął się mimowolnie.

— Przed godziną.

— Żegnam was, panie Tobiaszu, nie mogę spełnić tego, co mi powierzono.

— Cóż to za sprawa, którą miałeś załatwić z nieboszczykiem? — zapytał Szmok.

— Ja nie wiem. Dano mi, jak mówię, pisma jakieś i wskazano mi dwóch ludzi, z których jednemu miałem je doręczyć. Jeden z tych dwóch oto umarł, a drugiego znaleźć nie mogłem.

— Może je tu zostawisz Rabbi?

— Na cóż? Czy pan Strzetuski się obudzi? Człowiek, który dał zlecenie, był to zacny mąż i wiele mi dobrego wyświadczył... Nie wiem, co zawierają pisma i czy ważne są, zostaną one przy mnie... Rabbi Nehemiasza łatwo znaleźć, choćby w daleką pojechał drogę. Nie ma pobożnej gminy żydowskiej, w którejby nie był znany Rabbi Nehemiasz, a nie ma miejsca na świecie, gdzieby naszych nie było.

Rzekłszy to Nehemiasz ukłonił się poważnie i wyszedł, nie pytany już dalej o nic przez Szmoka, którego sprawa ta mało obchodziła. Na ulicy cze-

kała już na rabina duża gromada żydów, którzy pragnęli widzieć i słyszeć męża świętobliwego i sławnego w Izraelu.

Wkrótce potem powrócił Nemezy do domu. Wrócił złamany i zrozpaczony. Jedynego przyjaciela nieboszczyka, księdza komendarza, nie było w Lublinie.

Do żałości serdecznej, którą przepełnione było serce starego woźnego, przybył tedy jeszcze i ciężki kłopot, co ma począć teraz, i jak uregulować interesa nieboszczyka. W frasunku tym swoim usiadł Nemezy obok zwłok pana deputata i oparłszy swą zasmuconą twarz na chudych łokciach, zatopił się w myślach. Nie spostrzegł nawet, jak go opuścił pan Tobiasz, który snać zatęsknił do swego laboratoryum.

Po długiem dumaniu rzekł nareście do siebie Nemezy z westchnieniem:

— Pierwszą rzeczą będzie, pogrzebać nieboszczyka uczciwie, jak na jego godność i urząd trybunalski przystało!

— Ale jakże go tu pochować uczciwie? — rozważał dalej pan Nemezy — kiedy jak nie ma, tak nie ma reassumpcyi trybunału. Gdyby to wypadło podczas kadencyi, to co innego! Ale tak, jakże pogrzebać uczciwie deputata lubelskiego? Wszakże trzebaby koniecznie, aby za trumną nie-

siono insygnia trybunału, aby za nią postępowali panowie deputaci z marszałkiem i prezydentem na czele, aby honorowa kompania z regimentu Czapskiego wystąpiła pod broń i salwę dała nad grobem, boć nieboszczyk nietylko w trybunale zasiadał, ale i na wojnie bywał!

Tak się biedził czas długi Nemezy, aż nareszcie postanowił zrobić, co się tylko da zrobić, byle pan deputat pochowanym był z pompą należną. Decyzya ta przypomniała mu, że na pogrzeb suty trzeba pieniędzy — a tu nie wiedzieć, czy zostawił gotówkę śp. deputat, czy zrobił przed śmiercią testament?

Zajęty temi myślami wstał pan Nemezy Kapica, przeszedł się po pokoju, a znalazłszy się przed drzwiami, wiodącemi do sali, machinalnie popróbował klamki. Drzwi były otwarte, i Nemezy wszedł do środka. Oczy jego padły na biórko założone papierami.

— Może znajdę jaką wskazówkę, co począć i do kogo się udać? — pomyślał sobie Nemezy i zbliżył się do biórka.

Na samym wierzchu leżał złożony, ale niezapieczętowany list. Nemezy go odwrócił i spojrzał na adres. Z najwyższem zajęciem odczytał napis wyraźny:

„Do mego starego sługi i przyjaciela Nemezego Kapicy.“

Woźny porwał gorączkowo list i otwierając go, począł oczyma pochłaniać pismo. List krótki był i opiewał jak następuje:

Kochany Nemezy, stary przyjacielu!

„Wierzyłem zawsze w przeczucia, a przeczucie to mówi mi teraz, że lada dzień Najwyższy powoła mnie przed swój Majestat. Gdybym umarł nagle, zamknij mi powieki i udaj się do księdza komendarza... (tu było jeszcze kilka imion przytoczonych), aby zajęli się wypełnieniem mojej ostatniej woli. Testament znajdą pod krucyfiksem na półce z książkami. Gdyby atoli śmierć moja nastąpiła wśród toczącej się wojny i niespokojów, które ojczyzną naszą miotają, a które i ludźmi dziwnie rzucają po tej ziemi nieszczęśliwej; i gdybyś z tej okoliczności nie znalazł nikogo z wymienionych osób, tedy proszę cię, poczciwy Nemezy, zastąp ich ty, ku czemu daję ci moc zupełną i upoważnienie. Ostatnia wola moja jasna jest i nie nadmiar trudna do spełnienia, a ludzie poczciwi pomogą ci w tej chrześciańskiej usłudze. Ufam ci, jakom ci ufał zawsze, i jako dziadom twoim ufali moi dziadowie. Jesteś dobrym chrześcianinem,

dobrym szlachcicem, i byłeś zawsze wiernym i przywiązanym do mnie, toż umierając, będę spokojnym o to, co pamięć moja ma jeszcze ze światem do załatwienia. Żegnaj, poczciwy, wierny towarzyszu!

Mikołaj Strzetuski, ręką własną.

Nemezy z żałośnem wzruszeniem odczytał list nieboszczyka deputata. Łzy grochem potoczyły mu się po chudych policzkach.

— Panie! świeć nad jego duszą! — rzekł sam do siebie — człowiek to był świętej poczciwości, mądry i sprawiedliwy sędzia, waleczny żołnierz i pan pamiętny sług swoich wiernych! A jak on tu pisze do mnie, jak do brata! Starym przyjacielem swoim mnie nazywa, egzekutorem testamentu swego mnie mianuje... bo jużcić egzekutorem być muszę, gdy ze znajomych i przyjaciół nieboszczyka i żywej duszy nie ma w Lublinie! Ostatni, który jeszcze tu mieszkał, ksiądz komendarz, wyniósł się z miasta, Bóg wie dokąd się udając!

I stary woźny ocierając oczy począł odczytywać po raz drugi list śp. deputata. Odczytawszy go z wytężoną uwagą i półgłosem, namyśliwszy się przytem niemal nad każdem słowem z prawdziwem nabożeństwem, Nemezy podumał trochę, a w końcu przejęty ważnością powierzonego mu

obowiązku, uderzył się tak silnie pięścią w piersi, że się aż echem odezwały, i zawołał:

— Nemezy, stary ladaco! czyś ty zasłużył na taki honor i na taką konfidencyę! Nemezy Kapica! przysięgnij sobie, jakoś szlachcic i uczciwy urzędnik Najjaśniejszego Trybunału, że się poprawisz, że się okażesz godnym zaufania! Odtąd obleczesz się — wołał dalej Nemezy występując niejako z siebie samego — odtąd obleczesz się w nowego człowieka, a ante omnia nie upijesz się nigdy, nie tkniesz się kieliszka, dopóki nie spełnisz tego, co zawiera w sobie ostatnia wola jw. pana deputata, rotmistrza wojska barskiego, Mikołaja Strzetuskiego.

Rzekłszy to podniesionym i uroczystym głosem, Nemezy uderzył się raz jeszcze całą siłą w piersi i dodał:

— Tak mi Panie Boże Święty dopomóż!

Potem złożył list z wyrazem uszanowania, schował go w zanadrze, westchnął raz jeszcze i zbliżył się do wskazanej półki, na której według listu znajdować się miał testament.

Podniósł powoli czarny, żelazny krucyfiks i ujrzał pod nim istotnie pismo opieczętowane. Oglądnął uważnie pieczęcie i napowrót położył na dawne miejsce testament, przyciskając go krucyfiksem.

— Choć mam wyraźną plenipotencyę — szepnął do siebie — nie otworzę go zaraz aż po pogrzebie i nie otworzę go sam, lecz przy dwóch świadkach. Najlepiej może będzie wtajemniczyć w tę sprawę pana Tobiasza i pana patrona Klarkowskiego... Tobiasz Szmok trochę farmazon i szarlatan, ale poczciwy i sprytny Niemczysko.

Tak mrucząc śród głębokiego zamyślenia, Nemezy powolnym krokiem wrócił do zwłok nieboszczyka deputata.

VIII.

NIESPODZIEWANE WSKAZÓWKI.

Powróćmy teraz znowu do naszego bohatera. Odjechał on wraz z swoim towarzyszem napowrót do miejsca, które mu służyło za chwilowy przytułek w Galicyi. Na pograniczu sanockiej a przemyskiej ziemi, w okolicy już górzystej, w odludnym, cichym zakącie, dalekim od świata, od miast i główniejszych traktów, u ubogiego szlachetki przebywał August z nieodstępnym już teraz Mykitą.

Gospodarz Augusta, szlachcic poczciwy, osiadły na włoce ziemi, wdowiec, bezdzietny, wiodący pustelnicze życie w swym maluczkim, ubożuchnym dworku, rad był z swych gości, a osobliwie z Augusta, bo miał co i słuchać i opowiadać, i nie nudził się tak w swej samotności.

Nie bardzo wprawdzie wygodnie było tam Augustowi, ale za to bezpiecznie, bo dworek jakby deskami zabity był od świata i nie zaglądnął doń

nigdy żaden urzędnik; tylko tak zwany „paletnik“ zagaszczał od czasu do czasu z upomnieniami o podatki, których szlachcic jak dotąd nie płacił, tak i nadal płacić nie myślał.

Uradował się poczciwiec bardzo, gdy August z swej wycieczki w głąb Przemyskiego powrócił szczęśliwie, ale radość ta nie trwała długo, bo ledwie dzień minął, młody kościuszkowski żołnierz zachorował niebezpiecznie.

Głębokie wzruszenia, jakich doznał August, połączone z odzywającemi się skutkami niewygód i udręczeń, przebytych podczas kampanii i po niej, podkopały silne zdrowie młodzieńca. Zaniemógł ciężko. Tyfoidalna choroba Augusta długą była i niebezpieczną, i tylko silnej, młodocianej naturze zawdzięczać należało ocalenie.

W ubogim, choć gościnnym dworku, trudno było o odpowiednie pielęgnowanie chorego. Felczer żyd z najbliższego miasteczka zastępował lekarza, a sam gospodarz, stara jego gospodyni, prosta wieśniaczka, i Mykita mieniali się w służbie około chorego. Długo walczył biedny August z śmiercią, aż w końcu nastąpiło szczęśliwe przesilenie. Choroba ustąpiła, ale rozpoczęła się długa i nudna rekonwalescencya.

Osłabiony niezmiernie, niezdolny do przedsięwzięcia podróży, której pragnął, August prze-

bywał w ustronnym dworku chwile niewypowiedzianej tęsknicy... Umysł jego niecierpliwy, wiecznie agitowany, wyrywał się w świat ze swemi planami i życzeniami, a złamany chorobą organizm odmawiał posługi.

Nareście siły powracać zaczęły; wiosna, która się właśnie co uśmiechać zaczęła w naturze, ożywczym tchem swym przyspieszyła rekonwalescencyę, a August głuchy na proźby i przestrogi poczciwego szlachcica, który częścią z istotnej obawy o zdrowie i osobiste bezpieczeństwo swego gościa, częścią z egoizmu wyjeżdżać odradzał, wyruszył w drogę. Pożegnany czule przez szlachcica, opatrzony w potrzebne i niepotrzebne rady i wskazówki, bo tem tylko hojnie mógł szafować ubogi poczciwiec, opuścił August z swym wiernym towarzyszem Mykitą, który podczas choroby dał mu nowe dowody przywiązania, swe ciche schronienie.

Celem pierwszym podróży Augusta był Lwów.

Nowa ta stolica nowej prowincyi była wówczas przepełnioną przejezdnymi ze wszystkich stron Polski; w niej gromadziły się nieszczęśliwe rozbitki powstania. Mnóstwo było wówczas żołnierzy kościuszkowskich we Lwowie, a mianowicie wyższych oficerów.

W kołach patryotycznych obradowano nad

sytuacyą, obmyśliwano dalsze środki działania, układano polityczne plany.

Z najwyższą niecierpliwością spieszył August do Lwowa. Pominąwszy już chęć zoryentowania się w nieszczęśliwym chaosie wypadków, które wypełniały tę epokę narodowego rozbicia, miał nadto nasz młody bohater mnóstwo osobistych planów i kwestyi, o których się w dalszym ciągu tego rozdziału dowiemy.

Przybywszy nareszcie po długiej, niesłychanie nudnej i trudzącej podróży do stolicy, August stanął z Mykitą w jednym z najnędzniejszych, żydowskich zajazdów, i zaledwie kurz podróżny zstrzepał z swych sukien, wyszedł na miasto, z głową rojącą się od zamysłów i kombinacyi, a w istocie bezradny i niewiedzący, co począć, gdzie się najpierw obrócić, jak się zoryentować.

Szczęście chciało, że zaraz na pierwszej ulicy, którą puścił się bez celu, znalazł znajomego z obozu. Ujrzał bowiem na kilkanaście kroków młodego, sążnistego człowieka, w ubraniu cywilnem, ale kusem i z pewną żołnierską fantazyą przyciętem, skręcającego na jedną z bocznych ulic.

— Demostenes! — zawołał August z najżywszym ukontentowaniem, ujrzawszy przechodnia — Demostenes! Demostenes! — powtórzył donośniej.

Na to wołanie młody człowiek zatrzymał się, spojrzał w stronę, z której go głos dochodził, i ujrzawszy Augusta z rozwartemi ramionami doń pospieszył.

— August! August! — zawołał barczysty młodzian, i po tych słowach nastąpił uścisk serdeczny, przeciągły.

Spotkany tak niespodziewanie przez Augusta młody człowiek, był to jego najlepszy kolega i towarzysz broni. Służyli razem w jednym szwadronie i razem przebyli całą kampanię. Demostenes, było to przezwisko żartobliwe, którem barczystego eks-żołnierza ochrzcili w obozie koledzy z powodu, że się dość mocno jąkał.

Nie gniewał się on za tę nazwę, ale owszem usprawiedliwiał ją w bardzo zaszczytny sposób. Jąkał się jak Demostenes, nim rozpoczął swój zawód oratorski, i był wymownym także jak Demostenes... w swoim, rozumie się, rodzaju. Był bardzo wymownym wobec Moskali, a dzielne cięcie i celny strzał były jego oratorskiemi argumentami, które były wielce skuteczne i przekonywujące, bo zamykały na zawsze usta przeciwnikom...

Po pierwszych wynurzeniach ukontentowania wzajemnego, poczęli obaj przyjaciele przypominać sobie czasy obozowe i opowiadać sobie przebyte przygody w bitwie i po bitwie maciejowickiej. Po

kilku chwilach takiej żywej pogadanki, w której odzywały się i wesołe tony niedawnej, tak obfitej w zapał i serdeczne nadzieje przyszłości, i smutne, prawie rozpaczne refleksye nad opłakaną sytuacyą ojczyzny i jej obrońców, zapytał Demostenes Augusta, gdzie mieszka, a usłyszawszy, że stanął w zajeździe, począł nalegać, aby się do niego sprowadził.

— Sprowadź się do mnie, panie bracie — mówił jąkając się swoim zwyczajem — będzie ci weselej i taniej. Nie wiem jak u ciebie z mieszkiem; jeźli tak jak u mnie, to tem większa potrzeba, byśmy się skonfederowali. Ja sobie mieszkam w jurydyce pana Kalinowskiego, mam już u siebie dwóch kolegów, a jeszcze i dziewięciu pomieściłbym. Rozweselisz się chłopcze, zobaczysz się z wiarą, z towarzyszami broni, i razem też coś o sobie pomyślimy!

Nie opierał się tym szczerym zaprosinom August i zaraz tego samego dnia do Demostenesa się sprowadził.

Dość daleko za miastem, na przedmieściu Zielonem, znajdowała się jurydyka pana Kalinowskiego. W dziwacznie zbudowanym, pomarańczowym dworku mieszkał Demostenes z swymi kolegami, prowadząc prawdziwie żołnierskie gospodarstwo. August znalazł i dla siebie i dla swego

Mykity dość wygodne pomieszczenie, a towarzystwo dawnych kolegów obozowych w pokrzepiający sposób wpłynęło na skołatany jego umysł.

W usposobieniu Augusta znać było jednak zawsze jakiś gorączkowy niepokój, który zdawał się go trawić bezustannie. Poznać było można zaraz, że oprócz trosk wspólnych wszystkim rozbitkom, miał on osobne przyczyny smutku, cierpienia i wiecznej, zagadkowej irrytacyi.

Cały dzień prawie spędzał on w mieście, gdzie zdawał się czegoś szukać i badać. Po kilka godzin trawił regularnie w kasynie Hechta, w sali kontraktowej, gdzie można było zastać osoby z wszystkich prowincyi Polski. Osobliwie zaś szukał August znajomości z ludźmi podeszłego wieku, starymi weteranami, a skoro się tylko dowiedział o jakimś ex-konfederacie barskim, nie spoczął prędzej, póki go nie poznał i w celach, jemu tylko samemu wiadomych, nie wybadał.

Cele te jednak nie bywały osiągane, bo August wracał zawsze smutny do swej kwatery i całe godziny spędzał na głębokiej, ponurej zadumie, z której go nic wyrwać nie zdołało.

Tak minęło kilka tygodni, gdy pewnego dnia Demostenes, powróciwszy do domu, rzekł do Augusta:

— Nie podobasz mi się chłopcze z tym twoim wiecznym smutkiem. Nie znam ja jego powodów i nie mam prawa w nie wchodzić, skoro ich sam wyjawić nie chcesz, ale Bóg widzi, radbym z duszy pocieszyć cię i rozweselić!

August uśmiechem przyjaźnym podziękował Demostenesowi, który mówił dalej:

— Uważam, że masz passyę wierutną do starych bywalców, do weteranów barskich... Ciągle cię widuję z nimi i uważam, że najradziej z nimi rozmawiasz. Otóż podziękuj mi z góry, mój kochany mruku, za niespodziankę, którą ci zrobię. Przybył tu do Lwowa stary wyga, weteran siedmdziesięcioletni, Barszczyk, Amerykanin, żołnierz kościuszkowski.

— Jakto? był w barskiej konfederacyi a potem w Ameryce? — zapytał zainteresowany August.

— Tak jest — odparł Demostenes — Bóg wie, którędy nie bywał... Popłynął z panem Puławskim do Ameryki, a powrócił z panem Kościuszką, bił się przez całą kampanię dzielnie, a wzięty przez Moskali uciekł im szczęśliwie po drodze i tu się dostał! Tęgi szlachcic, co się zowie. Nam wszystkim mógłby dać naukę, jak miłować ojczyznę i jak wierzyć w dobrą sprawę usque ad finem!

— Kiedyż go tu przyprowadzisz?

— Dziś wieczór go obaczysz. Nie miał dobrego pomieszczenia, więc go zaprosiłem do siebie. Będzie mieszkał z nami, i powiadam ci, choć stary, pójdzie jeszcze z nami na Wołoszczyznę, do Włoch, lub gdzie iść wypadnie!

Jak to Demostenes przepowiedział, ucieszył się August bardzo zapowiedzią takiego gościa. Nie wychodził już tego dnia z domu oczekując niecierpliwie starego konfederata. Nareszcie pod wieczor przyprowadził go Demostenes.

Był to niski, zażywny staruszek jak gołąb siwy, z rumianą choć wiekiem pooraną twarzą, z wzrokiem poczciwym i żywym, z młodzieńczą jeszcze werwą w ruchach i mowie. Ubrany był w niebieską krótką kapotę, przepasaną czarnym pasem, w buty wysokie, i szaraczkowe szerokie szarawary. Na ramieniu miał burkę, pod pachą mały skórzany mantelzaczek obozowy, w ręku kij sękaty. Trzymał się prosto, chodził żwawo, i gdyby nie twarz zgrzybiała i wąs biały, mógłby uchodzić za człowieka o pełnej sile męzkiej.

Nie czekając ani nie wymagając żadnej rekomendacyi stary przywitał się serdecznie z Augustem, rzucił kij i mantelzaczek na ziemi i zaraz się odezwał:

— No jakże waszmościowie myślą, długo my tu

popasać będziemy?... Czy robi się co, czy już wszystko ma być stracone?

— Waszmość, panie rotmistrzu, mógłbyś już odpocząć — odpowiedział Demostenes — nam to myśleć o sposobie, w jakiby jeszcze zrobić coś dla sprawy...

— Co! odpocząć mówisz? — zawołał stary — odpocząć? Jak przyjdzie dla mnie czas odpocząć, to wtedy już żadna pobudka mnie nie zbudzi, i wtedy już nie stanę do apelu, wtedy zamkną mi oczy i do jamy wrzucą... Odpocznę, jak umrę... Ale dopóki mi nogi statkują, dopóki ramieniem ruszyć potrafię, to nie spocznę braciszku! Cóż to, tak źle mi życzysz panie bracie, chciałbyś, abym sromotnie zmarł w łóżku, w szpitalu, a nie pod gołem niebem, śmiercią żołnierską?... Nic z tego, kochanku; tego nie będzie, jeżeli Bóg łaskaw na starego Jacka Wieruskiego!...

I począł stary rozprawiać żywo o swoich nadziejach i dopytywać się o wieści polityczne. Ostatnie wypadki nie zdołały oziębić jego zapału, nie zdołały zachwiać wiary. Perorował, kombinował i starał się wpoić we wszystkich, że jeszcze nie wszystko stracone.

— Nie zjedzą nas oni, nie zjedzą... Staniemy my im jeżem w brzuchu... A jak polęże głowa, to zęby zostaną... Straszne to dopuszczenie, to

prawda i u Boga w tajemnicy, jak dalej koście padną... ale doczekam ja się jeszcze, doczekam!

Potem zaczął się rozpytywać o starszyznę, o Kościuszkę, o Kniaziewicza, o Dąbrowskiego, i opowiadał swoje przygody z Moskalami. August i Demostenes słuchali go z zajęciem, a żylasta, kocią żywotnością obdarzona natura starego pana Jacka, i jego niczem nie zachwiana wiarę w zmianę na lepsze, przepełniały ich prawdziwą otuchą.

Tak gawędzili w noc poźną, aż nareszcie Demostenesowi oczy kleić się poczęły — i zaproponował, aby się udać na spoczynek.

— Oho, mój braciszku — zawołał stary — już to snem mnie nie uraczysz! Już to zawsze ze starymi sen w niezgodzie! Nie mogę sypiać, jak kilka godzin i to byle gdzie: na ławie, to na ławie, na śniegu, to na śniegu, na koniu, także dobrze, ale krótko! Idźcie spać chłopcy, a ja sobie pochodzę jeszcze po izbie i podumam moim zwyczajem.

— I mnie sen nie wabi, panie rotmistrzu — odezwał się August — jeżeli waszmość pozwoli, chętnie mu dotrzymam towarzystwa.

— Tem lepiej! pogawędzimy jeszcze o tem, co było, o tem co będzie... Czy to nie ma o czem mówić staremu wydze, jak ja!

*

Demostenes udał się do drugiego pokoju, a pan Jacek pozostał sam na sam z Augustem.

— Powiedzże mi mój chłopcze — ozwał się staruszek—jak się nazywasz? Ja znam całą Polskę; nie sposób, żebym gdzieś z jakim twoim dziadkiem, wujaszkiem, stryjaszkiem razem nie bijał lub nie pijał! Ot, to zaraz haczyk do gawędy!

— Nazywam się August... Narewski... — rzekł z lekkiem wahaniem młodzieniec.

— Narewski... Poczciwa krew, dobre gniazdo... Trzech Narewskich było w konfederacyi, jeden zginął pod Lanckoroną... A znałem Narewskiego, cześnika, tęgi panie był rębacz, gdzieś w Opatowskiem osiadły... W Łęczyckiem także są Narewscy... Czy z tego gniazda?...

— Nie... — odpowiedział trochę zmieszany August — nie z nich pochodzę... Nie mam krewnych tego imienia...

I zarumienił się przy tych słowach, jakby bał się zostać schwytanym na kłamstwie.

— A z jakichże? z której okolicy?

— Panie rotmistrzu — rzekł August po chwilce namysłu i patrząc w oczy panu Jackowi — ja... ja... właściwie zmieniłem nazwisko...

Pan Jacek cofnął się od Augusta, a potem spojrzał nań z niedowierzaniem.

— Zmieniłeś nazwisko! — zawołał zdumiony — a to dla czego? Toż przecie aspan szlachcic, a szlachcic nazwiska byle o co nie zmienia...

— Miałem do tego pewne powody — odparł August — ale przed tobą, panie rotmistrzu, właśnie nie będę taić mego pierwotnego nazwiska. Walczyłeś w szeregach konfederacyi, więc nie będzie ci ono obcem. Nazywam się Szczytowski...

Wymieniwszy swe nazwisko, August spojrzał na pana Jacka z dziwną jakąś obawą, ale uważnie, jakby chciał wyśledzić od razu, jakie ono na nim sprawi wrażenie.

Pan Jacek usłyszawszy je, aż podskoczył nagle.

— Człowieku! — zawołał — i ty takie nazwisko taisz! Szczytowski! Szczytowski! Syn podkomorzego Andrzeja?

— Tak jest — zawołał z bijącem sercem August — czy znałeś mego ojca, rotmistrzu?

— Czy go znałem? I jak go znałem! Człowieku! i ty mi od razu nie powiedziałeś, kto jesteś — a ja cię szukałem i szukam!

Augustowi krew uderzyła do głowy, wzrok zapłonął mu żywo i z uniesieniem prawie rzucił się ku starcowi.

— Więc znałeś mego ojca! — zawołał głosem pełnym wzruszenia i chwycił za rękę rotmistrza—

znałeś go i dać mi możesz o nim wiadomość! O Boże mój!... przecież się doczekałem...

I cisnąc dłoń starca do ust, począł ją August całować.

— Chłopcze, co tobie jest!—zawołał pan Jacek dłoń wyrywając—uspokój się, poczekaj, opowiem ci, co wiem. Nie otrzymałeś żadnej wiadomości od twego ojca?

— Żadnej, żadnej! Ja nie widziałem go nigdy, ja nie znam mego ojca?

— I listów jego z Ameryki nie odbierałeś?

— Nie, nigdy! Nie wiedziałem nigdy, gdzie jest i czy żyje! Ale... Boże mój!... może on żyje jeszcze! Ty z nim byłeś w Ameryce, panie rotmistrzu... mów, może żyje?!...

— Nie żyje!—odparł stary konfederat—umarł, ale niedawno... Trzy lata temu zaledwie!

— Trzy lata zaledwie—powtórzył z najwyższem wzruszeniem August — trzy lata! I ja nic nie wiedziałem o jego losach aż dotąd! Mógłbym go był zobaczyć, mógłbym był udać się do niego! Umarł...

— Tak umarł! — powtórzył rozrzewniony widokiem Augusta pan Jacek — zapoźno się dowiadujesz o wszystkiem...

— Więc opowiadaj mi o nim panie rotmistrzu! Opowiedz mi wszystko, wszystko, co wiesz! ¡O ty

nie pojmujesz, panie rotmistrzu, jak pragnąłem tych wieści... Teraz może padnie światło na tę okropną zagadkę!

— Cóż to za zagadka? — zapytał Wieruski.

— Przed tobą nie będę taić niczego, panie rotmistrzu! — rzekł August — tyś pierwszy człowiek, który mi przynosisz wieść o ojcu moim, pierwszy, który mówisz o nim jako przyjaciel! Powiedz mi panie Wieruski, a nie taj przedemną niczego, powiedz, czy mógłbyś uwierzyć, że ojciec mój dopuścić się mógł jakiego haniebnego czynu, naprzykład zdrady na przyjacielu i na ojczyźnie?

— Chłopcze, co ty mówisz? — zawołał prawie ze zgrozą Wieruski — podkomorzy Szczytowski miałby być zdolnym zdrady... zdrady na ojczyźnie! Ależ to horrendum! Za taką kalumnię ja pierwszy gotówbym się upomnieć i dochodziłbym szablą takiej krzywdy sromotnej, wymierzonej na imię nieposzlakowane!

— O i ja poprzysiągłem pomścić tej krzywdy! — zawołał z zapałem August. — Nikt, co ojca mego znał choć trochę, nie śmiałby tego przypuszczać! A przecież to straszne podejrzenie, rzucone przez podłych ludzi na imię mego ojca, zatruwa mi życie, krwawi serce i każe wyrzec się na zawsze najdroższych nadziei!

— Nic a nic nie pojmuję... — szepnął Wieruski, patrząc z zdumieniem na Augusta.

— Czy słyszałeś, panie rotmistrzu, co o staroście Modrowskim... i jego stosunkach do mego ojca?

— O Modrowskim słyszałem, że rotmistrzował jednej chorągwi z partyi małopolskiej... Wiem także, że rodzic twój a starosta żyli w najserdeczniejszej przyjaźni...

— Dobrze, panie rotmistrzu — zawołał August — pomóż mi więc teraz rozwiązać tę straszliwą zagadkę.

I wydobywszy z węzełka swego plik papierów, przerzucił je, a wyjąwszy jeden, przybliżył się z nim do światła i rozłożył przed oczyma rotmistrza.

— Czytaj tedy, czytaj! panie Wieruski — mówił trzymając papier w drżącej dłoni — i wyjaśnij tajemnicę, jeżeli możesz!

Na wierzchu arkusza papieru stało słowo Copia, a dalej odczytać można było akt następujący:

„Przed urzędem i aktami niniejszemi grodzkiemi i przedemną Janem Hotorowiczem, instygatorem i namiestnikiem burgrabstwa grodzkiego comparens personaliter JMC pan Walenty Zawada, porucznik chorągwi JWP. rotmistrza Modrowskiego, partyi małopolskiej wojsk koronnych confederationis, nomine rycerskiej starszy-

zny swego oddziału, tj. ichmościów pułkownika, porucznika, namiestników i chorążych, prezentował i do ksiąg podał a c t u m poniższe, które podając prosił, aby akt pomieniony ze wszystką w nią interesowaną rzeczą był do ksiąg przyjęty i wpisany. Jakoż on, przyjąwszy, w księgi wpisać pozwoliliśmy, a wpisując d e v e r b o a d v e r b u m, t e n o r s e q u i t u r e s t q u e t a l i s:"

„Jako podkomorzy Andrzej Szczytowski, niegdy rotmistrz chorągwi koronnego wojska c o n f e d e r a t i o n i s, komendę swoją bez p e r m i s s y i opuściwszy i do obozu moskiewskiego przeszedłszy, tamże p e r f i d e w praktyki zdradzieckie z wrogami wolności i ojczyzny się wdawszy, tej niesłychanej ku pohańbieniu szlacheckiego imienia i zelżeniu czci polskiego rycerza zdrady i zbrodni się dopuścił: iż nawiodłszy oddział Kozaków na leczącego się z ran swoich, w obronie ojczyzny odniesionych, pana Ignacego Modrowskiego starostę, rotmistrza chorągwi, w ręce ich sromotnie ku pastwie okrutnej go wydał, a następnie wojska też moskiewskie na obóz nasz naprowadziwszy, wielkiego przelewu krwi katolickiej i ostatecznej zagłady naszej stał się zdradzieckim sprawcą. Co iż widzieli, owego Szczytowskiego i n f l a g r a n t i zeszedłszy, panowie porucznik Szczepan Rozworski, namiestnik Walenty Zawada i towarzysze (tu

kilka nazwisk), dodani wspomnionemu rotmistrzowi Modrowskiemu dla straży, przysięgą swą stwierdzają i stwierdzić zawsze gotowi...“ ———

Dalej następowało oświadczenie, iż ponieważ wojska moskiewskie zupełnie kraj opanowały a wojska konfederackie są rozbite, i sądy wojenne nie istnieją, actum to ku wiecznej infamii zdrajcy w księgi ma być wpisane.

— Święty Boże! — zawołał odczytawszy akt ten Wieruski — to musi być intryga jakaś haniebna! Andrzej zabójcą przyjaciela swego, Andrzej zdrajcą ojczyzny, aljantem Moskali! O gdyby on wiedział o tej okropnej kalumnii rzuconej na imię jego, on co tyle cierpiał za swoją ojczyznę!

— Więc mój ojciec nic o tem nie wiedział, panie rotmistrzu?

— Nie byłby taił tego przedemną! A zresztą jak mógł wiedzieć, skoro wzięty przez Moskwę w ostatnich chwilach przed pierwszym rozbiorem, zagnany ku Syberyi, piętnaście lat zostawał w srogiej niewoli, sroższej nad ów jassyr, o którym nam pamięć przechowali nasi dziadowie.

— Biedny ojcze mój! — szepnął stłumionym głosem August, chowając twarz swą w dłonie — i o tem nic nie wiem, nic! Słucham cię rotmistrzu, opowiedz mi wszystko, co wiesz o kolejach mojego ojca. Kiedy on zginął bez wieści, ja byłem nie-

mowlęciem, a matka moja pewną była, że poległ. Żadnej, żadnej nie miano o nim wiadomości. W chłopięcym wieku odumarła mnie matka i znowu długo nie wiedziałem nic o ojcu; aż gdy dorosłem, zatruto mi życie tą potwarzą, tym aktem, który być musi płodem haniebnej intrygi jakiejś.

I mówiąc to August poszarpał w kawałki kopią aktu rzucając go pód nogi.

— Co wiem, to ci opowiem, chłopcze mój drogi — rzekł tonem głębokiego spółczucia Wieruski— ale dokładnych szczegółów dać ci nie jestem w stanie. W Ameryce losy wojny dzieliły nas ciągle, i widywać się mogliśmy tylko rzadko. Ale uspokój się pierwej, odetchnij. Drzysz cały jak w febrze.

— Jestem spokojnym już. Mów rotmistrzu!

— Otóż najpierw uprzedzić cię muszę, że i tym razem padłeś ofiarą dziwnego igrzyska losu! Zrządzenie Boże chciało, abym cię pierwej nie znalazł... Ale o tem poźniej, bo trzeba przecież zachować ład jakiś w naszej rozmowie, która cię w taką gorączkę wprawia. Zaczynam od tego, co wiem o twoim ojcu. Znałem ja twego ojca, ale nie byliśmy nigdy w jednej partyi, on był w mało- ja w wielko-polskiej. Przy końcu naszej wojny z Moskalami, gdy rozbicie wojska skonfederowanego było zupełne, gdy jeneralicya musiała uchodzić, gdy już obaj staroście Puławscy ustępowali

wrogiemu przeciwieństwu losów, trudno było wiedzieć nam co o sobie. Partye konfederackie były rozbite w garstki, rozsypane i rozprószone. Z tego to czasu, kiedy już wszystko było na schyłku, datuje się ów akt, jak wierzę wraz z tobą, potwarczy i z szkaradnej jakiejś machinacyi wylęgły. Nic ci tedy wyjaśnić w tej sprawie nie potrafię...

August westchnął i głowę smutno pochylił...

— Któż mi go wyjaśni i kiedy! — szepnął do siebie z rozpaczą.

— Wiem tylko — prawił dalej Wieruski — jakie mniej więcej koleje przechodził twój ojciec zostawszy ujętym przez Moskali. Wspominał mi tylko, że ujęty został zdradą swoich. Rozumiesz, nie on sprawcą, ale on ofiarą był zdrady! Zapędzono go w głąb Moskwy a potem na Syberyę, bo wiesz może, że wielu naszych braci pędzono wówczas na Syberyę i Kamczatkę. Tam przeniósł męczarnie długie. Kilkanaście lat jęczał w niewoli. W końcu udało mu się uciec. Jakiś ludzki kupiec moskiewski ulitowawszy się go, pomógł do ucieczki. Przebrany za sługę, pojechał śp. podkomorzy do Finlandyi, dostał się do Sztokholmu, potem do Londynu, a potem do Ameryki odpłynął.

— Czemuż dostawszy się na wolność nie wrócił do kraju, gdzie miał syna? — zapytał August.

— Dziwne są wyroki Boże, mój chłopcze. Śp. podkomorzy opowiadał mnie, że chciał to koniecznie zrobić, bo gnała go tęsknota do żony, która przebywała podczas ostatnich walk konfederackich w Dreźnie, i od której na krótki czas przed dostaniem się do niewoli moskiewskiej otrzymał wiadomość, że czuje się matką. Odtąd nie miał żadnej o niej wiadomości—a dostawszy się na wolność, pragnął koniecznie dostać się do kraju, za austryacki kordon, gdzie jak sobie roił, czeka go ukochana żona z dzieckiem, którego nie znał... Tymczasem spotkał się w Londynie z jednym z znajomych rodaków, który mu opowiedział, że jeszcze kiedy po rozbiciu i klęsce konfederackiego wojska schronił się do Drezna, słyszał pewną wiadomość, iż pani podkomorzyna przy rozwiązaniu swem umarła i że dziécię na świat wydane także nie żyje... Wieść ta fałszywa, przyprawiła ojca twego o boleść okropną. Na nieszczęście uwierzył jej a uwierzywszy czuł, że nie ma po co wracać do kraju, gdzie jako obywatel wolności a jako człowiek rodziny nie zastanie... bo podobno żadnych a żadnych nie miał bliższych krewnych?

August potwierdził, że istotnie nie ma bliższych pokrewnych.

— Popłynął tedy do Ameryki i tu walczył w szeregach republikańskich, a potem osiadł w Fila-

delfii. Ale zdrowie mu już nie służyło, niedomagał ustawnie. Na domiar dziwnego zrządzenia losów jeden z rozbitków naszych zawieruszył się w tych czasach do Ameryki, i ten ojcu twemu wieść przywiózł, jako syn jego, a więc ty Auguście, żyjesz. Nie wiem kto to był taki, podobno ktoś, co wcale w kraju nie był znajomy twemu ojcu, ale przypadkiem dobrze był poinformowany. Opowiadał, że pani podkomorzyna doczekawszy się syna, długo jeszcze żyła, ale przed kilku laty umarła...

— Tak jest! — zawołał August — matka odumarła mnie, gdym był już kilkunastoletnim chłopakiem. Gdyby ojciec mój wydobywszy się z niewoli wrócił był do kraju, nie zastałby już był jej, ale syna swego znalazłby... Boże mój, czemuż dałeś mu uwierzyć fałszywej wieści!

— I on tak wołał, i on tak na los i na siebie narzekał! Natychmiast chciał wracać do kraju. Było to w czasach, kiedy my wybieraliśmy się z Ameryki do ojczyzny, dokąd pan Kościuszko odjeżdżał. Ojciec twój chciał koniecznie wracać także. Ale niestety choroba jego musiała być ciężka, skoro ani wieści z ojczyzny, ani wiadomości o synie nie zdołały go podźwignąć z łoża boleści. Daremnie się szamotał z sobą, daremnie kazał nieść się na miejsce, zkąd odpłynąć mie-

liśmy. Trudy, do których ponoszenia się zmuszał, przyspieszyły jego koniec. Uczuł się blizkim skonu. Wtedy przywołał mnie do siebie, prosząc, bym wróciwszy do kraju, koniecznie wyszukał ciebie i oddał ci list twego rodzica i jego błogosławieństwo!

— Gdzież jest to pismo? O! panie rotmistrzu, nie godziło się kazać mi tak długo czekać! — — zawołał z gorączkową niecierpliwością August.

Stary rotmistrz popatrzył smutnie na młodzieńca, i wziąwszy go za rękę, mówił tonem łagodnym i pełnym współczucia:

— Uspokój sie, proszę, biedny chłopcze. Uprzedziłem cię, że i tym razem los dziwnie poigrał z tobą. Listu tego i papierów jakichś innych, które doń były dołączone, nie mam...

— Starcze niegodziwy! — zawołał — gdzież je podziałeś! Czyż tak spełnić należało ostatnią wolę przyjaciela!

— Nie potępiaj, nie miotaj tak ciężkich zarzutów! — odpowiedział Wieruski — usłysz i sądź, ażalim zawinił. Przybyłem do Polski poźniej od innych, bo właśnie choroba ojca twego, którego nie chciałem opuścić przed śmiercią lub wyzdrowieniem, wstrzymała mnie w Ameryce. Przybyłem już przed samą insurrekcyą krakowską. Szukałem

cię we wszystkich obozach, przeglądałem listy wojskowe, nigdzie twego nazwiska nie znalazłem.

— Przybrałem nazwisko Narewski — tłumaczył August — bo właśnie w tym czasie ohydna potwarz, o której wiesz, rozsiewaną była zacięcie przez ludzi, którym na takiej niesławie mego nazwiska wiele zależało.

— To też daremnie szukałem Szczytowskiego... Uprosiłem sobie nawet rozmaite osoby, aby mi w tem pomagały. Tymczasem nadszedł dzień bitwy pod Maciejowicami. Ranny mocno dostałem się do niewoli. Porwany przez Kozaków wlec się musiałem pieszo, umierając prawie od znużenia, znosząc bole okropne z ran. Pędzono mnie nocą bez odpoczynku wraz z kilkudziesięciu innymi jeńcami. Po drodze mijaliśmy małe miasteczko. Kozacy zatrzymali się w obszernej karczmie i nam pozwolili wstąpić do niej, ogrzać się trochę i odpocząć. W izbie gospodniej upadliśmy na ziemię bezsilni, i tak przenocować mieliśmy. Moi towarzysze posnęli snem twardym, kilku kozaków czuwało na straży. Ja spać nie mogłem, bijąc się z boleśnemi i ciężkiemi myślami. Żydowstwo przestraszone poukrywało się gdzieś w kątach karczemnego zabudowania. Było już poźno, kiedy z ubocznego alkierza wszedł do izby, w której leżałem, żyd jakiś sędziwy i poczciwego oblicza.

Ujął sobie straż kozacką, która mu pozwoliła pomówić z jeńcami. Ponieważ ja tylko czuwałem, więc do mnie mówić począł. Ze słów jego wiały powaga, miłosierdzie i pobożne namaszczenie. Pocieszał mnie i pytał, czy czego nie potrzebuję. Bóg widzi, w tej chwili nie potrzebowałem niczego tylko śmierci. Miałem jedyną tylko rzecz do załatwienia na świecie — a tą rzeczą było polecenie twego ojca, panie Auguście. Wpadło mi na myśl pomówić o tem z żydem. Jakże się zdziwiłem, gdy się dowiedziałem, że znał on dobrze rodzinę Szczytowskich, że twego dziada zapamiętał, twego ojca znał dobrze, że ciebie dzieckiem i chłopakiem widywał u matki.

— Któż to był? — zapytał August.

— Gdy się go zapytałem o nazwisko, odpowiedział, że jest Rabbi Nehemiasz.

— Nehemiasz, stary Nehemiasz, żyd bardzo bogobojny i w religii swej uczony! O tak, on i cała jego rodzina przywiązaną była zawsze do naszego domu. Domyślam się, oddałeś mu pismo mego ojca?

— Tak jest, oddałem mu, bo obudził we mnie zaufanie i bo innej rady nie widziałem. Zakląłem go na wszystkie świętości jego wiary, aby cię odszukał. W Ameryce wspominał mi ojciec twój wiele o swoim starym towarzyszu i przyjacielu

panu Mikołaju Strzetuskim, któremu mnie na wypadek, gdyby żył jeszcze, polecał i do którego miałem się udać o pomoc w poszukiwaniu za tobą. Powiedziałem tedy żydowi, aby papiery powierzone mu wręczył Strzetuskiemu, gdyby ciebie nie znalazł. Otóż i cała moja relacya — powiedz, czyli zawiniłem? Gdybym był przeczuwał, że w miesiąc poźniej uda mi się ujść z niewoli szczęśliwie, nie byłbym uczynił tego; ale czyż mogłem liczyć na to?

— Daruj, drogi rotmistrzu — rzekł August — żem śmiał ci robić cierpkie wyrzuty! Wybacz, żal i uniesienie chwilowe mi je podyktowały. Nie, nie mogłeś zrobić lepiej. Nehemiasz to stary wiernik mego ojca. Żyd to uczciwy i szczerze nam sprzyja. Znam go i wiele o nim słyszałem ciekawych opowieści. Za młodu trudnił on się handlem i gruby na nim majątek zarobił, a gdy się starzeć począł, rzucił się do ksiąg religijnych, do biblii, tałmudu, badać począł nawet namiętnie systemata religijne innych narodów, a dziś uchodzi podobno za najmędrszego rabina i doznaje formalnego uwielbienia od swoich współwyznawców.

— Szczerze się cieszę, że mnie zaufanie nie zawiodło... Czy daleko ztąd jest siedziba Nehemiasza?

— Mieszkał zazwyczaj w okolicy, gdzie położone były włoście mego ojca. Natychmiast wybiorę się w drogę, zaraz nawet Lwów opuszczam.

— Zaraz? Jak to w nocy? — ozwał się rotmistrz — doczekajże przecież świtu, a wtedy wiesz co? i ja z tobą pojadę. Duszno mi i ciasno tu w mieście między Niemcami, a zresztą będzie to dla mnie uspokojeniem sumienia, gdy ujrzę w twoich rękach pismo ojca, które ci sam doręczyć byłem powinien.

August opierał się zamiarowi starca, ale Wieruski nie chciał ustąpić i perswazye nic nie pomogły.

Dotąd

IX.

OPOWIADANIE AUGUSTA.

Gdy stanęło na tem, że obaj nazajutrz wybiorą się w drogę, rozpoczęła się znowu rozmowa.

— Dziś już nic podobno ze snu naszego nie będzie — ozwał się Wieruski — rozgadaliśmy się poźno w noc, a i ty i ja zanadto wzruszeni jesteśmy, aby zasnąć. Opowiedziałem ci, co wiedziałem o ojcu twoim, teraz kolej na ciebie, a jeźli masz zaufanie do mnie, to mi się odwzajemnisz opowieścią własnego życia. Młody jesteś, ale w dzisiejszych czasach i przy twojej naturze nie trudno o przygody. Pozwól mi powrócić do owego aktu kalumnii, choć to może ci będzie przykrem. Pojąć formalnie nie mogę, jaka i czyja w tem machinacya, a tem mniej, czem się to działo, że po latach górą dwudziestu nie doszedłeś do źródła tej haniebnej intrygi?

— Opowiem ci wszystko, rotmistrzu — odpowiedział August — wyspowiadam się przed tobą, bo dusza ma wynurzeń pragnie! Od długiego czasu

tłumię wszystko w mych piersiach i zmorę z sobą noszę w sercu... Nikt, nikt! dotąd nie był mi powiernikiem, ty nim pierwszy będziesz, panie rotmistrzu, bo gdy mówię z tobą, zdaje mi się, że mówię z ojcem moim!

Pytasz mnie się, czyja w akcie owym haniebnym machinacya? Czytałeś w kopii dokumentu, że jednym z świadków występku, którego się miał dopuścić mój ojciec, był porucznik Szczepan Rozworski... On to, on, głównym jest sprawcą tej podłej intrygi... Rozworski ów, wróg mój zawzięty, był w bardzo młodym wieku, bo liczył zaledwie lat dwadzieścia, porucznikiem chorągwi konfederackiej pana starosty Modrowskiego. Dziś jest on oficerem wojsk austryackich, bo zaraz po podziale pospieszył służyć zdobywcom. On to po bitwie maciejowickiej chciał nademną, jeńcem bezbronnym, pastwić się w niegodziwy sposób, chciał mnie usunąć z drogi na zawsze, i cudem tylko uszedłem śmierci, a może sroższym nawet niż śmierć losom... On splamił cześć mego ojca, honor imienia mego, wydarł mi ziemię i majątek, i wydrzeć mi chce najdroższy skarb, który mi pozostał, kobiétę, którą miłuję namiętnie...

Przy tych słowach twarz Augusta zapłonęła jakby od żaru, a oczy zamigotały oburzeniem i nienawiścią.

— Ale nie... źle ci opowiadam panie rotmistrzu — rzekł po chwili, usiłując stłumić uniesienie — porywa mnie namiętność szalona... Będę się starał być spokojniejszym. W krótkości streszczę ci historyę mego życia, o ile ona ma związek z ową potwarzą, rzuconą na mego ojca.

...Jak wiesz o tem, przyszedłem na świat w Dreznie. Matka moja z woli ojca tam się udała, chroniąc się przed wypadkami burzliwych i nieszczęsnych dla ojczyzny czasów. W Dreznie doszła ją wiadomość od osób, które miały udział o ruchach konfederackich, że ojciec mój znikł bez śladu, że najprawdopodobniej zginął z rąk moskiewskich... Poźniej znowu nie oszczędzono jej także wieści o przypisywanej mu haniebnej zdradzie. Według tej drugiej wersyi mój ojciec wynagrodzony sowicie przez Moskali miał uciec na zawsze z Polski. O tem wiem tylko z poźniejszych opowieści, bo matka mnie odumarła, jak powiedziałem, chłopakiem. Ostatnie lata swego życia przeżyła w dobrach rodzinnych naszych, Orszawie, gdzie umarła. O ojcu moim nigdy mi obszernie nie mówiła. Uważałem, że to jej przykrość sprawiało wielką. Zapytania moje zbywała zwykle odpowiedzią, że ojciec zginął na wojnie, że go zabili Moskale.

...Po śmierci matki rząd austryacki wyznaczył

mi opiekuna. Pan opiekun z urzędu, nie bardzo dbał o dobro sieroty, i zamiast bronić mnie przyczynił się do tego, że mnie niesłychaną intrygą pozbawiono majątku całego. Wówczas to pierwszy raz nauczyłem się wymawiać z nienawiścią nazwisko Szczepana Rozworskiego. Człowiek ten, palony zarówno ambicyą jak nikczemną chciwością, nie posiadający żadnego majątku a nie wahający się szukać wzbogacenia najszkaradniejszemi sposobami, przebywał wówczas już jako oficer austryacki w sąsiednim Modrowie, własności pana starosty.

...Spisek, który uknuł, był następujący. Mój ojciec ożenił się był z moją matką wbrew woli i planom swoich rodziców, a ślub ich odbył się z tego powodu potajemnie i cały związek aż do śmierci mego dziadka zostawał w ukryciu. Jakkolwiek poźniej wprowadził ją w dom swój, jako przed Bogiem i przed światem poślubioną małżonkę, przecież dało to po śmierci mej matki sposobność do najpodlejszej machinacyi. Rozworski wyszukał gdzieś bardzo dalekich kuzynów mego ojca, zrobił z nimi ugodę i namówił ich, by wytoczyli proces o dobra z przyczyny, że ja będąc synem nieprawego małżeństwa, nie uznanym nigdy przez ojca, który zmarł bez testamentu, nie mam praw do spadku po nim. Podmówieni oszuści nie wahali się wytoczyć takiego procesu, poczem Roz-

worski nabył u nich za mizerną jakąś sumę ich pretensye, i prowadząc proces na własną rękę wygrał go na mnie osieroconym i bezbronnym. Dziś infamis ten posiada majątek mnie należący.

...Kto wie, jakiby mnie był los czekał, gdyby się sieroty nie była ulitowała pani podstolina Chełmska, matrona rzadkiej zacności i cnoty, matki mej niegdyś najlepsza przyjaciółka. Dziś już nie żyje i ona, a ja nigdy o niej nie zapomnę, bo święta ta niewiasta drugą matką była dla mnie.

...Kiedy tylko wszedłem w dom pani podstoliny, rzekła do mnie tonem uroczystym:

— Powiedz mi Auguście, czy wiesz ty, jak się nazywasz?

— Szczytowski! — odpowiedziałem rezolutnie, nie pojmując, co ma znaczyć takie zapytanie.

— Słuchaj mnie chłopcze — rzekła wtedy dobrotliwym ale poważnym tonem pani podstolina— nie będziesz się odtąd nazywał Szczytowski. Z dwóch powodów nie będziesz nosił tego nazwiska — a jakie to są powody, tego ci dziś nie powiem jeszcze, bo ich nie zrozumiesz. Gdy dorośniesz w mężczyznę, dowiesz się o wszystkiem. Teraz nazywać się będziesz Narewski! Przyrzekasz mi, że nazwisko to nosić będziesz?

— Przyrzekam — rzekłem, nie śmiąc stawić opozycyi, choć mi się dziwnie boleśnem jakiemś przeczuciem ścisnęło serce.

...Odtąd nosiłem to nazwisko. Pani podstolina, zapalona zwolenniczka saskiej dynastyi, dla której jej cała rodzina żywiła była sympatye, wyjechała ze mną do Drezna. Tu nie szczędząc kosztów powierzyła mnie najlepszym nauczycielom, którzy mi udzielali umiejętności niezbędnych w wyższej edukacyi. Tak doszedłem do młodzieńczego wieku.

...Uchodząc zawsze za bliższego krewnego pani podstoliny, która wielce była poważaną u rodzin najznakomitszych polskich, których owego czasu dużo przebywało w Dreznie, miałem wstęp do wszystkich salonów, a że opiekunka moja wiele także wagi przypisywała do ogłady i wykwintności towarzyskiej, więc jakkolwiek sama mało gdzie bywała, rada widziała, że ja uwijałem się po pięknym świecie.

...Bywając w domu jednej z bardzo znamienitych rodzin polskich dość często, poznałem tam przecudnej urody pannę, pełną powabu i anielskiej słodyczy... Ale widzę uśmiech lekki na twoich ustach rotmistrzu... Nie będę ci kreślił całego romansu... nie potrafiłbym nawet tego... Powiem tylko, że pokochałem ją całą duszą moją i że doznałem wzajemności.

— Któż to był? — przerwał Wieruski.

— Była to panna starościanka... Modrowska, córka...

— O pojmuję teraz, pojmuję, mój chłopcze biedny — przerwał znowu Wieruski — jakich cierpień to dla ciebie było powodem, wobec tej szkaradnej dyffamacyi!... Ale mów dalej, mów, słucham cię z najserdeczniejszym udziałem.

— Panna starościanka bawiła w stolicy saskiej wówczas z swą matką. Stosunek nasz miłośny doszedł do najwyższego stopnia uczucia, a opiekunka moja szlachetna nic nie wiedziała o nim. Nie wychodziła właśnie w tej porze nigdzie i nigdy z domu, nie wiedziała nawet, że panie Modrowskie bawią w mieście i że się z niemi schadzam. Ja kryłem się przed nią z tajemnicą mego serca, jakbym coś złego przeczuwał.

...Tak trwało czas jakiś, gdy raz zniewolona natarczywemi zaprosinami podstolina przyjechała na wieczór do owego domu, gdzie się schadzałem z panną Gabryelą Modrowską choć zresztą i u pani starościny samej, która powzięła do mnie sympatyę, byłem dość częstym i mile widzianym gościem.

...Otóż na owym wieczorze widziała mnie podstolina ustawicznie przy boku panny Gabryeli. Nie uszedł bystremu oku kobiety doświadczonej

stosunek, który nas łączył. Wyczytała go z twarzy naszych opromienionych uczuciem, z spojrzeń blaskiem miłości oblanych. Uważałem, że sprawiło to na niej dziwnie przerażające wrażenie. Natychmiast zrobiła się cierpiącą i opuściła salon.

...Na drugi dzień przywołała mnie do siebie i mówiła tonem uroczystym, prawie groźnym:

— Wiem o wszystkiem, domyślam się wszystkiego! Auguście, zaklinam cię, zapomnij ty o pannie Modrowskiej, choćby kosztem gwałtu zadanego sercu. Jeżeli pragniesz spokoju i szczęścia, zapomnij o niej!

...Przelękniony temi słowami, których nierozumiałem, ale w których przeczułem zaraz jakąś tajemnicę złowrogą, błagałem o wyjaśnienie, ale otrzymałem odpowiedź równie surową i uroczystą:

— Nic ci nie powiem więcej. Ale raz jeszcze zaklinam cię na twe szczęście własne, wyrzecz się jej na zawsze! Auguście! usłuchaj mej przestrogi, jeżeli nie chcesz, by ci się straszną goryczą wypełnił wiek najpiękniejszy życia!

...Przerażony, słowa wymówić nie zdołałem— gdy staruszka tak się ozwała do mnie:

— Za dwa tygodnie chcę ztąd wyjechać. Mam pilne i niezmiernie ważne interesa we Lwowie i potrzebuję twojej pomocy. Mam nadzieję, że mi jej nie odmówisz. Jedź naprzód, jutro zaraz. Dam

ci instrukcye i przygotujesz wszystko na mój przyjazd.

...Nie mogłem się opierać temu rozkazowi mej drugiej matki, choć bolało serce. Nie pożegnawszy się nawet pojechałem. We Lwowie miałem zostać krótko, a potem udać się za kordon, i poświęcić się służbie wojskowej. Tymczasem dowiedziałem się, że pani starościna z córką powróciły do Modrowa. Nie mogłem się oprzeć serdecznej pokusie i pod rozmaitemi pozorami dwa razy zrobiłem wycieczkę do Modrowa, zkąd wracałem utwierdzony, że Gabryela odwzajemnia stale miłość moją.

...Kiedy po drugiej takiej wycieczce wyjeżdżałem z dworu modrowskiego, spotkałem się na dziedzińcu z wjeżdżającym jakimś oficerem austryackim...

...Był to Szczepan Rozworski...

...Znałem go. Rysy jego twarzy wbiły się jeszcze w pamięć moją wtedy, gdy z sługą starym, przysłanym po mnie przez podstolinę, podrostkiem opuszczałem dom ojcowski, w którym jako właściciel stanął już był Rozworski. Pierwszy to był człowiek, co dał poznać memu młodocianemu sercu uczucie namiętnej nienawiści.

...Spojrzenia nasze skrzyżowały się... Z zdumieniem i z jadowitym jakimś wyrazem spojrzał

na mnie, chciał coś zawołać, podniósł się nawet ruchem szybkim z kolasy, ale minąłem go spiesznie...

...Z przykrem wrażeniem, z złowrogiem jakiemś przeczuciem powróciłem do Lwowa. W trzy dni poźniej odebrałem przez posłańca list jakiś. Był to list od Rozworskiego, pisany w tonie szyderczym i w najwyższem stopniu zelżywym. Dorozumiesz się rotmistrzu, treści jego. Do listu dołączoną była kopia owego okropnego dyffamacyjnego aktu... Podstolina nie bez przyczyny mnie przestrzegała!

...Gdy płonąc cały od oburzenia, gniewu, boleści, stanąłem przed moją dobrodziejką i pokazałem jej nieszczęsne pismo, usiłowała mnie uspokoić i pocieszyć. Obsypana jednak zapytaniami opowiedziała mi wszystko, co wiedziała o tej straszliwej sprawie. I jej nie obcą była ta potwarz, którą rzucono na pamięć mego nieszczęśliwego ojca, a która zaprawiła goryczą życie mej matki i przedwcześnie w grób ją wtrąciła.

...Nie będę ci opisywać rotmistrzu okropnego stanu mej duszy... Widziałem jak między mną a Gabryelą wyrósł niespodziewanie, jakby zprzepaści podziemnych krwawy upior, który na zawsze, na zawsze nas dzielił, widziałem siebie ściganym klątwą infamii ohydnej.

...Byłbym uległ boleści i rozpaczy, gdyby ich nie zrównoważyło było z jednej strony niezachwiane choć nieusprawiedliwione przekonanie o niewinności mego ojca, z drugiej zaś szał nienawiści ku Rozworskiemu, który odbierał mi wszystko, wszystko! cześć, mienie i tę, bez której nie pojmuję szczęścia i życia!

...Wyprawiłem dwóch moich rówieśników z kartelem do Rozworskiego, wyzywając go do rozprawy o śmierć lub życie jednego z nas obudwu. Rozworski odprawił wysłanników szyderstwem i obelgą:

— Bijałem się i z młokosami — rzekł — ale bić się nie będę z infamisem i b......!

...W wściekłości mojej nie wiedziałem co robić, gdy dano mi znać, że Rozworski znajduje się we Lwowie. Postanowiłem go znieważyć czynnie, zabić nawet. Znalazłem go przypadkowo, wbiegł sam na mnie na ulicy. Rzuciłem się nań i powaliłem na ziemię, a kto wie, czy nie byłbym go zabił, gdyby nie jeden z moich towarzyszy, który gwałtem oderwał mnie od mojej ofiary i bezprzytomnego uprowadził z miejsca czynu.

...Tej samej nocy policya i patrole wojskowe poruszyły całe miasto, by mnie wynaleźć i sądom oddać. Udało mi się jednak uciec za kordon... Było to przed samą chwilą wybuchu.

Wstąpiłem w szeregi i szukałem śmierci na pobojowisku. Stało się inaczej... Ale patrz, już świt, panie rotmistrzu, ruszam w drogę...

— Ruszamy obadwaj! — poprawił Wieruski i porwał się na nogi.

August przywołał Mykitę i zbudził Demostenesa, oznajmnjąc mu, że nieprzewidziane a wielce ważne sprawy zmuszają ich opuścić Lwów natychmiast.

Demostenes, który znał Lwów dobrze, podjął się najęcia furmanki żydowskiej i wywiązał się z zadania w bardzo krótkim czasie. Ledwie ranek całkiem zabłysnął na niebie, podróżni nasi już byli w drodze...

August przyspieszał podróż, o ile to było w granicach możliwości. Za dobę stanęli na miejscu przeznaczenia. Było niem małe, przeważnie przez żydów zamieszkałe miasteczko, w którem przebywał Nehemiasz z swą liczną bardzo rodziną.

Nie wytchnąwszy nawet, August z Wieruskim udali się do jego domostwa. Na spotkanie ich wybiegło mnóstwo dzieciaków żydowskich i wyszła jakaś stara żydówka.

— Tu mieszka Nehemiasz? — zapytał August.

— Mój mąż, Rabbi Nehemiasz—rzekła żydówka z uczuciem dumy i poważnie — mieszka tu, ale nie zastaliście go panowie.

— Gdzież jest? — zawołał niecierpliwie August.

— Gdzie jest, ja tego nie wiem...

— Ale wróci zapewne dziś, jutro, za dni kilka?

— Kiedy wróci, to Bóg wie tylko. On pojechał daleko, bardzo daleko, w obce kraje, za dalekie góry i za dalekie morza. On się pożegnał ze mną, jak przy śmierci — dodała smutno — i pobłogosławił swych synów, wnuków i prawnuków.

— Ale dokądże przecie się udał? — zapytał Wieruski — musiał wam powiedzieć!

— On mi tego nie mówił i my go o to pytać nie śmieli — odparła z wyrazem pokory żydówka. Czy jabym zrozumiała, co w mądrości swojej poczyna Rabbi Nehemiasz?

August stał oniemiały, zawód ten srodze go dotknął. Wieruski począł wypytywać się dalej uporczywie, ale badania jego nie odniosły skutku. Poszukiwania w miasteczku między żydami także były płonne. Nikt nie umiał dać wskazówki, gdzie się znajduje Rabbi Nehemiasz.

Smutni zabrali się do powrotu nasi podróżni. August milczał ponuro, a stary konfederat nie przerywał tego milczenia. Był ciężko zafrasowany, jakby istotnie sobie a nie losom przypisywał gorzki zawód Augusta.

Tak powrócili do Lwowa.

X.

POD ZNAKI POLSKIE.

Dwa lata ubiegły od klęski pod Maciejowicami, kiedy hasła nowych nadziei odezwały się głośną pobudką do serc patryotycznych i zelektryzowały umysły przygnębione i wątpiące.

W zamęt rozgromu padł promień, który zdawał się oświetlać drogę do szczęśliwszej przyszłości.

Droga ta wieźć miała przez bój, przez bohaterskie dzieje orężnego tułactwa, przez zapał i poświęcenie najszlachetniejszej dziatwy polskiej.

Odezwał się sygnał do walki o Polskę choć nie w Polsce. Sztandar ojczysty rozwinąć się miał pod opieką obcych chorągwi; pod włoskiem niebem miano walczyć o swobodę pod niebem własnem, ukochanem, choć szarem; a ziemia rodzinna, za którą krew przelewano, nie miała dać spoczynku kościom poległych...

Rozpoczęło się na dobre owe krwawe, zbrojne

tułactwo polskie, zainaugurowane jeszcze przez Kazimierza Puławskiego w Ameryce...

Po raz pierwszy stanęli polscy żołnierzy w szeregach owej przedniej straży, która torowała drogę rydwanowi największego wojownika XIX stulecia.

Wojownika tego gwiazda wschodzić dopiero poczynała... Gwiazda ta wieźć miała przez dwadzieścia lat blizko hufce polskie — aby zgasnąć, nie spełniwszy wróżby, którą przyświecała tak długo ich ujarzmionej ojczyźnie...

Legiony polskie zbierać się poczęły... Niesione na skrzydłach tajemnicy, podawane dalej żywszem tętnem serc polskich, ozwały się hasła do boju na obcej ziemi.

W kraju, na którym spoczęła już całem brzemieniem swem żelazna dłoń niewoli, wszczął się ruch gorączkowy, starannie ukrywany przed czujnem okiem zdobywców. Młodzież polska przedzierać się poczęła przez kordony, spiesząc pod znaki tworzących się legionów, a d a q u i l a s p o l o n a s!

Między pierwszymi, którzy natychmiast pospieszyli na wezwanie, znajdował się August Szczytowski. Sygnał boju, z dalekich stron podany, był mu podwójnie pożądany. Odpowiedział on nietylko najgorętszym pragnieniom patryoty i żołnierza, ale stał się także ratunkiem dla człowieka, któ-

rego dusza upadała pod naciskiem boleści i zwątpienia...

Czytelnicy nasi znają dobrze położenie, w jakiem opuściliśmy w przeszłym rozdziale Augusta. W położeniu tem nic się nie zmieniło; tylko goryczy więcej przybyło mu jeszcze z powodu rozbudzonych przez starego konfederata, a tak boleśnie zawiedzionych nadziei...

Wskazówki, dane przez Wieruskiego, nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Przejęły one może moralną otuchą Augusta, ale nie pomogły mu do rozwiązania zagadki, która klątwą zaciężyła mu na latach młodości, na najdroższych marzeniach i nadziejach.

O miejscu pobytu Nehemiasza nie podobna było niczego się dowiedzieć. Pozostawała jeszcze inna droga. Ojciec Augusta wspominał Wieruskiemu o swym serdecznym druhu i towarzyszu Strzetuskim. Pomny tego, Wieruski powierzając pisma Nehemiaszowi, wskazał mu Strzetuskiego na wypadek, gdyby nie znalazł Augusta.

Należało tedy przypuszczać i przypuszczali też August i Wieruski, że Nehemiasz dopełnił tej drugiej części polecenia. Ale w położeniu, w jakiem się znajdowali obaj, jako rozbitki bez środków i bez osobistej swobody, wynalezienie Strzetuskiego było niepodobieństwem. O osobie jego

nie udało się Augustowi zasięgnąć wiadomości. Spotykał wprawdzie ludzi, który Strzetuskiego znali z imienia albo nawet z osoby, ale jedni i drudzy utrzymywali, że nie żyje już prawdopodobnie od dawna, że od czasu ostatnich potyczek konfederackich znikł bez śladu.

Namiętny umysł Augusta, rozdrażniony w najwyższym stopniu przez wypadki i przygody chwil ostatnich, raniony najboleśniej w tem, co mu było najdroższem i najświętszem w życiu, znajdował się ustawicznie w gorączkowym rozstroju....

Zdawało się już, że nawet energiczna, młoda i pełna żywotności natura Augusta nie oprze się tym ciosom. Moralne otrętwienie, głuchy, rozpaczliwy smutek, zupełna bezradność opanowały Augusta... Życie stało mu się prawdziwą męczarnią...

W takim stanie zastały go pierwsze wieści o układanych planach, o budzących się patryotycznych ruchach...

We Lwowie znajdowało się wówczas jedno z głównych ognisk ruchu patryotycznego. Ruch ten ograniczał się dotąd na gorączkowej agitacyi umysłów, na marzeniach nieokreślonych i nieuchwytnych planach — teraz jednak znalazł realniejszą podstawę w wiadomościach, otrzymanych z zagranicy.

Najpierw nadbiegła wieść o formowaniu korpusu polskiego na Wołoszczyźnie pod przewództwem Denyski, który łudzony przez posła francuzkiego w Konstantynopolu, miał przekroczyć Dniestr i wtargnąć w terytoryum polskie. Wielu bardzo z przebywających we Lwowie żołnierzy kościuszkowskich pospieszyło wziąć udział w tej wyprawie, która tak nieszczęśnie skończyła się srogiemi represaliami austryackiego jen. Schneidauera.

August powziął na początku także zamiar udania się na Wołoszczyznę. Równocześnie jednak nadeszły wiadomości o formowaniu legionów polskich we Włoszech przez Dąbrowskiego. Po naradzie z starym Wieruskim zmienił August plan i obaj postanowili opuścić natychmiast Lwów i podążyć do legionów.

Jak już wspomnieliśmy, ten nagle otwierający się widok do czynu, ten niespodziewany rozbłysk tak dusznej, tak ponurej dotąd sytuacyi, w prawdziwie zbawczy sposób wpłynął na usposobienie Augusta.

W duszy jego odezwała się znowu energia, młodzieńczy zapał począł się wznosić do lotu. Po chwilach ciężkiego smutku i zwątpienia nastąpiła reakcya ożywcza, umysł odzyskał sprężystość, w serce wstąpiło uczucie wiary...

August ujrzał przed sobą cel, a cel ten zapalał szlachetny i patryotyczny jego charakter. Uniesienie to kazało mu na chwilę przynajmniej zapomnieć o osobistych cierpieniach.

Kiedy nadeszła oczekiwana niecierpliwie korespondencya z Lipska, gdzie podówczas około Ignacego Potockiego, Małachowskiego i innych grupowało się grono najskrzętniejszych patryotów, a w korespondencyi tej August znalazł najniezbędniejsze wskazówki do urzeczywistnienia swego planu, rzucił się z najwyższem uniesieniem w ramiona Wieruskiemu i zawołał:

— A więc jedziemy rotmistrzu, jedziemy na wojnę! Skończyły się dnie tej strasznej tęsknicy i wiem nareście, do czego mi się przyda jeszcze życie!

— Tak, chłopcze drogi! — odparł rozradowany Wieruski — jedziemy, a ja wiem nareście, do czego mi się przyda jeszcze śmierć! Ty życia, synu, idziesz szukać, ja śmierci! Ozwała się pobudka: a d a q u i l a s p o l o n a s! a d a q u i l a s p o l o n a s! Spieszę, spieszę na apel, po raz ostatni zapewne w życiu!

I po pierwszych wybuchach uniesienia zabrali się obaj do przygotowań podróżnych. Poźno już w nocy, kiedy przygotowania były już na ukończeniu, odezwał się August do Wieruskiego:

— Rotmistrzu, ojcze mój kochany, ty wybaczysz, że w tej chwili prywatą także mam umysł zajęty... Co poczniemy, gdy on nie wróci?... Ja go tu zostawić nie mogę... a zresztą nie przeniosłbym może tego, aby odjechać bez ostatniej, tak... ostatniej zapewne wieści...

— O czem to, o czem mówisz? — zapytał rotmistrz, który sznurując swój węzełek, na znak ukontentowania mruczał sobie pod nosem jakąś nutę konfederacką.

— O tym wiernym, poczciwym towarzyszu moim, o Mykicie...

— Aha! — zawołał jakby przypominając sobie rotmistrz — cóż się z nim dzieje, gdzie się podziewa? Kilka dni go już nie widziałem...

— Nie ma go. Wysłałem go do... do... ty się domyślasz przecie... Chciałem jej posłać ostatnie pożegnanie. On lada chwilę wróci...

I August jakby zawstydzony pochylił głowę ku ziemi, a na twarz jego bladą wystąpił rumieniec.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł z dobrodusznym uśmiechem Wieruski — ha, to i cóż strasznego, poczekamy na twego Mykitę. Wszakże i tak kto wie, czy właśnie jutro wybrać się będziem mogli ze Lwowa.

Pocieszony tą odpowiedzią August, uściskał starego rotmistrza „na dobranoc“ i udał się do swego pokoju. To rzucił się na łoże i począł dumać...

Myśl jego przebiegała minione chwile, stawiła mu przed oczy uśmiechy szczęścia i mary doznawanych cierpień, niosła go na swych skrzydłach do owego dworu starego, rzucała go w ostatni!... ostatni! uścisk kobiéty, którą ukochał nad życie, a której wyrzec się musiał na zawsze...

Niewypowiedziana żałość opanowała Augusta, okropna tęsknota przejmowała duszę jego... I biedne to serce, które zabiło tak żywo na nadzieję blizkiego boju o ojczyznę — stało się znowu tak małe, tak ciasne... że prócz bolu własnego nie mogło nic pomieścić w sobie...

August uczuł się rozbrojonym przez boleść, hart opadał mu z piersi...

W tym stanie dręczącego rozprężenia usłyszał cichy szept w drugim pokoju. Stary rotmistrz odmawiał swe wieczorne modlitwy. Od lat trzydziestu prawie, tj. od czasu zaciągnięcia się w szeregi barskich konfederatów, Wieruski co wieczór odmawiał wszystkie modlitwy obozowe, a kończył je zawsze powtórzeniem uroczystem przysięgi, którą złożył jako konfederat.

Właśnie w tej chwili powtarzał on cicho rotę przysięgi. Słowa, choć szeptem wymawiane, brzmiały wyraźnie wśród ciszy nocnej. August mimowolnie wytężył uwagę i nadsłuchiwał.

— Panu Bogu Wszechmogącemu i tobie Najświętsza Panno przysięgam — szeptał cichym ale uroczystym głosem stary konfederat — iż wiary, ojczyzny i wolności sercem i orężem aż do ostatniego tchu bronić będę... od czego mnie nikt absolwować, ani z tego obowiązku uwolnić nie powinien, na co za wiarę, wolność i ojczyznę idąc na obronę, życie, fortunę i honor konsekruję... W imię samego Chrystusa! jeżelibym w czem bynajmniej przestąpił, niech mnie krew Najświętsza za mnie wylana potępi, rany Jego na duszy zranią, święta ewangelia i wymówione słowa niech mnie zagubią! Tak mi panie Boże dopomóż i niewinna męka jego!

Ciche te słowa przysięgi przemawiały do Augusta jakby uroczystem upomnieniem. Mimowoli prawie wstrzymał oddech w piersi i wytężył słuch, jakby się bał choćby słówko jedno uronić z modlitwy starego konfederata...

Znał on dobrze tę przysięgę rycerską, słyszał ją nieraz z ust samego rotmistrza, ale nigdy słowa jej nie sprawiły na nim tak głębokiego, poważnego wrażenia, jak tej nocy...

Przypomniały mu one obowiązki, o których zapominał dla osobistych swych cierpień, a których spełnienie powinno mu było zastąpić wszystko, co już stracił, wszystko, czego się jeszcze mógł spodziewać. August czuł się upokorzonym, małoduszność własna wstydem go przejmowała.

— O tak! bądź mi surowym przykładem, starcze — zawołał — i niech usta moje powtórzą za tobą uroczyste słowa tej przysięgi!... Zapomnę o wszystkiem, wyrzeknę się wszystkiego, wspomnienia i nadzieje moje niech odtąd służą tylko tej sprawie, która tobie, stary rycerzu, posiwieć kazała w bojach, w cierpieniach, w trudach, i której służyć przysiągłeś usque ad finem!

I w tym odzywającym się na nowo zapale szlachetnym, w myśli poświęcenia się, w ślubie wiernej służby sztandarom ojczystym, znalazł August pociechę i pokrzepienie. Myśli, którym się oddał w tej chwili, utrwalały w nim te uczucia mężnej rezygnacyi. Uczuł się dziwnie wzniesionym na duchu, bo zdało mu się, że znalazł drogę jedyną, po której idąc, cierpienie zmieni w zasługę, klęskę losów w zwycięztwo...

Wśród tej poważnej zadumy usłyszał August lekkie pukanie do drzwi. Po tem żołnierskiem, regulaminowem, że tak powiemy, zapukaniu, poznał August Mykitę.

Porwał się z łoża i drzwi otworzył.

— Jakąż wiadomość on mi przynosi! — szepnął do siebie — ha! jakakolwiek to będzie wieść, przyjmę ją mężnie... Wszakże wyrzekłem się już wszystkiego...

Przez otwarte drzwi wszedł do pokoju Mykita.

— Sława Bogu, witajcie paniczu! — rzekł poczciwy Rusin.

— Przybywasz nareszcie! — ozwał się August — w sam czas wróciłeś. Cóż słychać Mykito?

Zapytanie to uczynił August tonem pozornie spokojnym, siląc się na rezygnacyę, ale siły słabsze były od zamiaru; drzał od wzruszenia.

— Wszystko dobrze, melduję pokornie — rzekł Mykita — w Modrowie byłem, pannę widziałem... zdrowa...

— List oddałeś?

— Oddałem.

— Odpowiedź ci dano?

— Żadnego nie mam odpisu, paniczu.

— Nawet ci nic powiedzieć nie kazano?

— Nic — odparł smutnie Mykita.

August przeszedł się po pokoju w milczeniu.

— Jakżeś się sprawił, opowiedz — rzekł zbliżając się napowrót do Mykity.

— Bóg widzi, chciałem najlepiej — odpowiedział Mykita — ale cóż, nie można było. Cały dzień czatowałem pod dworem, ale nikogo z państwa nie widziałem. Pod wieczór podsunąłem się bliżej, wprosiłem się nawet do czeladniej izby, próbowałem się wywiedzieć bokiem, jakby tu pannę samą można obaczyć, i znowu nic z tego nie było. Przyjęto mnie na nocleg do stajni; w nocy obiegłem dwór, zaglądałem do okien, ale panny nie widziałem.

— Jakże tedy oddałeś list mój? — przerwał niecierpliwie August.

— Rano foryś konie przygotowywał, pytałem go, gdzie pojedzie? Odpowiedział mi, że z panią i panną do kościoła. Zaraz też wybrałem się z domu i pobiegłem naprzód do kościoła. Tam przy drzwiach czekałem długo, bardzo długo, aż nareście nadjechał powóz z Modrowa. Pani starościna weszła naprzód do kościoła, za nią szła panna starościanka. Czegoś smutna była bardzo, aż mi się samemu markotno zrobiło. Kiedy wchodziła w próg kościoła, ja szybko podsunąłem się do niej i dałem pismo do rąk własnych. Potem czekałem długo, a gdy panie obie wyszłe, spojrzałem na pannę uważnie. Popatrzyła na mnie i ruszyła ręką, tak, jakby mi chciała dać znak, abym za nią poszedł do dworu.

— I poszedłeś?

— Pobiegłem paniczu za powozem, razem z końmi. Ale już mnie paniczu nie wińcie za to, co się dalej stało... Ledwie wpadłem pod bramę, kiedy ujrzałem, jak na podwórzu wyszedł naprzeciw pani starościny i panny starościanki... hu!... strach mnie okrutny jeszcze teraz zbiera...

— Któż to był taki, mów prędzej!

— Oj nie kto inny paniczu złoty, jeno pan major. Ten sam pan major, co go znacie paniczu z Lublina, ten strasznie ostry pan...

— Rozworski!

— Tak się on pono nazywa. Otóż lęk mnie zdjął straszny, już mi tak było, jak gdyby mnie w łańcuchy zakuto i do krygsrechtu stawiono... Uciekłem zaraz i schowałem się we wsi.

August spojrzał z wyrzutem na Mykitę. Zrozumiał to spojrzenie poczciwy Rusin, bo skwapliwie tłumaczyć się począł:

— Wróciłem ja jeszcze i ciągle czatowałem i czatowałem, ale nic sprawić nie mogłem... Panny zobaczyć nie mogłem, a ludzie dworscy mi mówili, że pan major przyjechał w swaty i że się żenić ma z panną starościanką.

August uczuł, jak mu krew wszystka uderzyła do serca i głowy. Stał nieruchomy i słowa prze-

mówić nie zdołał... Słowa Mykity piorunem uderzyły w jego piersi...

— Dobrze, dziękuję ci — rzekł drżącym głosem, ochłonąwszy nieco z pierwszego straszliwego wrażenia słów Mykity — zrobiłeś co mogłeś...

I odchodząc w przeciwny kąt pokoju okrył dłońmi twarz pałającą.

— Gdzież twój hart, gdzie twoje męztwo, nieszczęśliwy! — szepnął sam do siebie. — Postanowiłem przyjąć spokojnie wiadomość, a serce z bolu pęka... Bez pożegnania tedy, bez nadziei, bez ratunku! O Boże mój, to zanadto!

I zdjęty srogą boleścią cisnął pierś drżącemi dłońmi.

— Stało się! — rzekł po chwili, pasując się z szalonem wzburzeniem. — Zbieraj się w drogę, Mykita — dodał głosem, w którym przebijała się już gwałtownie wywalczona, rozpaczna rezygnacya — jutro jedziemy daleko, daleko. Z drogi tej ty może powrócisz, ja nie... bo po śmierć jadę!

Mykita nie rozumiał Augusta, czuł tylko instynktowo jego boleść. Nie rzekłszy ani słowa, z twarzą smutną i zasępioną, zabrał się do pakowania podróżnych węzełków.

Na drugi dzień zrana stary Wieruski, August i Mykita opuścili Lwów. Gospodarz ich i towarzysz broni, Demostenes, już kilka dni przedtem wyje-

chał. Związany danem słowem, udał się on na Wołoszczyznę do korpusu pana Denyski, choć szczera go zbierała ochota zaciągnąć się do legionów włoskich...

Nie będziemy szczegółowo opisywać podróży naszych znajomych. Była ona bogatą w trudy i przygody, ale szczęśliwą. Stary rotmistrz, który zapaśniejszy był od Augusta, chciał sam opędzać koszta podróży, ale August nawet mówić sobie o tem nie dał. Szczupły zapas pieniędzy, który jeszcze posiadał, tak oszczędnie sobie rozliczył, że wystarczyć mu mógł aż do celu podróży, a potem miał żywić go wraz z Mykitą sam żołd.

Najpierw udali się do Karlsbadu, gdzie u bawiących tamże jenerałów i oficerów polskich zasięgnęli informacyi i otrzymali oficyalne polecenia. Z Karlsbadu udali się do Frankfurtu, ztamtąd do najbliższych posterunków francuzkich. Odtąd podróż była już mniej uciążliwą.

W Zurychu złączyli się z gromadką Polaków dążących do tego samego celu, co oni, i wraz z nimi dotarli do Medyolanu. Tu zastali już mnóstwo Polaków, mianowicie oficerów kościuszkowskich. Jenerał Wielhorski przebywał także w tem mieście.

August i Wieruski nie odpocząwszy nawet po trudach długiej podróży, udali się natychmiast

do oficerów, których im wskazano, a którzy byli ajentami jenerała Dąbrowskiego. Niecierpliwość, z jaką pragnęli stanąć w szeregach legionów, doznała jednak przykrej próby. Oświadczono im, że właśnie niedawno przed ich przybyciem ukończono formacyę trzech batalionów i że je natychmiast jenerał Dąbrowski do armii do Mestri odprowadził. Należało przeczekać w Medyolanie, dopóki się nie zbierze znowu większa ilość Polaków, lub przedrzeć się na własną rękę do legionów...

August i Wieruski zdecydowali się ruszyć natychmiast do armii. Powrócili do swej gospody i układali się z weturinem, który się im nastręczył, gdy nagle wbiegł do izby jeden z bawiących w Medyolanie Polaków.

— Hola! panowie bracia, czy zamyślacie wyruszać?

— Chcemy co najrychlej przedstawić się jenerałowi Dąbrowskiemu — odpowiedział August.

— Owoż przynoszę wam rozkaz, abyście zostali.

— Jakto, rozkaz, abyśmy zostali? Nie chcemy tu próżnować, przyjechaliśmy bić się i spieszymy pod broń, do szeregów.

— Nie zatrzymują was tu na to, abyście próżnowali! Proszę za mną!

— Kto waści przysłał? — zapytał Wieruski.

— Major Liberacki!

— Chodźmy, panie rotmistrzu! — odezwał się teraz August — znanym mi jest major Liberacki, dzielny to żołnierz i dobry Polak, służyłem czas jakiś pod nim w kawaleryi. Chętnie oddamy się pod rozkazy majora. Prowadź nas, kolego!

Poprowadzeni przez posłańca stanęli obaj niebawem przed majorem Liberackim. Żołnierz ten kościuszkowski znany był zaszczytnie jako waleczny oficer kawaleryi. Kościuszko pokładał w nim wielkie zaufanie i powierzył mu był misyę na Wołyń w celu rozszerzenia ruchów rewolucyjnych.

Po upadku powstania major Liberacki wyjechał za granicę, a marzący z natury umysł jego oddał się mistycyzmowi. Wraz z przyjacielem swoim, znanym w Polsce mistykiem Grabianką, udał się Liberacki do Avignon, który był głównym siedliskiem mistyków i stolicą sekty tak zwanych illuministów.

Liberacki przyjął Augusta i Wieruskiego z serdeczną, koleżeńską uprzejmością. Augusta przypominał sobie nawet jako młodego oficera w kawaleryi polskiej, i tem milej go witał.

— Schwytałem was na samem wyjezdnem, koledzy — rozpoczął rozmowę Liberacki — i szczerze się cieszę, że się nie spóźniłem...

— Spieszyliśmy się — odparł August — bo już i tak wyprzedziło nas wielu. Jenerał Dąbrowski naszych już w bój poprowadził...

— Dam wam szybszą sposobność do czynów walecznych, niż się może spodziewaliście... W najlepszą porę przybyliście. Możecie oddać wielką przysługę sprawie...

— Z upragnieniem czekamy rozkazu. Na czem polega ta usługa, majorze?

— Mieliście we dwóch tylko stawić się przed jenerałem Dąbrowskim. Czy nie będzie się wam to podobać bardziej, gdy oto my trzej jak tu jesteśmy, staniemy na czele tysiąca pod chorągwiami legionów!

Ujrzawszy zdziwienie Augusta i Wieruskiego major uśmiechnął się i mówił dalej:

— Słuchajcie tedy. Jenerał austryacki Laudon z Tyrolu wtargnął do Włoch i pod Weronę się zbliża. Tym sposobem uczynić chcę dywersyę Bonapartemu, który wprost podsuwa się pod Wiedeń. W Weronie wielu zwolenników mają Austryacy. Już w mieście tem rozruchy nam wrogie wybuchły. Jest tedy niebezpieczeństwo, które zażegnać musimy.

— Jak to, majorze — zapytał August — my sami? Rozumiem, że przeznaczasz nas do jakiegoś korpusu, który ma się udać przeciw Austryakom.

— Nie ma ani jednego żołnierza — odparł major — my sami stworzyć sobie musimy korpus! I właśnie do tego was potrzebuję. W Mantuy znajduje się do dwudziestu tysięcy jeńców austryackich. Między nimi mnóstwo jest Polaków. Wiecie zapewne, że w służbie austryackiej są i rozbitki armii pana Kościuszki?

— O, wiem o tem dobrze — potwierdził August, któremu stanęły w pamięci własne przygody, doznane w Lublinie.

— Otóż pojedziemy do Mantuy — tłumaczył Major — otworzymy werbunek między wiarusami, uzbroimy, uorganizujemy i uderzymy na Weronę! Jak wam się to podoba? — dodał Liberacki, którego blada twarz okryła się rumieńcem, a oczy zapłonęły żywiej przy tych słowach.

— Majorze, licz na nas, oddajemy się duszą i ciałem tobie i twoim planom! — zawołał August, którego prawdziwem uniesieniem przejął plan ten śmiały i awanturniczy.

XI.

SZTURM NA WERONĘ.

Na drugi dzień zaraz wyruszono na wyprawę. Oprócz Augusta i Wieruskiego, Liberacki pozyskał dla swej myśli, którą mu podał komendant francuzki Mantuy, kilku innych oficerów polskich — i tak razem udali się na miejsce swego przeznaczenia.

August wziął z sobą Mykitę, który jako dawny żołnierz austryacki mógł się okazać bardzo przydatnym przy werbunku między jeńcami. Za przybyciem do Mantuy oficerowie wszyscy z majorem Liberackim na czele udali się do komendanta twierdzy, który natychmiast wydał polecenie, aby jeńców austryackich zgromadzić razem.

Oficerowie polscy poubierali się w swe mundury, o ile takowe na prędce dały się dokompletować, i udali się do jeńców.

August w Medyolanie jeszcze zaopatrzył się na prędce w uniform, którego mu dostarczył tak

zwany „Zakład“ legionów, zostający pod zarządem kapitana Kazimierza Konopki. Ustroił się tedy w kurtkę granatową z ozdobami i wyłogami żółtemi, a ponieważ jako oficer kościuszkowski wstępywał w służbę w dawnej randze, przybrał oznaki oficerskie, to jest: dragonki i kordony srebrne i takąż szarfę przewiesił przez ramię.

Gdy się znalazł już w stroju tym żołnierskim, do którego przywykł od pierwszych lat młodości, gdy u boku odczwała się marsowym chrzęstem szabla, August uczuł się prawie innym człowiekiem. Znalazł się w swym żywiole; junactwo młodej duszy ozwało się w nim swą pierwotną werwą; zapomniał na chwilę o wszystkiem, czego doznał, o ciosach, które mu ciężko zraniły serce, o przyszłości, z której los zdarł najwonniejsze kwiaty marzeń i nadziei...

Widział otwarty przed sobą świat czynu, świat ów podwójnego, dzielnego życia, w którem gromowy takt dział reguluje bicie serca, w którem „wczoraj“ i „jutro“ nie znajdują się na kalendarzu, bo byt cały koncentruje się w chwili obecnej.

W takiem usposobieniu rozpoczynał August swój nowy zawód.

Austryackich żołnierzy, zabranych różnemi

czasy w niewolę, znajdowało się w Mantuy około dwadzieścia cztery tysięcy.

Major Liberacki nie chciał żadnego zmuszać do służby, nie wymagał więc nawet, aby wszystkich mu prezentowano; prosił tylko, aby mógł zrobić przegląd jeńców, pochodzących z czasów dawnej kościuszkowskiej armii, albo też rekrutowanych w starej lub nowej Galicyi.

Kilku oficerów francuzkich i wszyscy przybyli polscy udali się na jeden z placów twierdzy, gdzie ustawieni jeńcy oczekiwali pod strażą garnizonowych żołnierzy. Kilku doboszów francuskich uderzyło marsz poprzedzając orszak oficerów. Na wysokim drzewcu niesiono dużą, trójkolorową chorągiew, na której wypisane były słowa: „L'union des Francais et des Cisalpins.“

Jeńcy stali w oczekiwaniu, wyglądając poselstwa z niecierpliwą ciekawością i z dobrą otuchą, pobyt bowiem w twierdzy bardziej ich znękał, niżeli trudy najcięższej kampanii. Były to same postacie ogorzałe, zbiedzone, obdarte. Jeńcy ubrani byli w resztki swych dawnych mundurów austryackich, a byli między nimi żołnierze rozmaitej broni, piechury, artylerzyści, jeźdźcy. Chociaż komendant twierdzy zarządził, aby tylko Polaków zgromadzono, pospieszyło przecież na plac drugie tyle Słowian, Węgrów a nawet Niemców, którzy

za jaką bądź cenę pragnęli się wydobyć z niewoli. Tłum cały wynosił około pięć tysięcy głów.

Major Liberacki stanął przed frontem, bębny wezwały do baczności i milczenia.

— Polacy jesteście?! — zawołał donośnym głosem major.

— Polacy! — odezwał się chór olbrzymi.

— Witam was tedy rodacy! — mówił dalej major — znajdują się między wami, jak słyszałem, dawni żołnierze z armii pana naczelnika Kościuszki. Niechaj ci naprzód wystąpią!

Około dwustu żołnierzy, między nimi wielu już osiwiałych, wysunęło się szybko naprzód. Byli to ci, których wojskowe władze austryackie po upadku powstania kazały wcielić do pułków przymusowo. Nie jeden z bezbronnych uczestników owej sceny na rynku lubelskim, którą opisaliśmy na początku naszej powieści, znajdował się między nimi.

Wielu z nich znało z imienia majora Liberackiego, wielu służyło pod nim nawet, wszyscy też występując naprzód zawołali:

— Niech żyje major Liberacki!

— Dziękuję wam towarzysze! — odparł major — widzieliśmy się już w lepszych czasach, wśród boju za ojczyznę! Ciężkie przebyliście koleje, ale nie wątpię, że serca wasze zostały polskiemi! Towa-

rzysze broni! rodacy! przynoszę wam sposobność chwycenia za oręż pod znakami wolności! Pod wodzą waszych dawnych oficerów, którzy niedawno jeszcze dzielili z wami trudy bojowe na ojczystej ziemi, pójdziecie do walki!

— Czego od was żądam, powiedzą wam słowa znanego wam dobrze wodza, jenerała Dąbrowskiego. Panie poruczniku — dodał zwracając się do Augusta — przeczytaj odezwę.

August wystąpił naprzód, dobył odezwę jen. Dąbrowskiego i silnym, donośnym głosem czytać począł:

„Wierny ojczyźnie aż do ostatniej chwili, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona wprawdzie, lecz zostaje nam pocieszająca pamięć, żeśmy przelewali krew naszą za kraj naszych przodków, i żeśmy widzieli nasze sztandary, tryumfujące pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem!

„Polacy! nadzieja was jednoczy! Francya tryumfuje, walczy ona za sprawę narodów. Starajmyż się osłabiać jej nieprzyjaciół; zapewnia ona nam schronienie; czekajmy lepszych przeznaczeń dla naszego kraju; stawajmy pod jej chorągwiami, są one chorągwiami honoru i zwycięztw.

„Legiony polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi niegdyś świątyni wolności. Już ofice-

rowie i żołnierze, towarzysze prac waszych i waszej waleczności, są ze mną, już organizują się bataliony.

„Przychodźcie, towarzysze moi! rzućcie broń, którą was nosić zmuszono! Walczmy za wspólną sprawę narodów, za sprawę wolności pod walecznym Bonapartem, zwycięzcą Włoch!

„Trofea Rzeczypospolitej Francuzkiej są naszą jedyną nadzieją, przez nią tylko i jej sprzymierzonych, odzyskamy te drogie ogniska nasze, które opuściliśmy ze łzami!

„W kwaterze głównej, dnia 1 Pluviose roku V. Rzeczypospolitej francuzkiej. Polski jenerał-porucznik Jan Dąbrowski.“

Gdy August odezwę tę odczytał, odezwał się gromowy okrzyk między jeńcami polskimi:

— Niech żyje Dąbrowski! Niech żyje Bonaparte!

Gdy się uciszyło, zabrał głos dalej Liberacki:

— Słyszeliście odezwę — słowa jej przemówiły do serc waszych. I ja do was nie potrzebuję mówić długo! Jesteście żołnierzami polskimi, przysięgą związaliście się z sztandarem wolności — nie werbuję was, ale apel ogłaszam! Kto jest między wami, co nie chce stanąć do tego apelu? Nie będę go zmuszać, niechaj zostanie!

— Nikt! nikt! — zawołali głośnym chórem wia-

rusy — oddajemy się wszyscy pod rozkaz twój, majorze!

I po oświadczeniu tem nastąpił znowu głośny okrzyk, pełen zapału i radośnego uniesienia.

Z pozyskanych tym sposobem wiarusów utworzyły się kadry wojska, które na prędce miało się zaimprowizować. Z pomiędzy nich wybrano zaraz podoficerów, którzy wspólnie z przybyłymi oficerami polskimi mieli się zająć dalszem werbowaniem ochotników między jeńcami austryackimi polskiego pochodzenia.

Werbunek osiągnął rezultat bardzo świetny. Oprócz starych wiarusów kościuszkowskich, zaciągnęło się w szeregi legionów przeszło dwa tysiące jeńców. Byli to Polacy i Rusini, zrekrutowani w Galicyi dawnej lub też nowej. Wielu nawet Czechów, Niemców i Węgrów przyjęło służbę. Patryotyczne uczucie zastępowała u nich nadzieja lepszego bytu i chęć wydostania się z niewoli fortecznej, która połączoną była z niedostatkiem i śmiertelną nudą.

Rezultat ten dorywczego werbunku, apelującego do wolnej decyzyi żołnierzy a nie posługującego się żadnym choćby moralnym przymusem, nie stoi osamotniony w historyi organizacyi legionów polskich. Z Polski samej młodzież nie mogła udawać się do legionów w liczbie znaczniejszej.

Najpierw wymagało takie przedarcie się pod znaki wolności pewnych zasobów, i było dla tego niepodobieństwem dla uboższej młodzieży, powtóre wyjazd z kraju był w owym czasie niezmiernie utrudnionym.

Zaraz na pierwszą wieść tworzenia się legionów polskich, nim jeszcze dostały się do kraju odezwy jenerała Dąbrowskiego, wydały wszystkie trzy rządy rozbiorcze najsroższy zakaz wychodźtwa i wyznaczyły za udział w legionach karę śmierci. Ale za to znajdowało się w niewoli francuzkiej mnóstwo żołnierzy polskich z armii nieprzyjacielskiej, a ci tysiącami całemi przyjmowali służbę w legionach. Wysłani przez jenerała Dąbrowskiego major Tremo i szef Kosiński, pierwszy do Francyi, drugi do Piemontu, przyprowadzili z sobą znakomite liczbą oddziały jeńców narodowości polskiej.

Tak w przeciągu kilku dni major Liberacki przyszedł do silnego korpusu, złożonego z wyćwiczonych już żołnierzy. Jako komendant tego oddziału mianował Augusta swym adjutantem. Stary Wieruski, jakkolwiek jeszcze w wojsku barskim dowodził chorągwią, nie chciał przyjąć żadnej szarży, uparł się walczyć w szeregu, z muszkietem na ramieniu, jako prosty żołnierz. Poczciwy Mykita wyawansował na podoficera, i z dumą

spozierał na swe wełniane galonki. Przy werbunku jeńców wielkie on położył zasługi. Umiał on przemówić do swych dawnych kamaszowych kamratów, umiał wynaleźć dla każdego przekonywujący argument, i coby się może nie było udało proklamacyom oficerskim, niezrozumiałym dla rekrutów, tego z wielkim sprytem dokonywał Mykita.

W przeciągu bardzo krótkiego czasu nowozaciężni żołnierze zostali jako tako zorganizowani. Komendant francuzki Mantuy dał im broń z arsenału, a major Liberacki objąć miał komendę i poprowadzić w bój swój oddział.

Jak już wspomnieliśmy, w okolicach Brescii i Werony wybuchły niepokoje, wywołane przez ajentów austryackich. Nowy oddział majora, czyli odtąd już pułkownika Liberackiego tłumił skutecznie rozruchy, gdy nagle na wieść, że jenerał austryacki Laudon nadciąga z silnym korpusem, wybuchł rozruch w Weronie. Słaby garnizon francuzki, który się tam znajdował, został zniesiony. Miasto posiłkowane przez Austryaków postanowiło stawić zacięty opór wojskom francuzkim.

Liberacki otrzymał tedy rozkaz uderzenia na Weronę.

W przededniu szturmu August ciągle znajdował się w jego towarzystwie, i opuszczał go tylko wtedy, gdy jako adjutant w imieniu pułkownika

komunikować miał informacye i rozkazy pojedyńczym oficerom. Pod wieczór opuścić chciał August pułkownika, do którego przylgnął był całem sercem i który nawzajem ku niemu szczególną powziął sympatyę.

Noc już zapadała, gdy August pożegnać chciał swego dowódzcę.

— Czekaj jeszcze — rzekł mu Liberacki — dziwnie smutnym jest umysł mój... Lękam się prawie samotności... Jeźli nie jesteś znużonym, zostań ze mną czas jakiś, panie Auguście...

— Nie jestem znużonym — odparł August — ale ty, pułkowniku, całą dobę spędziłeś wśród pracy. Jutro ciężki dzień zabłyśnie dla nas, wytchnienie jest ci niezbędnem, panie pułkowniku.

Liberacki uścisnął dłoń Augusta i rzekł smutnym głosem:

— Niedawno się znamy, ale dni kilka wystarczyło, abym cię pokochał jak brata!... Zostań ze mną. Zazwyczaj lubię samotność, ale dziś nie chciałbym zostać sam z sobą, z memi myślami, i z przeczuciem...

Rzekłszy to pułkownik spojrzał na Augusta, a dostrzegłszy na twarzy jego zdziwienie, uśmiechnął się smutnie... Potem odwrócił się i przechadzać się począł w zamyśleniu. August milczał, bojąc się przerywać zadumę pułkownika.

Dziwny smutek pułkownika w przedjutrzu bitwy sprawił na nim przykre jakieś wrażenie. Smutku tego nie rozumiał on dobrze, choć znany mu był marzący i do fantazmagorji skłonny umysł Liberackiego. Wiedział bowiem, że pułkownik od kilku lat nietylko oddawał się jakiejś osobnej, mistycznej religii, ale nadto należał do sekty równych mu marzycieli, zorganizowanej pod mistrzem osobnym, a jak już wspomnieliśmy, mającej stolicę swą w Avignonie.

Druga połowa XVIII wieku była jedną z głównych pór magii, alchemii, mistyki. Czasy Cagliostra obfitowały w podobne mniej lub więcej chorobliwe kierunki umysłów. Po Europie snuli się adepci tajemniczych jakoby nauk, wyznawcy mistycznej wiary, głosząc się apostołami misteryów nadziemskich.

Oprócz awanturników i oszustów, którzy w odgrywaniu podobnej roli upatrywali tylko szalbiercze rzemiosło, tylko pole do zyskownego korzystania z łatwowierności, czasy owe wydały także mistyków z przekonania, którzy pełni wiary najsilniejszej, dla marzeń swych szukali formy w osobnej, tajemniczej i fantastycznej religii.

W Polsce skłonność`ta do mistycyzmu przyjmowała się w owym czasie nawet w wielu zkądinąd światłych umysłach. Do zwolenników misty-

cyzmu należeli powszechnie szanowani mężowie, jak Grabianka, Poszmian, Oleszkiewicz itd.

Liberacki był przyjacielem Grabianki, a przyjaźń ta stała się jeszcze ściślejszą przez wspólność mistycznej wiary. Grabianka, oddany marzeniom swoim z zapałem, człowiek bardzo bogaty, trzymał ciągle u swego boku Liberackiego, wyjechał z nim po upadku rewolucyi Kościuszkowskiej do Francyi, i odtąd obaj jako nieodłączni towarzysze zamieszkali w Avignon.

Wypadki wojenne rozłączyły ich. Liberacki mimo mistycznych obłędów duszy był żołnierzem i Polakiem. Gdy go zawezwano do czynu, stawił się mimo proźb, przestróg i nalegań Grabianki, mimo zabiegów samego nawet mistrza sekty Illuministów.

Wiedział o tem August, ale nie dawało mu to jeszcze klucza do zagadkowego smutku pułkownika, który stanąwszy na czele bitnego, dzielnego żołnierza, wszedłszy w życie obozowe i wojenne, odzyskał już był energię i zdrową swobodę myśli.

Pułkownik przez kilka chwil pogrążonym był w swej ponurej zadumie, potem wzniósł głowę do góry i zdawał się być zatopionym w oglądaniu horyzontu.

Noc była prześliczna. Niebo było pogodne, choć bezksiężycowe, ciemności jego sklepień, utkane gwiazd morzem, osłaniały świat jakąś cudowną, tajemniczą oponą...

Pułkownik stał nieruchomo, zapatrzony w gwieździsty firmament, a marzenia jego zdawały się tonąć w nieskończoności światów, pławiących się w eterach, i przybłyskujących magicznemi promykami z pod niebieskich stropów.

Nagle oderwał wzrok od nieba i zwracając się do Augusta zapytał wzruszonym głosem:

— Czy wierzysz ty w tajemniczy głos duszy, w jasnowidzenie myśli, co wyrywając się z granic zwyczajnych, sięga w świat przeznaczeń i wyroki jego czyta?

— Chcesz zapytać pułkowniku, czy wierzę w przeczucia?—odparł August.— Nie wiem o jakich przeczuciach mówisz, ale...

— Nie mówię o przeczuciach — przerwał żywo pułkownik. Przeczucia są tylko zmorą chorobliwą duszy, obawą, mglistem majaczeniem fantazyi... są mętne i nic nie mówią, przepowiadają najczęściej wszystko i nic... Ale czy wierzysz, że nie przeczucie niewyraźne, ale pewność mieć można przeznaczeń?...

— Jeżeli konieczne następstwo jakieś, które da się obliczyć i na pewno prawie wykombinować,

zwiesz przeznaczeniem pułkowniku, tedy wierzę w taką pewność przeznaczeń... Innej pewności nie rozumiem.

— Więc nie wierzysz, że duch odleciawszy niejako od człowieka, gdzieś po za nim a do niego się odzywa i mówi: „tak się stanie!“

— W to wierzę, pułkowniku, wierzę, jak w możliwość rozmaitych złud umysłowych... Przypuszczam, że taki głos tajemny usłyszeć można, ale nie wierzę, aby on mówił prawdę...

Pułkownik spojrzał z uśmiechem smutnej pewności na Augusta, i po chwili milczenia zapytał:

— Czy chcesz mieć dowód, że tak jest w istocie.

— Cóż jest w stanie, dać dowód podobny?...

— Ja. Słuchaj mnie. Ja jutro zginę przy szturmie.

Słowa te wymówił pułkownik spokojnie, z naciskiem pewności.

August spojrzał nań zaniepokojonym wzrokiem.

— Żartujesz chyba pułkowniku — rzekł, próbując się uśmiechnąć wesoło.

— Czy wyglądam istotnie jak człowiek żartujący? — ozwał się surowo pułkownik.

Istotnie też twarz Liberackiego była blada, smutna, poważna.

— Co za myśl, pułkowniku! Zkąd ta nieuzasadniona, płonna obawa?

Na to słowo „obawa“ Liberacki drgnął nieznacznie, a na czoło wystąpił mu mars surowy.

— Słuchaj — rzekł ostro — czy ty myślisz, że się boję śmierci? Czy widziałeś mnie, abym kiedy zbladł przed jej obliczem? A patrzyłem nieraz w to oblicze. Patrzyłem w nie zbliska, patrzyłem śmiało, a jeżli mi serce biło mocniej, to od zapału, nie od trwogi! Dziś patrzę w nie, jak w niechybną, nieodmienną pewność i nie drżę przed nią. Gdy mi śmierć jutro dłoń swą na sercu położy, zmilknie ono na zawsze, ale nie zatnie się dreszczem przestrachu...

— Nie zrozumiałeś mnie pułkowniku—odparł August — widziałem cię w boju i wiem, że obcem ci jest uczucie trwogi... Pytałem tylko, zkąd myśl ta złowroga?

— To nie myśl, to wróżba nieomylna...

— Kto ci ją objawił, pułkowniku?

— Mistrz.

— Któż jest tym mistrzem?

— Nie znasz go. Jestto mąż, którego duch przedarł się przez szranki pospolite, odgadł zagadkę nadziemską i nauczył się rozumieć tajemnicze zaklęcie losu... Wiesz może, że należę do wyznawców nauki, którą trzeźwi egzaltacyą, przesądem, mistyką nazywają. Młodym jesteś, życie twoje silniejsze dziś niż ty sam. Krew gra w tobie

żywiej niż duch... Nie pojmiesz tego i nie uwierzysz...

— Pułkownik zanadto przywiązujesz wagi do tej wróżby...

— Potwierdza mi ją głos wewnętrzny, a choćby głos ten milczał, to wiara w mistrza wystarcza.

— Kiedyż ci objawiono tę wróżbę, panie pułkowniku?

— Nim się do Włoch udałem. Zakazano mi jechać, albowiem zapisanem było w księdze losu, że zginę w pierwszym boju.

— Więc czemuż bierzesz udział w walce? — zapytał bez namysłu August.

— A ty, który mówiłeś przed chwilą o obawie, byłbyś go nie wziął?

August zarumienił się od pomieszania, ale natychmiast odparł silnie:

— Byłbym stanął, jak ty pułkowniku.

— Nie wątpię. Wierzę w wróżbę, ale usłuchałem wezwania, które mnie do obowiązków żołnierskich powoływało. Mój przyjaciel, pan Grabianka puścić mnie nie chciał. Musiałem skłamać, że nie do szeregów armii, ale w zwykłą podróż do Włoch się udaję...

W tej chwili nadbiegł jeden z oficerów pełniących służbę.

— Pułkowniku — zawołał — oddział francuzki, przeznaczony nam jako posiłek, stanął już u celu!

Pułkownik w jednej chwili zmienił się w innego człowieka.

Twarz jego smutna przybrała natychmiast wyraz zimnego spokoju; oczy, w których przedtem przebijało się jakieś bolesne marzenie, błysnęły energią.

— Dobrze tedy! — zawołał — każ, poruczniku, stanąć żołnierzom w pogotowiu. W tej chwili stanę przed nimi!

— Jeszcze jedno — ozwał się oficer ordynansowy — na pocztach przytrzymano człowieka jakiegoś, widocznie Niemca, mówiącego źle po polsku, a gorzej jeszcze po francuzku, który twierdzi, że ma do pana pułkownika wielce ważne zlecenie i że natychmiast mówić z nim musi. Wprowadzić go?...

Pułkownik niemym giestem potwierdził.

Oficer odbiegł z rozkazem, a za chwilę dwóch żołnierzy wprowadziło jakęś nizką, garbatą postać.

Postać ta owinięta była w płaszcz szeroki, pod którym wyglądała dziwnie pękato i bezkształtnie.

Gdy nieznajomy stanął przed pułkownikiem, spojrzał na niego bystro, potem odrzucił płaszcz, który zsunął się na ziemię.

Przed Liberackim i Augustem stanął nizki człowiek w czarnym fraku, w obcisłych czarnych szarawarach, z twarzą ogoloną, gąbczastą i szpetną, z małemi, iskrzącemi się oczkami.

Pułkownikowi i jego młodemu adjutantowi figura ta, dziwna i fantastyczna, była nieznaną — my jednak poznajemy w niej znanego magistra lubelskiego, przyjaciela pana Kapicy, pana Tobiasza Szmoka.

Magister był zadyszany, a obrzękła twarz jego oblana była potem. Odetchnąwszy z pełnej piersi, zdjął kapelusz, oglądnął go i wykrzywił usta swe grube grymasem tryumfującym. Kapelusz był przedziurawiony kulą.

Tobiasz przewiercił przez otwór palec i mruknął:

— Jeden cal niżej tylko, jeden cal niżej...

August, w którym postać magistra i zdziwienie i śmiech zarazem budziła, zrozumiał ten giest i zapytał:

— Strzelano do pana?

— Strzelano, i to dobrze, jak widać — odparł Szmok — ale moje życie nie od głupiej muszkiety zawisło... Spieszę tu z listem pilnym do pana Liberackiego.

— Ja nim jestem — rzekł pułkownik, występując naprzód. Od kogo?

— Z Avignonu, od pana Grabianki i od Mistrza — odparł magister sięgając ręką w zanadrze.

Liberacki drgnął z lekka na te słowa. Jakby chciał ukryć swe wzruszenie, zapytał magistra, podczas kiedy ten szukał listu:

— Kto jesteś?

— Jestem Tobiasz Szmok z Lublina. W Avignonie widziałem się z członkami waszej loży... Mistrz jej to mąż mądry, wybraniec światła i wiedzy tajemnej!... Jeźli powrócę do Avignonu dam się inicyować... Oto list.

Pułkownik chwycił pismo niecierpliwie, spiesznie je okiem przebiegł i szepnął:

— Daremnie! Wierzę ale nie usłucham! Grabianka i Mistrz piszą mi powtórnie — rzekł głośniej, zwracając się do Augusta — jeden wróżbę swą powtarza, drugi na przyjaźń swą zaklina, bym powrócił i boju unikał...

W chwili, kiedy słów tych domawiał, dał się słyszeć odgłos bębnów i głos komendy.

— Stało się! — rzekł pułkownik — daremny głos przestrogi... Losy padły! Adjutancie, spieszmy!

Szmok, który dotąd stał w milczeniu i swemi przenikliwemi oczkami przypatrywał się pułkownikowi, zastąpił mu drogę teraz i zapytał:

— Czy dostanę odpowiedź?

— Nic. Pisałem do Avignonu. Posłałem im pożegnanie i testament. Na ich list odpowie chwila najbliższa, pierwszy strzał może.

— Więc nie potrzebuję wracać—rzekł Szmok—czy wolno mi będzie towarzyszyć wam?

— My idziemy bić się... Nasze towarzystwo niebezpieczne — odparł August.

— Nie boję się kul — rzekł z pewną dumą Szmok — a przydam się wam... Jestem lekarzem.

— Zostań pan tedy, jeźli chcesz — zezwolił August — idź do lazaretowego furgonu i pytaj się o felczera Secchio, a będziesz mu pan pomagał.

Szmok obrażonym wzrokiem spojrzał na Augusta i mruknął gniewnie:

— Tobiasz Szmok pomocnikiem felczera! Tobiasz Szmok nikomu nie będzie pomocnikiem... Nie wiecie, do kogo mówicie...

Mruk ten począł już przechodzić w głośne wyrzuty, ale gdy urażony magister spostrzegł, że go nikt nie słucha, zamilkł i obwijając się w swój płaszcz, pobiegł na plac, gdzie się oddział zgromadził.

Połączony z posiłkami francuzkiemi ruszył korpus legionistów w pochód... Pułkownik jechał naprzód z francuzkimi oficerami, mając obok siebie Augusta. Przez drogę milczał posępnie

a twarz jego uderzała wyrazem mężnej rezygnacyi i uroczystej powagi...

Daremnie August usiłował zawiązać rozmowę z pułkownikiem. Liberacki odpowiadał krótko, urywkowo, snać trudziła go rozmowa.

Szturm na Weronę należy do najświetniejszych czynów wojennych, których tyle liczą bohaterskie dzieje legionów.

Miasto, wspierane przez Austryaków, postanowiło zacięty stawić opór. Polacy i Francuzi wezwawszy daremnie miasto do kapitulacyi, przypuścili szturm. Z bezprzykładną walecznością uderzyli legioniści na mury...

Pułkownik Liberacki stanął na czele i rzucił się pierwszy wśród gradu kul naprzód. Daremnie przestrzegał go August, prosząc by ochraniał życie swe, od którego zawisło powodzenie wyprawy i cały los świeżo zorganizowanego korpusu. Z bohaterską pogardą śmierci prowadził żołnierzy swych Liberacki. August nie odstępywał go ani na chwilę.

Pułkownik wydarł jednemu z żołnierzy muszkiet i z bagnetem w ręku pierwszy wdarł się na mury...

— Polacy! — zawołał w zapale — pamiętajcie,

że tylko zwyciężyć albo poledz nam wolno!*)

Z gromowym okrzykiem rzucili się za nim wiarusy i w jednej chwili opór nieprzyjaciół został złamanym. Korpus francuzko-polski wpadł piorunem do miasta.

Najtrudniejsze zadanie zostało spełnionem, największe niebezpieczeństwo już było minęło. Mimo że grad kul sypał się na szturmujących, Liberacki został nietkniętym. August, który dzielił wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie się z szalonem męztwem narażał dowódzca jego, myślał już o tem, jak po ustaniu boju żartować będzie z wróżby avignońskiego proroka.

Wdarłszy się do miasta korpus francuzko-polski kroczył naprzód, siejąc postrach między nieprzyjaciół. Pułkownik jak dotąd tak i teraz z bagnetem w ręku szedł na samym przedzie.

---

*) Słowa te, wyrzeczone przez pułkownika Liberackiego, posłużyły poźniej za napis na jego pomniku. W Mantuy wzniesiono bohaterskiemu żołnierzowi kosztem cisalpińskiego rządu pomnik, na którym umieszczono napis następujący: Liberackius Polon. Cohort. Prefect. in proelio ad Veronam occubuit, suis antea monitis aut vincendum aut moriendum. Lege Patria.“ O wróżbie avignońskie wspomina w pamiętnikach swych szef Drzewiecki.

Nagle z bocznej ulicy, w której ukryty był oddział nieprzyjacielski, padły gradem strzały. W tejże chwili August usłyszał jęk obok siebie...

Pułkownik Liberacki leżał na ziemi...

Jedną dłonią trzymał jeszcze broń silnie, drugę cisnął do piersi, z której krew obficie płynęła...

Kula raniła go śmiertelnie...

Przeczucie a raczej wiara w wróżbę znalazła tym razem stwierdzenie...

Pułkownik żył jeszcze, ale głos już posługi mu odmawiał. Raz jeszcze wskazał ręką naprzód, jakby zachęcał do mężnej walki i skonał.

Walka skończyła się świetnym tryumfem zwycięztwa, lecz tryumf ten zatruła goryczą śmierć ukochanego pułkownika...

Wojsko francuzko-polskie stało się panem miasta, nieprzyjacielski opór został złamanym. August niepotrzebnym już był w szeregach, pozostał tedy przy zwłokach Liberackiego. Ukląkł i nachyliwszy twarz do piersi poległego, zdawał się nadsłuchywać, czyli nie odezwie się z nich jeszcze tchnienie życia.

Nadbiegli zaraz żołnierze z noszami, a tuż za nimi przybył Signor Secchio, chirurg oddziału. Ledwie jednak stary, zasapany Włoch zdołał opatrzyć zastygające zwłoki pułkownika, gdy nadbiegł

Tobiasz Szmok i odtrącając gwałtownie chirurga, zawołał:

— Puść mnie, puść mnie zaraz! Dobijesz go, nieuku! Jeżeli w nim jest jeszcze iskierka życia, ja ją od zagaśnięcia uchronię!

— Oto płyn czarodziejski — wołał dalej wydobywając flakonik z złotawym eliksyrem—A q u a r o r i s! Sekret cudowny! A r c a n u m! Czy ty wiesz, stary cyruliku, co to a q u a r o r i s? Na bok w ä l s c h e r T r o p f, na bok!

I przyklękając nad zwłokami pułkownika, usiłował go przywieźć do życia, wlewając mu płyn w usta, i nacierając nim martwe skronie.

Ale wszelkie środki trzeźwienia pozostały bezskuteczne. Szmok powstał, pokiwał smutnie głową i zwracając się do Augusta, rzekł:

— Gdybym był chwilkę prędzej mógł nadbiedz, chwilkę tylko prędzej, byłbym go uratował, jakem Szmok i jak a q u a r o r i s cudownym jest eliximem! Gdybym był nadszedł wtedy, kiedy ostatnie tchnienie wychodziło z jego piersi, byłbym za to ostatnie tchnienie schwycił uciekające życie i nie puścił go nigdy! Teraz już za poźno, wszystko za poźno!

August smutnie westchnął i kazał żołnierzom odnieść zwłoki. Kiedy się już miał oddalać, przy-

stąpił do niego Secchio z twarzą pąsem gniewu oblaną i zawołał z furorem:

— Signore luocotenente! Kto jest ten ladro, furfante! Kto tu jest chirurgiem, ja, czy on?! Ten człowiek bije się ze mną nad każdym rannym, odbiera mi praktykę obozową i łże, że ja nic nie umiem! Per chi mi tiene? A me, ad un par mio, questo affronto! Ja go zakłuję kiedyś jak psa! Cospetto! Stary Secchio to nie pierwszy lepszy asino tedesco! Albo ja tu zostanę, albo on! To ci powiadam i to powiedz w sztabie, signore Szczytowski!

Wyrzuciwszy te słowa z spienionych od gniewu ust, odwrócił się stary chirurg i spojrzawszy raz jeszcze wzrokiem głębokiej nienawiści i pogardy na lubelskiego magistra, pobiegł do lazaretu.

Szmok, który z powagą słuchał niezrozumiałych mu w głównej części wynurzeń Secchia, zdawał się być ostatniem jego słowem mocno zainteresowanym.

— Panie oficerze — rzekł do Augusta — co ten stary Włoch tu paplał! Coś on tam na mnie wykrzykiwał podobno, ale co mnie to obchodzi, doktor Tobiasz Szmok a taki felczer! Ale on coś mówił o jakimś Szczytowskim! To mnie mocno obchodzi, panie oficerze!

— Jak to, obchodzi cię nazwisko: Szczytowski? Dla czegoż?

— To moja rzecz, panie oficerze, ale nazwisko to ogromnie mnie interesuje.

— Ależ to ja jestem Szczytowski — odparł August z uśmiechem.

— Pan nazywasz się Szczytowski? Pan masz na imię August?

— Tak jest.

Szmok spojrzał swemi małemi oczkami przenikliwie na Augusta, potem podskoczył prawie w górę i klasnął w dłonie, jakby na znak ogromnego uradowania.

— A to wybornie, a to cudownie! — zawołał. — A to mi dopiero szczęśliwe spotkanie! I niech mi tu kto zaprzeczy, że nad Tobiaszem Szmokiem czuwa opieka magiczna, że mu los równa drogi!

August patrzył z uśmiechem zdziwienia na dziwacznego człowieczka.

— Panie Szczytowski — rzekł tenże z tajemniczą powagą — mam do ciebie ważne zlecenie! Ja umyślnie wyjechałem z Lublina, aby ciebie odszukać!

— Cóż to jest za zlecenie, panie Szmok? — zapytał z zdziwieniem August.

— Jeżeli uważasz, panie oficerze, że czas po temu, zaraz ci wszystko opowiem.

W tej chwili odezwały się z głębi miasta sygnały wojskowe, wzywające do szeregów.

— Teraz nie pora! — rzekł August — wzywają mnie! Ale spiesz za mną a w pierwszej wolnej chwili słuchać cię będą!

Rzekłszy to August szybkim krokiem udał się za żołnierzami, spieszącymi na miejsce zebrania, a Szmok spieszył tuż za nim, trzymając się niejako jego stopy, jakby się bał stracić go z oczu.

XII.

MATKA I CÓRKA.

Wrócimy teraz z włoskiej ziemi do Polski i zaprowadzimy łaskawych naszych czytelników do dobrze znanego im już domu w Modrowie, w którym to odgrywał się ów dramat między Augustem, Gabryelą i starym Łukaszem.

Dwór modrowski wyglądał zawsze tak cicho, poważnie i smutno, jak go zastaliśmy, towarzysząc Augustowi w owej nocnej wycieczce; ale w cichych ścianach jego odgrywały się właśnie bardzo ważne dla powieści naszej wypadki.

Stary, wierny domownik Łukasz, dawny powiernik nieboszczyka pana starosty, od kilku dni chodził z chmurą myśli na czole, a nieliczna służba szeptała sobie na ucho, że wkrótce we dworze rozbudzi się może głośniejsze życie.

Panna starościanka miała wkrótce uklęknąć na kobiercu ślubnym. Człowiek, któremu miała oddać rękę swą na zawsze, od kilkunastu dni

wcale już nie opuszczał dworu w Modrowie. Narzeczonym tym, jak to już nasi czytelnicy domyśleć się mogli, nie był kto inny, jak tylko pan major Szczepan Rozworski.

Dotąd przelotnie spotykaliśmy się z tą figurą naszej powieści; wypada nam więc teraz uzupełnić naszą znajomość z Rozworskim kilku dokładniejszemi szczegółami.

Rozworski miał już w czasie, kiedy się z nim powtórnie spotykamy, lat blisko pięćdziesiąt, ale trzymał się jeszcze, jak to mówią, dobrze i przechował w całej swej postaci wiele krzepkości i energii prawie młodzieńczej. Od owej sceny na rynku lubelskim, kiedy to z nim czytelnicy nasi po raz pierwszy zabrali znajomość, upłynęło lat kilka, ale czas ten nie zmienił nic w powierzchowności majora. Był to ten sam człowiek, lata zdawały się mijać, nie zostawiając na nim żadnego śladu.

Rozworski od bardzo dawna, bo od lat swych dziecinnych jeszcze zostawał w ścisłych związkach z rodziną Modrowskich, a mianowicie z samym starostą. Związki te polegały na bardzo dalekiem pokrewieństwie, a w znaczniejszej zawsze mierze na stosunkach i układach majątkowych. Pan starosta Modrowski dzierżył w posiadaniu swem oprócz własnego, dość znacznego majątku, także dwie

włości, które na mocy układu familijnego, zawartego w dawnych bardzo czasach, przypadały teraz Rozworskiemu.

Sprawa ta, która ma blizki związek z wypadkami naszej powieści, miała się w następujący sposób. Jeden z antenatów starosty Modrowskiego otrzymał był od swego krewniaka i towarzysza broni na wyprawie wiedeńskiej, nazwiskiem Rozworskiego, zapis owych dwóch włości. Do zapisu tegoż dodanym był warunek, że włości te w razie, gdyby ród Modrowskich wygasł po kądzieli, przejść mają na męzką głowę tej rodziny Rozworskich, która się wykaże pokrewieństwem rodu z testatorem, na wypadek oczywiście, gdyby ród ten jeszcze egzystował.

Przez całe pokolenie nie wchodził ten warunek w życie. Starosta Modrowski dopiero, ojciec Gabryeli, dowiedziawszy się, że żyje w odległych stronach jakaś podupadła rodzina Rozworskich i przekonawszy się, że rodzina ta stoi istotnie w stosunku pewnego pokrewieństwa z owym testatorem, ruszony szlachetnością serca zgłosił się sam do niej. Jakkolwiek bowiem był żonaty i mógł się spodziewać męskiego potomstwa pragnął pomódz zubożałej rodzinie, z której imieniem łączył się ów dawny zapis.

Nie mógł w lepszą chwilę trafić zacny starosta. Rodzina Rozworskich składała się z ubogiej, ciężką niemocą złożonej wdowy i z syna jedynaka, którym był właśnie ów Szczepan, dzisiejszy major austryacki. Modrowski wyjawił wdowie powody swego zbliżenia się i litując się jej niedoli, ofiarował się chętnie wspierać ją hojnie i robił jej nadzieję oddania zapisanych włości, nawet na wypadek, gdyby do tego nie był obowiązanym, to jest, gdyby go Bóg obdarzył męzkiem potomstwem.

Biedna wdowa nie na długo cieszyła się tą niespodziewaną a pomyślną zmianą losu, bo niebawem uległa chorobie. Modrowski wziął po jej śmierci osieroconego syna w opiekę i w własnym domie go wychowywał. Młody chłopak podobał się nawet bardzo staroście, był bowiem sprytnym, pojętnym i zdawał się być bardzo przywiązanym do swego dobrodzieja.

Gdy Szczepan dorósł w młodzieńca, starosta Modrowski, który podówczas był jeszcze bezdzietnym, uwiadomił go z szlachetną otwartością o istnieniu owego układu zapisowego, który go uczyni panem dwóch pięknych włości na wypadek, gdyby sam starosta nie miał potomka męzkiego.

Pozornie wiadomość ta nie sprawiła była na młodym Szczepanie żadnego wrażenia, co staroście tem bardziej się podobało. Była to jednak po-

zorna maska tylko. Młody Rozworski uchwycił się tej nadziei z całą wrodzoną sobie, choć starannie ukrywaną, namiętną chciwością, i jakby chciał z góry upewnić się na wypadek wygaśnięcia męzkiej linii Modrowskich, umiał z chytrą zręcznością zaopatrzyć się w dokładne szczegóły owego zapisu i zasięgnąć z góry potrzebnych mu informacyi prawnych.

Jak wiemy już, nieboszczyk starosta był zapalonym stronnikiem konfederacyi Barskiej, w której szeregach walczył z największem poświęceniem. Było to już przy samym schyłku walk konfederackich, gdy młody Szczepan Rozworski prosił usilnie swego opiekuna i dobrodzieja, aby mu towarzyszyć mógł w boju. Chętnie zgodził się na to starosta, a młody chłopak udał się do chorągwi, której przewodził Modrowski. Wyjechał z Modrowa z samym starostą, który za permissyą jeneralicyi opuścił był wojsko barskie na czas kilkotygodniowy, a teraz wracał w szeregi. Była to ostatnia wyprawa starosty. Nie powrócił już do domu, gdzie go czekała radośna nowina. Żona powiła mu pod ten czas córkę, znaną już naszym czytelnikom Gabryelę. Dziecię urodziło się sierotą...

Do Modrowa wrócił sam tylko Szczepan i przywiózł straszną wieść o zgonie starosty. Nie padł on w otwartym boju. Według straszliwych szcze-

gółów, które opowiadał Rozworski, padł przez zdradę w ręce Moskali, właśnie gdy się z ran swych leczył, i z ręki ich poniósł śmierć okropną. Jako sprawcę zdrady wymieniał Rozworski na podstawie tego co widział, a co aktem oficyalnym stwierdzonem było, podkomorzego Szczytowskiego.

Po powrocie swoim pozostał Rozworski nadal w domu wdowy staróściny, która uważała go za szczerego i przywiązanego przyjaciela rodziny. Zaraz jednak po przeminięciu pierwszego zamętu, z którym połączone było zaprowadzenie rządów austryackich i po osiągnięciu pełnoletności, Rozworski przystąpił do objęcia na własność swoją owych zapisanych włości. Starosta Modrowski zeszedł bowiem ze świata bez męzkiego potomka, według klauzuli tedy zapisu włości miały przejść w jego posiadanie.

Wszystkie atoli kroki potrzebne do tego uczynił w tak zręczny, tak na pozór szlachetny sposób, umiał tak zgrabnie postąpić sobie z starościną, że w rezultacie wyglądało, jakoby poniekąd czynił zadość szlachetnemu naleganiu wdowy i z oporem tylko przyjmował przypadający nań majątek.

Jak się okazało poźniej, nie odgrywał tej roli bez podstępnego planu. Nietylko bowiem, że starościna ustąpiła mu natychmiaat i bez wszel-

kich prawnych formalności wsie obie, ale nadto, pokładając w nim ufność nieograniczoną, uczyniła go pełnomocnym i głównym zarządcą całej reszty swego majątku, który był jeszcze bardzo znacznym. W owym to czasie Rozworski także nie bez celów osobistych ale z przebiegłej rachuby wstąpił do wojska austryackiego. Mundur oficera austryackiego na szlachcicu polskim był podówczas, w pierwszych latach panowania austryackiego, największą rzadkością, ale Rozworskiemu oddał on tysiączne i wyborne usługi, odmykał mu bowiem podwoje do protekcyi i względów i pozyskiwał mu w każdej sprawie szczególniejszą opiekę nowych władz austryackich.

Po odebraniu na własność owych dwóch zapisowych włości, które mu spadły prawie jakby z nieba niespodziewanie, po objęciu w zarząd ogromnej fortuny pani starościny Modrowskiej, a wreszcie po owem szalbierczem zagrabieniu majątku, który należał Augustowi Szczytowskiemu, o czem czytelnicy nasi wiedzą już z poprzednich rozdziałów powieści — osiągnął Rozworski odrazu ów stopień majątkowego znaczenia, do którego w chciwości swej namiętnej tęsknił i dążył od pierwszych dni młodości.

Od upadku konfederacyi Barskiej, od pierwszego podziału Polski, minął długi szereg lat.

Karyera Rozworskiego rosła przez ten czas najpomyślniej. W wojsku doszedł stopnia wyższego oficera, a rząd austryacki obdarzył go wielu orderami i hrabiowskim dyplomem. W czynnej służbie wojskowej przebywał Rozworski tylko w pierwszych latach rządów austryackich, później zachowywał jedynie rangę i tylko w nadzwyczajnych wypadkach używany był do posług. Ostatni raz przebywał Rozworski w armii w roku 1794, kiedy to Austrya, zajmując nowe ziemie Rzeczypospolitej, i wcielając je do owego państwa jako tak zwaną „nową Galicyę“, potrzebowała oficerów Polaków. Wtedy to widzieliśmy Rozworskiego jako majora w Lublinie.

Odtąd przebywał już nieustannie w swoich dobrach, albo w Modrowie, dokąd go teraz już nietylko cele chciwości wabiły. Owe dziécię, które Rozworski powróciwszy z obozu konfederackiego zastał w kolebce, wyrosło przez ten szereg lat w dziewicę prześliczną, jaśniejącą całym urokiem piękności. Mimo że wzrastała prawie pod okiem Rozworskiego, Gabryela stanęła przed nim jakby niespodziewanie i nagle w całej pełni dziewiczego wieku i wdzięku...

Rozworskiego życie było dotąd tylko szeregiem zabiegów i trudów dla uzyskania sobie świetnego stanowiska, tylko namiętną gonitwą za ka-

rycerą. Osiągnął, do czego dążył. Był panem własnej i samowolnym szafarzem obcej fortuny, posiadał tytuł i zaszczyty. Przyszedł czas odpoczynku na wawrzynach skrzętności. Rozworski czuł, że nadszedł czas najwyższy, aby oglądnąć się za towarzyszką życia. Nie szukał jej daleko. Zamiar jego padł od razu na Gabryelę. Tę wdzięczną, właśnie z wiosennego pączka w kwiat przecudny rozwijającą się istotę, chciał zrobić słodkim opiekunem swego odpoczynku. Oprócz pięknej żony osiągnąłby był zarazem i całą fortunę Modrowskich.

Rozworski zaczął od rachuby, od zimnego planu, a skończył na namiętnej skłonności do Gabryeli. Namiętność ta dodawała mu uporu i energii w wykonaniu tego, co mu się niezbędnem wydawało do zupełnego szczęścia. Od chwili, kiedy stanowczo pomyślał o nadobnej starościance, już był otoczył sieciami swemi zupełnie starościnę, która słaba z natury a ufna w przyjaźń Rozworskiego, zdaną mu była na łaskę lub niełaskę. Skombinował on z wrodzoną sobie zręcznością cały plan kampanii i plan ten przeprowadził aż do ostatniego kroku, który uczynić mu pozostawało, aż do otwartego oświadczenia się o rękę Gabryeli.

Niebawem i ten krok uczynił. Oświadczył się listownie starościnie o rękę Gabryeli. Starościna nie spodziewała się nigdy tego kroku, zdziwiła

się tedy, zmięszała, a nawet przelękła. Jakkolwiek szczerze sprzyjała Rozworskiemu, nigdy jednak przypuścić nie mogła, aby Rozworski, o tyle lat starszy od Gabryeli, usposobieniem swem całem, naturą stosunków swych do rodziny Modrowskich do podobnego kroku nie upoważniony, mógł być stosownym mężem dla jej córki, którą nad wszystko w świecie kochała. Zakłopotana, bezradna, zmartwiona nawet starościna bała się nawet uwiadomić Gabryelę o liście Rozworskiego.

Tymczasem jakby nie czekając odpowiedzi, tuż za listem zjawił się w Modrowie sam Rozworski. Zaraz na wstępie prosił major o wyznaczenie czasu na rozmowę. Starościna zwlekała z dzień na dzień, ale w końcu chcąc wyjść z tak nieprzyjemnej sytuacyi wobec człowieka, dla którego w szlachetnem, ufnem swem sercu czuła obowiązek wdzięczności, wyznaczyła sama czas na konferencyę.

W niedużej, ponurej komnacie, umeblowanej po staroświecku, wyłożonej ciemną sztukateryą, posępnej jakąś cechą ponurego smutku wdowiego — przyjmowała starościna Rozworskiego. Był to pokój niegdyś ulubiony jej męża, i wszystko w nim tak zostało, jak było w czasie, kiedy starosta opuścił dom swój, aby doń już nigdy nie wrócić.

Na ścianach wisiał cały szereg konterfektów familijnych, który kończył się portretem nieboszczyka starosty. Jedna cała ściana okrytą była ogromnym dywanem tureckim, zdobyczą z pod Wiednia, a na nim wisiały przeróżne sztuki broni tureckiej, szwedzkiej i moskiewskiej, trofea rycerskie tych, co z ponurego tła starych obrazów spoglądali dziś na tę komnatę.

Starościna usiadła na karle i czekając na Rozworskiego wpatrzyła się z smutnym wyrazem twarzy na portret swego męża, jakby chciała z rysów jego wyczytać radę i zaczerpnąć natchnienia w chwili, kiedy właśnie najboleśniej może uczuwała brak opieki męzkiej.

Wkrótce pojawił się Rozworski. Ubrany był modnie i z elegancką wytworną pretensyą, w francuski strój cywilny, a na błękitnym jego fraku lśniły ordery. Wszedł tak cicho, że starościna zatopiona w myślach nie uważała jego przybycia. Wzrok jego poszedł mimowolnie za spojrzeniem starościny i utkwił w portrecie ostatniego z Modrowskich.

Jakby go dziwnie przykry jakiś uderzył widok, Rozworski spuścił w jednej chwili oczy i zbladł nagle. Ktoby mu się był uważniej przypatrzył w tej chwili, byłby dostrzegł, jak silna, barczysta jego postać zadrżała z lekka. Wkrótce

jednak wystąpił na twarz jego wyraz spokoju i drugi raz spojrzał na portret.

W tej chwili spostrzegła przybycie jego starościna.

— Przepraszam — rzekła odwracając twarz od obrazu — nie słyszałam nawet, kiedyś wszedł, mości majorze... Ale byłam zatopioną w oglądaniu tych rysów, które i ty znasz dobrze.

Rozworski milczał chwilę, potem odpowiedział głosem spokojnym i jakby sztucznie tylko rozrzewnionym:

— O tak, pani starościno, pamiętam je dobrze. Ten portret jest bardzo podobnym...

— Tyle lat już upłynęło, odkąd nie żyje — rzekła starościna — a ileż to razy uczułam już brak jego serca i jego opieki...

— Pojmuję to — odparł Rozworski tonem serdecznego współczucia — choć słowa pani starościny są poniekąd wyrzutem, zwróconym do osób, które niczego tak nie pragnęły i nie pragną, jak przyjaźnią swą i poświęceniem zastąpić choć w części stratę poniesioną przez wczesny zgon pana starosty.

— Krzywdę mi wyrządzasz panie majorze — odpowiedziała starościna — bo zarzut ten nigdy by się do ciebie stosować nie mógł... Byłeś zawsze wiernie przywiązanym do naszego domu i nigdy

nie zapomnę przysług, które opuszczonej wdowie w najprzykrzejszych czasach wyświadczyłeś...

Major skłonił się skromnie i ucałował rękę matrony.

— Jeśli bolałby mnie wyrzut — rzekł tonem namaszczonym — to pochwała mnie zawstydza, bo nie zasłużyłem na nią. Życzliwych chęci nie brakło mi nigdy, ale to, co uczynić mogłem, czyniłem z obowiązku, a czynię też i z egoizmu.

— Obowiązków nie miałeś żadnych wobec nas, panie majorze, a egoizm, o którym mówisz, raczejby ci unikać kazał cudzych kłopotów...

— Trwam przy mojem powiedzeniu — odparł Rozworski — jeżeli uczyniłem co dla pani starościny, to pewnie z obowiązku i z — egoizmu... Z obowiązku, bo śp. starosta był dobrodziejem moim, czego nigdy nie zapomnę; z egoizmu, bo rzeczy wolą opatrzności złożyły się tak, że szczęście tego domu jest szczęściem mojem własnem...

Domyśliła się starościna w tym uroczystym frazesie wstępu do dalszych otwartych wynurzeń, i milczała zakłopotana...

— To dobroć serca twego, panie majorze— rzekła po chwili, urywając na tych słowach.

— Nie dobroć, ale potrzeba serca, mościa starościno...—odparł z poważnym uśmiechem major— ta sama potrzeba, która mnie stawi dziś jako

nieśmiałego supplikanta przed panią starościną i każe w łasce jej szukać wyroku szczęścia lub rozpaczy...

— Zagadkowo mówisz, panie majorze — odpowiedziała starościna, rozumiejąc dobrze, do czego zmierzają słowa majora.

— Otóż odważę się mówić otwarcie — rzekł stanowczo i z uroczystym nastrojem major — jakkolwiek po liście moim, panie starościnie nie może być obcą sprawa, z którą przed nią stawam.

— Tak... list odebrałam — rzekła z coraz wzrastającem zakłopotaniem starościna— pan... wynurzyłeś zamiar...

— Tak, ja wynurzyłem pragnienie mego serca— przerwał i dokończył Rozworski — ośmieliłem się wystąpić z prośbą, która mi się od długiego czasu już wyrywała z głębi serca... Prosiłem i proszę obecnie po raz wtóry o rękę panny Gabryeli.

Słowa te wyrzekł major głosem ożywionym, nawet z widocznem uczuciem, a oczy jego błysnęły prawie namiętnie.

— Umiem cenić to oświadczenie, wiem, ilem ci winna, panie majorze, znam twój charakter i dobre serce dla nas — odparła po chwili milczenia starościna — a wdzięczność i szacunek wystarczają dla m n i e... Ale dla m n i e tylko, panie majorze...

— Pani starościno, więc spełniasz prośbę moją! — zawołał radośnie Rozworski.

— Powiedziałam, dla mnie, tylko dla mnie. Wiesz przecież, panie majorze, że ja sama tu nic rozstrzygam...

— Czyż panna Gabryela nie pójdzie za wolą matki? — zapytał major.

— Są wypadki, a właśnie takim jest obecny, w których matce nie wolno mieć woli, któraby sprzeciwiała się sercu córki...

— Jakto? — zawołał major — więc panna Gabryela miałaby pogardzać moją miłością!...

— Nie mówię tego i nie przypuszczam tego — odparła starościna—jednakże Gabryela nie oswoiła się jeszcze z tą myślą, nie miała czasu policzyć się z sercem własnem i rozumem. Dla tego też, panie majorze... na prożbę twoją odpowiadam prożbą o czas namysłu dla mnie i dla niej... o zwłokę, której potrzebę pojmiesz...

Major milczał przez chwilkę.

— A gdyby — odezwał się nagle i szybko — a gdyby panna Gabryela przyjęła moje oświadczenie?...

— W takim razie, majorze, pozostawałby mi tylko obowiązek aprobacyi...

— A gdyby zaraz przychyliła się do mej prośby?

To słowo „zaraz“ wymówił Rozworski z naciskiem.

— Żądasz niepodobnych rzeczy, panie Szczepanie, nawet najstalsze uczucia potrzebują czasu, nim dojrzeją w stanowczą decyzyę.

— Pani starościno — rzekł żywo Rozworski — panna Gabryela nie jest już dziewczęciem bez woli i rozmysłu. Serce i umysł jej są w całej swej pełni rozwinięte... jest ona już kobiétą, która umie się liczyć z instynktami serca swego. Niepodobna, aby moje zamysły były jej obcemi... Pani starościno, ja przyjmuję warunki, ale proszę o to, abym mógł zaraz mówić z panną Gabryelą i powtórzyć jej to, co pani starościnie oświadczyłem. Jeżeli mi odmówi, usunę się. Usunę się z zbolałem sercem, z smutkiem, który będzie mi takim nieodstępnym towarzyszem samotności, jakim były mi dotąd marzenia szczęścia. Ale pragnę, aby się sprawa rozstrzygnęła zaraz; długo się wahałem, długo zwlekałem; zwłoka dalsza byłaby mi męczarnią...

— Trochę dziwacznem, trochę za obcesowem jest twoje żądanie, panie majorze, ale wydaje mi się szczerem i usprawiedliwionem serdeczną potrzebą... dla tego też przystaję...

Rzekłszy to starościna zadzwoniła i służącemu który wszedł, kazała poprosić Gabryelę. Le-

dwie kilka chwil minęło, gdy Gabryela ukazała się w pokoju.

Gdy ujrzała majora i dostrzegła poważny wyraz na twarzy matki, zadrżała z lekka. Snać przejrzała, zrozumiała całą sytuacyę. Twarz jej zbladła, w oczach przebijała się trwoga.

— Gabryelo — ozwała się starościna — pan Rozworski pragnie mówić z tobą... Chodzi tu o rzecz, która rozstrzyga o szczęściu i o przyszłości twojej... Wysłuchaj go dziécię moje — dodała z tkliwą słodyczą — a niech odpowiedzią twoją kieruje szczęśliwe natchnienie... Zostawiam swobodę twemu sercu, niechaj ono mówi, siebie samego się radząc...

I ujmując głowę jej w swe dłonie, złożyła na czole jej czuły pocałunek. Potem skłoniła się lekko majorowi i wyszła.

Słowa matki wlały snać otuchę w serce Gabryeli, bo bladość znikła z jej twarzy a wzrok ośmielił się i rozjaśnił. Postąpiła naprzód i kłaniając się z godnością Rozworskiemu, usiadła na krześle i rzekła obojętnie:

— Słucham pana.

Major nie mówił nic, ale objął Gabryelę spojrzeniem przenikliwem, przeciągłem i namiętnem.

Wzrok ten przeraził Gabryelę... Pod jego wpływem serce odzywało się trwogą i ściskało się złowrogiem przeczuciem. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

— Pani — odezwał się wreszcie Rozworski, a głos jego był nieco stłumionym od wzburzenia — to co ci powiem, nie będzie ci zapewne obcem. Nieraz ośmielałem się już uprzedzić cię o treści dzisiejszych mych słów. Niepodobna, abyś pani nie wiedziała, z jaką prośbą staję dziś przed tobą...

— Istotnie nie wiem — rzekła z pomięszaniem Gabryela.

Rozworskiego twarz okryła się rumieńcem, oczy jego obwleczone zazwyczaj jakąś mglistą i martwą powłoką roziskrzyły się żarem namiętnym. Przystąpił nagle do Gabryeli i rzucając się przed nią na kolana, zawołał:

— Panno Gabryelo, ja panią kocham! Kocham panią od dawna, kocham namiętnie, kocham z całym uporem serca, które nigdy i nikogo w życiu nie kochało, które po raz pierwszy i panią pierwszą kocha nad wszystko!

Gabryela powstała trwożnie z miejsca i odstąpiła o krok w tył, patrząc z przerażeniem i pewnym wstrętem na majora.

— Słyszysz pani — wołał dalej Rozworski — ja kocham panią! Ja to słowo nosiłem długo w duszy mojej, nim je wymówiłem. Dziś ono padło i biada mi, ale biada i tobie pani, jeźli padło daremnie i bez echa! Matka pani wie o tem, zgadza się na wszystko — braknie tylko jednego słowa z ust twoich, panno Gabryelo!

Gabryela odsunęła się jeszcze dalej w głąb pokoju, struchlała i pomięszana.

Wkrótce jednak minęło pierwsze pomieszanie, i chłonąc do reszty z chwilowego lęku Gabryela odpowiedziała dość silnym głosem:

— Tego słowa nie usłyszysz pan nigdy z ust moich. Usłyszysz pan za to inne, które wystarczy także, wystarczy matce mojej i panu, jak się tego spodziewam. Panie majorze, ja pana nie kocham.

— To być nie może — zawołał namiętnie Rozworski — a jeźli tak jest... to niech tak pozostanie... dopóki miłość moja nie wywalczy sobie wzajemności...

— Byłoby to oczekiwanie bez żadnych widoków, panie majorze! — odparła śmiało Gabryela.

— O nie! ja czekać nie będę! — zawołał zapominając się prawie major — pani musisz być moją, i będziesz moją!

— Nigdy!— zawołała Gabryela.—Panie majorze

— dodała z obrażoną dumą — rozmowa nasza skończona na teraz i na zawsze.

Rzekłszy to rzuciła na Rozworskiego spojrzenie pełne szlachetnego oburzenia i godności i postąpiła naprzód, aby wyjść z pokoju.

Major porwał się z miejsca i zastąpił jej drogę.

— O nie! — rzekł głosem cichszym już, ale syczącym prawie i ostrym — rozmowa nasza nie skończona. Nie wyczerpałem jeszcze moich argumentów. Przytoczyłem tylko jeden: miłość moją. Ten nie wystarczył. Mam inne jeszcze argumenta.

— Po odpowiedzi, którą panu dałam, są one zbyteczne...

— Kto wie — odparł z szyderczym uśmiechem Rozworski — pozwól mi je pani wypowiedzieć, a będziesz pani miała sposobność wypowiedzieć także swój ostatni argument.

— Ten, który wypowiedziałem, jest pierwszym i ostatnim...

— Pierwszym niezawodnie, ale ostatnim, nie! Odrzucając moje oświadczenie miałaś pani dwie przyczyny; pierwszą jest: że mnie nie kochasz; drugą, że...

Gabryela odwróciła się od Rozworskiego i usiłowała znowu wyjść z pokoju.

— Drugą jest, że... kochasz kogo innego! — dokończył Rozworski z jadowitym naciskiem.

— Panie! — zawołała Gabryela z gniewną dumą i spojrzała z pogardą na majora.

— O tak, pani kochasz innego — ciągnął major, a twarz jego dziwnie wstrętny wyraz przybrała przy tych słowach. — Ten szczęśliwy, ten wybrany nazywa się August...

Ostatnie słowa cedził major powoli i z złośliwym naciskiem, nie spuszczając swego przenikliwego spojrzenia z Gabryeli.

Gabryela usłyszawszy imię Augusta okryła się rumieńcem i zlekka zadrzała.

— Ten August nazywa się niby Narewski, nie prawdaż? — ciągnął dalej bez litości major, pastwiąc się swoją ofiarą.

Gabryela stała chwilkę nieruchoma, jakby skamieniała pod wrażeniem słów Rozworskiego. Po chwili jednak gniew i oburzenie odezwały się w jej łonie. Wyprostowała się dumnie, i z spojrzeniem pełnem niewypowiedzianej pogardy zawołała:

— A gdyby tak było, panie Rozworski, przepełniałoby to tylko miarę pańskiego zuchwalstwa...

— Gdyby tak było — odparł Rozworski powoli, z strasznym prawie spokojem — tobym powiedział pani dalej, przepełniając bardziej jeszcze miarę

mego zuchwalstwa, że kochanka tego pana Augusta okrywa sromem starościankę Modrowską, że pani jako kochanka zapomniała o sobie jako o córce, że córka pogardza w pani kochanką!

— Niech się pani uspokoi — mówił dalej — ja tę zagadkę pani wytłumaczę. Ten pan August Narewski nazywa się właściwie Szczytowski.

Gabryela chciała ujść przed słowami majora, ale przestrach i zgroza przykuły ją do miejsca.

— Ten Szczytowski jest synem podkomorzego Szczytowskiego...

Gabryela wydała cichy, stłumiony okrzyk i budząc się z odrętwienia pospieszyła ku drzwiom.

Rozworski chwycił ją za rękę i mówił dalej:

— A ten podkomorzy Szczytowski jest to ten sam, co stał się sprawcą okropnej śmierci pana starosty Modrowskiego, ojca twego, panno Gabryelo.

Gabryela zachwiała się. Śmiertelna bladość okryła twarz jej piękną. Uchwyciła się dłonią poręcza, aby nie upaść na ziemię w zemdleniu...

— Niech się pani uspokoi! — rzekł Rozworski z wymuszonym spokojem, pomagając jej usiąść— i niech mnie pani raczy wysłuchać dalej. To jeden z dalszych moich argumentów. Czy zbyteczny, niech to pani osądzi?

Przez dłuższy czas Gabryela niemą była od straszliwego przerażenia...

Słowa majora jakby piorunem uderzyły w jej serce...

Teraz dopiero znalazła rozwiązanie zagadki, dla czego August okrywał się przed nią jakąś niepojętą osłoną tajemnicy, dla czego mówił o owej strasznej zaporze, która dzieli ją od niego.

Rozwiązanie to było okropne. Boleścią i trwogą śmiertelną przejęło ono Gabryelę.

Rozworski zdawał się pastwić widokiem swej ofiary. Przez kilka chwil trwało to milczenie...

Nagle dziwna reakcya obudziła się w duszy Gabryeli. Odkrycie Rozworskiego odjęło jej wszelką odwagę, ale podłość tego człowieka oburzyła ją w najwyższym stopniu. Oburzenie to wróciło jej stracone siły, uczucie zranione boleśnie spotęgowało się do namiętności...

Powstała i prostując się w całej swej wyniosłej postawie, z dumą na czole, z oczyma pałającemi gniewem szlachetnym, z rumieńcem oburzenia na pięknej twarzy, zawołała głosem drżącym lecz silnym i do głębi przenikającym:

— Panie, na słowach tych skończyło się wszystko, coś mi miał powiedzieć. Nie będziesz pan tryumfował nad ofiarą swej nikczemności... Wyczerpałeś pan swe pociski i miary szlachetnie

dopełniłeś! O tak! twój argument, mości majorze, nie był może zbytecznym, ale był daremnym! Jeżeli prawdą jest, że tego człowieka kocham, jeżeli prawdą jest ów krwawy, okropny upiór, którego wywołujesz i stawisz między nim a mną, cała groza straszliwa padnie na mnie i ja ją zniosę mężnie... Ale ta groza cóż pomoże tobie, panie Rozworski? Czy wywołałeś w swaty tego upiora i przez niego mi posyłasz twoje oświadczenie? Niechże on stoi na zawsze między mną a tym człowiekiem, o którym wspomniałeś — niech on stoi ale nie ty, panie Rozworski! Pogardzam tobą, mości hrabio, nienawidzę cię, i na Boga Wielkiego przysięgam, że nigdy, przenigdy! nie będę należeć do ciebie! Ty mężny jesteś, ty bohaterski jesteś, panie majorze — ty nawet straszne widma wywowyłać umiesz—ale patrz, serca kobiéty słabej nie zwyciężysz!

— O! bo ta „słaba“ kobiéta bardzo jest bohaterską także i silną — odparł szyderczo i z naciskiem Rozworski — bo ta słaba kobieta nie jest przecież tak słabą, aby zadrzała przed krwawą pamięcią swego ojca—lub przed krwawemi łzami swej matki... O ja umiem wywoływać widma, bardzo nieprzyjemne widma, ale pani masz mocne nerwy i nie boisz się ich wcale — ciągnął dalej z jadowitem szyderstwem Rozworski. — Gdybym

naprzykład wywołał jeszcze jedno widmo, na przykład matkę twoją, panno Gabryelo, w nędzy, w okropnym niedostatku, matkę rzuconą w sędziwych swych latach na pastwę losu opłakanego, może nawet głodu...

— Co to ma znaczyć, panie! — zawołała ze zgrozą Gabryela.

— To ma znaczyć po prostu — odparł dobitnie Rozworski — że prosząc o rękę pani, chciałem spełnić czyn szlachetny zarazem. To ma znaczyć, że od woli mojej zależy, aby matka pani znalazła się dziś bez przytułku, aby wygnaną została z pod rodzinnej strzechy — to ma znaczyć, że wszystko, co na pozór posiadacie, jest moją własnością...

— To fałsz! — zawołała drżąc cała Gabryela.

— Niestety, to nie fałsz, ale prawda smutna! — ciągnął dalej nielitościwie Rozworski. — Majątkowe interesa starościny znajdowały się zawsze w opłakanym stanie, a zupełna ruina groziła temu domowi już od lat kilkunastu, gdybym nie użyczał mojej pomocy nie mówiąc nic o tem... Zapłaciłem już dawno cały majątek starościński.

— To być nie może! — zawołała Gabryela. — Panie! nie godzi się do tak straszliwych uciekać wymysłów!

— Gdybyś pani znała się nieco na prawnych dokumentach — odpowiedział Rozworski — mógł-

bym panię o tem natychmiast przekonać. Ale tak, wystarczyć musi moje słowo, a jeźli ono nie wystarczy, to wystarczy historya kilku dni najbliższych. Teraz ja skończyłem, i żegnam.

— To okropnie!—szepnęła z jękiem Gabryela— panie, zatrzymaj się...

— Tak, panno Gabryelo — odezwał się Rozworski, łagodząc głos swój i wyraz twarzy — matce pańskiej grozi nędza, nędza w całem okropnem tego słowa znaczeniu. Jedyna jej nadzieja polega w pani i w jej decyzyi...

— Boże mój! — zawołała Gabryela — czemuż kryła wszystko przedemną?...

— Czemu kryła? Oto bo w szlachetności swej, w miłości swej ku pani, nie chciała pani zmuszać do poświęcenia, bo gotową była stać się sama ofiarą, byle nie żądać ofiary od swej córki... A ta ofiara, której matka nie chce wymagać po swej córce, ta ofiara jest tak wielką, tak okropną!... polega ona na tem, aby oddać rękę temu, który ją kocha, który uczyni ją panią swego życia, który przysiągł, zasłużyć na jej przywiązanie...

— Stój pan! — zawołała Gabryela — nie dręcz mnie pan tem szyderstwem. O matko moja biedna!

Po tych słowach, wymówionych z jękiem najgłębszej boleści, Gabryela skryła twarz swą w dłonie i z cichym łkaniem przetrwała chwil kilka.

Potem powstała zwolna i z twarzą śmiertelnie bladą ale opromienioną wyrazem dziwnego heroizmu, rzekła silnym głosem:

— Panie Rozworski, zwyciężyłeś! Oto moja ręka!

Major ukląkł, i chwytając dłoń podaną, ucałował ją namiętnie...

W tej samej prawie chwili weszła do pokoju starościna.

Starościna zdawała się być niesłychanie zdumioną tym widokiem... Trzymała ona w ręku list jakiś, a list ten upadł na ziemię.

Rozworski, ujrzawszy starościnę powstał i trzymając ciągle dłoń Gabryeli podstąpił naprzód i rzekł z uśmiechem pełnym tryumfu i zadowolenia:

— Jestto najszczęśliwsza chwila mego życia... Panna Gabryela zgadza się... Nieprawdaż pani?— dodał — spoglądając z wyrazem czułości na Gabryelę.

— Tak — odparła cicho lecz stanowczo starościanka...

I jakby ukryć chciała wyraz boleści, który na twarz jej bladą wystąpił, pochyliła się po list, który z rąk wypadł starościnie.

— To list od Maryi... — rzekła starościna.

— Od księżnej Albergati! — zawołała Gabryela — o, jakże pożądany!

I biorąc skwapliwie list, ucałowała dłoń matki i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju.. Starościna która dotąd nie ochłonęła jeszcze była z wrażenia, nie wstrzymywała jej...

. . . .

Tak się odegrała scena, w której rozstrzygnęły się losy Rozworskiego jako konkurenta. Odtąd występywał on już jako oficyalny narzeczony Gabryeli.

Co się działo w duszy biednej dziewczyny, odgadną łatwo nasi czytelnicy. Potrzeba była tylko heroizmu tak szczytnego, na jaki zdobyć się zdołało serce Gabryeli, aby wytrwać w zamiarze poświęcenia się za ukochaną matkę, aby wyrzec się szczęścia na całe życie, zadać gwałt sercu i boleści swej nie zdradzić ani jednem słówkiem, ani łzą jedną przed matką...

Nim się Gabryela oddała zupełnej, rozpaczliwej rezygnacyi, porozumiała się jeszcze z rządcą swej matki i wybadała go o stan majątku i o stosunki, w jakich do niego znajduje się Rozworski. Niestety, było tak jak powiedział Rozworski. Rozmowa poufna z rządcą, który dawał do zrozumienia, że Rozworski podstępem i haniebnemi machinacyami stał się prawie panem starościńskiej fortuny, pomnożyła w duszy Gabryeli jeszcze bardziej wstręt do człowieka, któremu miała oddać

rękę, ale utrwaliła szlachetną decyzyę. Wskazówki otrzymane zwiększyły jeszcze mękę, ale nie złamały rezygnacyi.

Staczając najsroższą walkę z sobą, i z marzeniem miłości, daremnie odganiając z przed oczu postać Augusta, który stawał przed nią, to jako kochanek w całym blasku najmilszych do niedawna rojeń, to znowu jako widmo, na którem Rozworski odkryciem swem krwawe wypiętnował znamię — Gabryela przechodziła przez całe piekło cierpień, które w samotności potęgowały się do rozpaczy.

Heroizm wystarczał, aby ukryć wszystko przed matką. Gdy starościna czule wzywała ją do szczerej spowiedzi z kroku, który z własnej decyzyi uczyniła, odpowiadała Gabryela:

— Nie jestem już, mamo moja droga, dziewczęciem pierwszych rojeń... Wiosna mej młodości mija, minęła już może... Jestem kobiétą i jako kobiéta zdecydowałam się na związek, na który przed laty nie zgodziłabym się była nigdy... Nie kocham pana Rozworskiego ale go szanuję, ale czuję, że się szczerze do niego przywiążę... I tobie i mnie mamo, potrzeba opieki w życiu... Czas było pomyśleć o wyborze trzeźwiej i zimniej, i uczyniłam tak...

Niedowierzała starościna, ale wybadać nic nie mogła. Gabryela trzymała się po bohatersku. Nagliła sama o przyspieszenie ślubu, zdobywała się na spokój, na pozorną wesołość nawet.

Rozworski szczęśliwy, tryumfujący, zabawił czas jeszcze jakiś w Modrowie, a potem pragnąc jak najbardziej przyspieszyć ślub, wyjechał. Chciał odprawić z świetną okazałością gody swe weselne, chciał z przepychem magnackim urządzić dom dla przyszłej żony i w tym celu wyjechał do Wiednia.

Minęło kilka dni od jego wyjazdu. Gabryela tymczasem opłacała tę straszliwą komedyę, którą odgrywać musiała, wybuchami najsroższej boleści, ilekroć znalazła się samotną w swym pokoiku. Zachodziła jeszcze jedna okoliczność, która dwoiła boleść Gabryeli.

Wspomnieliśmy już o liście, który odebrała była pani starościna. Był to list pisany właściwie do Gabryeli. Pochodził on od dawnej znajomej i najserdeczniejszej przyjaciółki Gabryeli.

Kilku słowy opowiedzieć musimy historyę tej znajomości. Przed kilku laty, kiedy się starościna znajdowała wraz z Gabryelą w okolicach Dubna, u swych dalekich krewnych, których na krótki czas odwiedziła, przybyło tam kilka rodzin arystokratycznych francuzkich, które uszły z ojczyzny

swej przed pożogą rewolucyi, święcącej właśnie wówczas krwawe swe i straszne tryumfy... Jak wiadomo, bardzo wiele takich rozbitków przebywało w Polsce, gdzie znachodzili gościnne przyjęcie i pomoc w niedoli tułactwa. Jedną z główniejszych stacyi emigrantów francuzkich było Dubno.

Między rodzinami, które aż tu zapędziła krwawa katastrofa, znajdowała się także markiza Lavalle, z młodą swą, prześliczną córką. Mąż markizy padł ofiarą namiętności, poniósł śmierć z rąk rozjuszonego tłumu. Spokrewniona w dalekim stopniu z jednym z możnych domów polskich, markiza Lavalle obrała sobie za chwilowe miejsce schronienia Dubno.

Tu poznała się z starościną Modrowską. Między córką markizy Maryą, a Gabryelą zawiązał się wkrótce stosunek najczulszej przyjaźni. Marya była wcielonym typem francuzkiego temperamentu. Wrażliwa, namiętna, wesoła aż do pustoty czasem, z żywością i swobodą łączyła serce najszlachetniejsze, a znalazłszy w poważniejszej nieco i marzącej Gabryeli uzupełnienie własnej natury, pokochała ją duszą całą. Z równąż siłą uczucia przywiązała się do Maryi Gabrela. Chwile razem spędzone, chwile wspólnych marzeń, wspólnych igraszek, wzajemnych zwierzeń, i tej pogody dzie-

wiczej, która wiosennym tchem owiewała stosunek obu przyjaciółek, zarówno dla Maryi jak dla Gabryeli złożyły się na porę dziwnie uroczą i miłą.

Niedługo jednak były z sobą razem obie przyjaciółki. Familia markizy, która przebywała w Zurychu, zawezwała ją do siebie. Marya musiała pożegnać swoją polską przyjaciółkę, ale rozstanie nie przerwało związków najczulszej przyjaźni. Korespondowały obie z sobą bardzo często, a dzień, w którym Gabrela otrzymywała list od Maryi, był uroczystym zawsze i szczęśliwym.

Od niejakiego czasu ustała była ta korespondencya. Marya nie odpisywała na dwa listy Gabryeli. Najrozmaitsze a smutne przyczyny przypisywała już Gabryela temu milczeniu, gdy właśnie w chwili tak bolesnej, tak okropnej, którą opisaliśmy, przybył list długi od dalekiej przyjaciółki.

List ten jak powiedzieliśmy, przyczynił się jeszcze bardziej do udręczeń Gabryeli. Tchnął on szczęściem i był tem samem bolesną ilustracyą losów starościanki. Marya w liście tym, dłuższym niż inne, przepraszała ją najczulej za długie milczenie. Ale milczenie to usprawiedliwiała zmianami, które zaszły w jej położeniu. W Szwajcarii poznała się Marya z młodym Włochem, księciem

Albergati, który ją namiętnie pokochał i wkrótce niemniej głęboką znalazł wzajemność.

W krótkim czasie została Marya szczęśliwą żoną księcia. W liście swym zwierzała się z swego szczęścia Gabryeli. Opisując całą historyę swego zaślubienia, malowała żywemi barwami swe uczucia, swą miłość i swe nieskończone szczęście, które znalazła u boku ukochanego człowieka. Każde słowo listu Maryi tchnęło pogodą i roskoszą. Marya opisując swe szczęście wyraziła nadzieję, że niezadługo Gabryela odwdzięczy się jej taką samą wiadomością o sobie. Ustęp ten wydał się dziś Gabryeli straszliwą ironią.

Wynurzenia swoje kończyła Marya dziecinnie prawie natarczywą proźbą, aby Gabryela wraz z matką wybrała się do Włoch i odwiedziła swą przyjaciółkę w jej raju.

„Naprawdę — pisała Marya — musicie uczynić zadość naszym proźbom. Jakież mogą być przeszkody?... Chyba się kochasz moja najdroższa... jeżeli tak, to skończcie coprędzej, jak my skończyli z moim kochanym Antonio, i przyjeżdżajcie we troje, matka, ty i ten twój... którego nie znam, ale który musi być podobnym do mego Antonia, to jest, musi być pięknym i dobrym i szlachetnym i tak cię kochać musi, jak on, ten brzydki i nieznośny mój Antonio... Ale przyjedź-

cie, przyjedźcie, przyjedźcie, jeźli mnie kochasz, jeźli o mnie pamiętasz, jeźli twoja mama jest jeszcze taką przyjaciółką mojej mamy jak dawniej, jeźli nie chcesz, abym się gniewała okropnie... Wiesz, że oglądać was tutaj, jest mojem i mojej mamy marzeniem... Mój mąż nawet pragnie już ogromnie poznać la bella Modreschi, (tak cię ten brzydki Włoch nazywa) — a widzisz, ja cię tak kocham, że nawet nie myślę, że mogłabym być zazdrośną... U was tam zimno teraz i smutno... tu tak pięknie, tak pogodnie, tak wesoło... Gdyby tylko nie ta wojna obrzydła! — ale ona tylko dalekiem echem nas dochodzi, bo mieszkamy na wsi, w ślicznej willi... w ustroniu przecudnem i cichem...“

Do listu tego dopisał się i sam mąż Maryi a w końcu i jej matka, markiza Lavalle, która również gorąco, choć spokojniej i wyrozumialej zapraszała starościnę do Włoch... Zaproszenia te były tem usprawiedliwione, że starościna już dawno wybierała się była do Włoch z swą córką, która bardzo pragnęła poznać kraj ten prześliczny.

Czytając list ten Gabryela daremnie usiłowała cieszyć się szczęściem Maryi, którą kochała tak bardzo. Wbrew zwyczajowi odpisywania natychmiast na listy przyjaciółki zwlekała tym razem odpowiedź Gabryela... Cóż miała pisać Maryi?...

Miałaż na zwierzenia odpowiedzieć zwierzeniami, i listem swoim zamącić szczęście przyjaciółce?

Po kilkunastu dniach jednakże zabrała się do pisania listu, którego wysłać nie myślała. Pisała go dla ulżenia uciśnionemu sercu, które pragnęło wylać boleść swą całą. Wieczorem, gdy matka udała się już na spoczynek, Gabryela spisywała swoje zwierzenia, których według jej postanowienia nikt nie miał czytać. Zachowała formę listu do Maryi, bo sprawiało jej to iluzyę, że istotnie wypłacze ból swój przed ukochaną towarzyszką dni szczęśliwszych.

W liście tym przemilczała jednak o swej nieszczęsnej miłości. Opowiadała tylko dzieje swego poświęcenia, które skłoniło ją oddawać rękę człowiekowi, do którego niewypowiedziany wstręt czuła, którym pogardzała.

Pewnej nocy, a było to już poźno bardzo, starościna nie mogąc usnąć, dostrzegła, że w pokoju Gabryeli świeci się jeszcze. Myśląc, że córka jej nie spi dotąd, powstała i udała się do niej. Wszedłszy do pokoju zastała Gabryelę ubraną jeszcze, lecz leżącą na łóżku i uśniętą. Widocznie sen zaszedł ją nagle, niespodziewanie.

Na małym sekretarzyku, który stał niedaleko łóżka, dopalały się świecy i leżało kilka kart zapisanych.

Starościna na widok śpiącej córki zatrzymała się i chwilkę patrzała na pobladłe, jakby cierpieniem jakiemś tajonem znękane lica Gabryeli, a potem ujrzawszy na sekretarzyku zapisany papier, zbliżyła się na palcach i czytać go poczęła.

Był to list do Maryi. Starościna poczęła go czytać, a ledwie kilka wierszy przebiegła, wystąpił na twarz jej wyraz przestrachu i niespokojnego zajęcia. List ten odkrywał jej cały okropny stan Gabryeli. Starościna dowiedziała się o wszystkiem.

Niepodobna nam opisać wrażenia, jakie list ten sprawił na starościnie. Przelękniona, boleścią przejęta, zdumiona, stała chwilkę bez ruchu... Potem, jakby niedowierzała sobie, raz jeszcze wzięła list do rąk i przebiegła go oczyma...

— I ja tedy jestem szczęśliwą, kochana Maryo! — kończyły się zwierzenia Gabryeli — szczęście moje tak smutnie odbija od twego, ale jest szczęściem także. O tak! jestem szczęśliwą dumą moją, poczuciem, że heroicznie przetrwałam walkę, że poświęcam się za tę, którą nad wszystko kocham, za matkę moję... Czy to także nie jest szczęściem?...

Starościna spojrzała z wyrazem niewysłowionej czułości na śpiącą Gabryelę. Z oczu jej spłynęły łzy, a z drżących ust odezwały się stłumionym szeptem słowa:

— Boże... dzięki ci za odkrycie, dzięki ci, że już nie za poźno...

I biorąc list z sekretarzyka cicho, na palcach, jak cień Anioła-Stróża wysunęła się z alkowy.

Gdy wróciła do swego pokoju, czytała list znowu z najwyższem wzruszeniem i długo rzewnie płakała... Uspokoiwszy się oddała się starościna długim i głębokim rozmyślaniom. Nagle, jakby powzięła jakiś stanowczy zamiar, powstała i szepnęła sama do siebie:

— Czemużbym tak uczynić nie miała? O, tak! zrobię to... Ona odżyje, zapomni tam o wszystkiem, co przecierpiała dla mnie... Plan awanturniczy... to prawda... ale czyż nie nabiorę sił myśląc, że poświęcam się dla niej, która spokój mój tak okropnie okupić chciała...

— A pani jenerałowa Dąbrowska? — szeptała dalej do siebie w zamyśleniu starościna — czyż ona nie kobiéta?... A nie ulękła się, i jak mi niedawno mówiono, bez wahania podjęła się podróży.

Długo tak naradzała się sama z sobą starościna. Nie spała już wcale tej nocy, a skoro zaświtały pierwsze brzaski dnia, ubrała się i zadzwoniwszy kazała przywołać znanego nam już Łukasza.

— Łukaszu, czy rządca pan Rojko wyjechał? — zapytała.

*

— Nie jeszcze, ale wyjeżdża dziś, pani staro-ścino.

— Zatrzymać go... mam ważne interesa do niego... Pojedziecie razem do Lwowa...

Łukasz skłonił głowę w milczeniu.

— Rojko i ty Łukaszu, jesteście starymi, wiernymi sługami, i mogę wam ufać, jak sobie...

— Tak było przynajmniej dawniej, ale odkąd pan major... — rzekł tonem wyrzutu poczciwy Łukasz.

— Nie wspominaj mi o nim! — przerwała żywo starościna.—Weźmiecie moje brylanty i... i sprzedacie...

Łukasz zdumiony chciał coś remonstrować.

— Zrobicie to jak najspieszniej i powrócicie. Pan Rojko niech się wybiera w drogę, w daleką, bardzo daleką drogę... Ty Łukaszu zostaniesz w domu...

— Do Lwowa dam wam list do pana mecenasa Zawojskiego... Opatrzyć karetę podróżną dobrze... Przyrządzić walizy i kufry... Z Rojkiem natychmiast chcę się widzieć... Wyjeżdżam za dni kilka — mówiła bezładnie i gorączkowym tonem dalej starościna.

— Pani starościna wyjeżdża? — zapytał Łukasz, nie pojmując niczego.

— Wyjeżdżam daleko... za granicę... A teraz, idź do biblioteki i przynieś mi tu zaraz kasetkę ze złotem... Masz tu klucz...

Łukasz wyszedł i za kilka chwil powrócił z małą, ozdobną szkatułką.

— Teraz idź do pana Rojka i wracaj z nim po dokładniejszą informacyę.

Gdy stary sługa odszedł, starościna otworzyła szkatułkę i poczęła z niej wydobywać rulony dukatów. Liczyła rulony szybko, składając w nieładzie na boku, a gdy skończyła, rzekła do siebie w zamyśleniu:

— Wystarczy... na podróż, wystarczy w najgorszym nawet razie na całe życie, skromne i ubogie.

. . . .

Trzy tygodnie minęło od opisanych zajść, kiedy do Modrowa zawitał znowu pan major Rozworski. Powrócił on z swej podróży do Wiednia i pospieszył natychmiast do swej narzeczonej. Rozworski na prawdę tęsknił za Gabryelą, w duszy jego odzywała się coraz silniej miłość namiętna...

Gdy zajechał na podwórze, nikt nie wyszedł na jego spotkanie. W dworze i całem jego otoczeniu panowała cisza. Rozworski zdziwiony tem, skoczył niecierpliwie z powozu i szybkim krokiem podążył ku drzwiom.

W tejże chwili drzwi się otwarły jednem skrzydłem i pojawiła się w nich postać Łukasza.

Wysoki barczysty starzec zasłonił sobą wchód cały, i stojąc w miejscu patrzył ponurym wzrokiem na majora.

— Co słychać Łukaszu? — zapytał Rozworski, zbliżając się. — Panie zdrowe, co robią? Ale cóż to, stoisz na miejscu, jakbyś mnie puścić nie chciał!

— Nie ma nikogo w domu, panie wyjechały — odparł szorstko Łukasz.

— Zaczekam tedy, toż powrócą przecież niebawem... Oszalałeś stary trutniu, puść mnie!

Łukasz zlekka odepchnął majora i odparł spokojnie:

— Nie powrócą... Wyjechały na całe lato, daleko, za granicę!

Rozworski stał chwilkę osłupiały z zdumienia.

— Głupi żart! jak na twoje stare lata!— zawołał potem — na bok!

— Hola! hola! mości majorze — wstrzymał go Łukasz. — Tu dla pana miejsca nie ma! Masz tu list, panie Rozworski, z niego się dowiesz, czego ci potrzeba! A teraz bywaj zdrów Wasze!

Rzekłszy to, Łukasz podał majorowi list i cofając się do sieni, zamknął drzwi z trzaskiem i klucz w zamku obrócił.

Rozworski stał wściekły i zdumiony na miejscu...

Rozerwał pieczęć listu i szybko go przeczytał. Gdy skończył, aż zadrzał cały od namiętnego gniewu. Twarz jego pąsem się okryła, źrenice krwią zabiegły, tylko usta mu pobladły.

Zmiął list w ściśniętej kurczowo dłoni i wydał z siebie urwany głos przekleństwa...

XIII.

TESTAMENT PANA DEPUTATA.

Z wycieczki naszej do Modrowa wracamy teraz znowu do Włoch, do Augusta. Pierwszej wolnej chwili, która się nadarzyła po załatwionych czynnościach służbowych w opanowanem mieście, użył August do wysłuchania tego, co mu Szmok miał powiedzieć.

Szanowny nasz magister lubelski zasiadł sobie wygodnie na krześle, prosił Augusta o szklankę wina, a wychyliwszy spory kielich jednym prawie haustem, zrzucił z głowy perukę, otarł z potu łysinę, odsapnął i rzekł:

— Gorący był dzień i ciężki... Trzydzieści amputacyi, sto bandażów, kilkadziesiąt cudownych kuracyi... E c h t e, e r s t a u n l i c h e W u n d e r k u r e n! Tobiasz Szmok dzień ten policzy do najpiękniejszych dni swego życia! Tobiasz Szmok cudów dokazywał, sam siebie prześcignął!

August uśmiechnął się pobłażliwie na te przechwałki Szmoka i przerywając mu zapytał:

— Wiem, wiem, że dzielnie się spisywałeś magistrze... Ale teraz przystąp zaraz do rzeczy i mów, co mi masz powiedzieć, bo i czasu nie mam i ciekawy jestem ogromnie.

— I jest czego być ciekawym!—zawołał Szmok, patrząc swemi błyszczącemi, przenikliwemi oczkami na Augusta. — To dziwne spotkanie, panie poruczniku... Szukałem cię długo, a znalazłem cię tak niespodzianie. Słuchaj pan tedy...

August przysunął krzesło do Szmoka i usiadł.

— Jestem Tobiasz Szmok — począł dziwaczny Niemczyk opowiadanie—magister Tobiasz Szmok, chemik, alchemik, adept magii, wyzwoleniec nauk tajemniczych, wynalazca cudownych środków, doktor, chirurg, operator, mistrz sympatetyki i badacz tajnych sił przyrody... Mieszkam w Lublinie, choć duch mój oddawna pragnął znaleźć szersze pole popisu.

— Zlituj się panie magistrze!—przerwał August — i zostaw to wszystko na koniec...

Szmok zgorszył się trochę niecierpliwością Augusta, ale ulegając grzecznej choć natarczywej prośbie poskromił swoję swadę.

— Czy znałeś kiedy panie poruczniku Strzetuskiego, byłego rotmistrza i deputata?

— Słyszałem o nim tylko. W obozie Kościuszki mówiono o nim wiele, gdy cały swój majątek oddał na rzecz powstania.

— Otóż ten pan Strzetuski umarł w Lublinie i zostawił testament, który pana mocno obchodzi, a którego odpis mam przy sobie.

Rzekłszy to, wydobył Szmok z skórzanej grubej teki arkusz papieru i wręczył go Augustowi. August przebiegł pismo oczyma z ciekawością.

Po kilku wstępnych uwagach co do swej skromnej spuścizny, śp. deputat pisał w swym testamencie co następuje:

„Niedawno dopiero temu i tylko przypadkowym sposobem dowiedziałem się o straszliwej intrydze, uknutej przeciw pamięci jednego z moich najdroższych przyjaciół i towarzyszy broni, przeciw człowiekowi świętych prawdziwie uczuć patryotycznych i nieskazitelnej zacności. Z zgrozą najwyższą usłyszałem, że podkomorzy Andrzej Szczytowski, niegdy rotmistrz wojska confederationis, oskarzony został haniebnie o zdradę i przyprawienie o śmierć starosty Modrowskiego, i to oskarzony przez tego właśnie, który sam ohydnej dopuścił się zdrady i winnym się stał tego morderstwa. Słyszałem dalej, że ów zdrajca i zbrodzień, nazwiskiem Szczepan Rozworski,

sprawca morderstwa popełnionego na własnym krewnym i dobrodzieju, staroście Modrowskim, umiał skutkiem sprzyjających i zręcznie wyzyskanych pozorów oskarżyć o zbrodnię podkomorzego Szczytowskiego, że wydarł nadto potomstwu jego majątek, i że uzupełniając miarę swego łotrowskiego zuchwalstwa używa ciągle zaufania i szacunku u wdowy po staroście Modrowskim, w której domie jak gad jadowity się zagnieździł. Patrzyłem w świecie na rozmaite tryumfy zbrodni i na przykłady bezkarności, ale po raz pierwszy to w długiem mojem życiu o tak haniebnej dowiaduję się machinacyi. Ale palec boży doścignie zdrajcy i mordercy. Świadek zdarzeń, które tak ohydnie wyzyskał Szczytowski, krwią swej własnej ofiary plamiąc imię niewinnego człowieka, załączam do mego testamentu dokumenta, które niechaj natychmiast zostaną zakomunikowane tak rodzinie Szczytowskiego jak i Modrowskiego, jeźlibym ja tego sam za życia mego uczynić nie mógł. Powróciłem przed dwoma laty zaledwie z wygnania, a przed miesiącem dowiedziałem się o całej tej haniebnej sprawie. Boję się, by mi śmierć, gość u mnie codzień oczekiwany, nie przeszkodziła uczynić tego, co jest obowiązkiem moim wobec Boga, sprawiedliwości i pamięci moich przyjaciół. Dla tego też przekazuję ten obowiązek w ostatniej

woli mojej, która w tym razie dla wszystkich zacnych ludzi podwójnie świętą być powinna.“

Przeczytawszy te słowa August porwał się z krzesła w najwyższem uniesieniu. Niespodziewana radość odjęła mu głos na chwilę. Stał chwilę blady i drżący od wzruszenia, aż nareszcie łzy zabłysnęły mu w oczach...

— Papiery! gdzie są papiery, o których mowa w testamencie!— zawołał chłonąc z nieprzebranej radości i chwytając za ramię Szmoka.

Magister, który patrzył z dobroduszną satysfakcyą na Augusta, otworzył po raz drugi swą tekę i wydobył kilka starannie złożonych papierów. August rzucił się na nie, jak na zdobycz najdroższą, i począł je odczytywać z gorączkowem zajęciem. W miarę gdy czytał, twarz jego to bladła, to rumieńcem się okrywała od wzburzenia, oczy to lśniły ogniem radości, to zarzyły się znowu gniewem strasznym, aż nareście odczytawszy wszystko August zawołał:

— Morderco ohydny! Za wszystko mi zapłacisz! Boże!... dzięki ci nieskończone, że przybyłeś w pomoc, że zdejmujesz klątwę z mego imienia, że serce zwątpione pocieszasz... Padło światło w tę noc straszliwą mego życia!... Okropna zagadka rozwiązana, zapoźno może dla szczęścia, ale w czas jeszcze dla zemsty!...

— Kto wie, może nie zapoźno jeszcze!—zawołał po chwili August. — O tak! Tobie Boże należy zemsta, ale pozostaw mi szczęście!...

W najwyższym stopniu wzruszony rzucił się August na krzesło i począł czytać raz jeszcze przywiezione przez Szmoka papiery. Czas już i nam zaznajomić z ich treścią naszych czytelników. Do testamentu pana deputata Strzetuskiego załączone były dwa dokumenta. Jeden z nich zawierał obszerną opowieść wypadków, wśród których padł z rąk Moskali starosta Modrowski, ofiara nikczemnej zdrady i zasadzki. Powtórzymy własnemi słowy tę opowieść, której szczegóły zapewne choć w części nie uszły domyślności czytelników.

Według opowieści Strzetuskiego w jednej z żywych utarczek konfederatów barskich z Moskalami, a było to już przy samym schyłku tej bohaterskiej a nieszczęsnej wojny, został starosta Modrowski ciężko ranionym. Oddział Barszczan, poniósłszy dotkliwą porażkę, musiał spiesznie cofnąć się o pół mili, aby zająć obronne stanowisko. Rannego starosty nie można było wieźć z sobą, pozostawiono go tedy w małej, ustronnej chatce leśnej, przydając do straży kilku konfederatów pod dowództwem Rozworskiego, który jako krewny starosty sam się do tego ofiarował. Wkrótce po

utarczce schwytała partya konfederatów dwóch regałów i zaciętych popleczników interwencyi moskiewskiej, którzy dążyli do obozu nieprzyjacielskiego z informacyami w celu kompletnego zniesienia resztek konfederackich, uwijających się w tych stronach.

Modrowski był głównym dowódzcą tej partyi i zastępcą marszałka; zwołał tedy zaraz, mimo że był bardzo cierpiącym, starszyznę na radę wojenną w celu skorzystania z przejętych depesz i informacyi. Na radzie tej stanęło, aby w tym celu dwaj z starszyzny przyjęli na siebie rolę owych dwóch schwytanych regalistów, których przybycie było Moskalom zapowiedziane, i aby się udali do obozu nieprzyjaciół. Miał to być podstęp wojenny, za pomocą którego oddział konfederatów, otoczony zewsząd i znajdujący się w stanie opłakanym, mógł był omylić baczność Moskali i połączyć się z innym hufcem. Niebezpiecznej i przykrej takiej misyi podjęli się dwaj rotmistrze: Strzetuski i podkomorzy Szczytowski, ojciec Augusta. Mieli oni pod maską regałów i przyjaciół carowej dać takie informacye Moskalom, któreby im częściową klęskę, konfederatom zaś ocalenie przyniosły.

Pełni bohaterskiego poświęcenia udali się obaj towarzysze na tę niebezpieczną wyprawę.

Przybyli do obozu moskiewskiego w nocy i zaraz rozpoczęli śmiało konferencyę z pułkownikiem. Rolę swą odgrywali dobrze, choć w gruncie duszy dość wstrętną im była, i już prawie byli gotowi, gdy nagle wszedł do pułkownika oficer i zameldował, że jakiś zbieg z obozu konfederackiego zgłosił się do czat obozowych i pragnie natychmiast widzieć się z dowódzcą. Pułkownik moskiewski ukończywszy już prawie konferencyę z oboma posłami, których tem mniej podejrzywał, że był o ich przybyciu uprzedzony, kazał konfederata tego przyprowadzić. Szczytowskiego zaś i jego towarzysza prosił, aby raczyli wyjść do ubocznej izby, pułkownik bowiem stał kwaterą w chacie wieśniaczej. Ledwie obaj byli na progu, gdy wszedł zapowiedziany konfederat. Szczytowski i Strzetuski ciekawie się oglądnęli i zrazu oczom swym uwierzyć nie chcieli.

Konfederatem przybywającym do obozu moskiewskiego był młody krewniak starosty Modrowskiego, Szczepan Rozworski. Zobaczył on i poznał tylko podkomorzego, bo Strzetuski był już w drugiej izbie, i zadrzawszy zbladł jak ściana. W tej chwili jednak i podkomorzy Szczytowski zniknął w drugiej izbie, a pułkownik drzwi przymknął za nimi.

Konferencya między moskiewskim pułkownikiem a Rozworskim trwała dość długo. Nagle

pułkownik drzwi otworzył i przywołując do siebie obu pseudo-regałów, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Był tu właśnie oficer z konfederackiego obozu. Przybył z dobrej woli, tak sobie jako wolontarjusz, i puściłem go zaraz napowrót. Opowiedział mi wiele ciekawych bardzo rzeczy. Pokazał nam, gdzie mamy spotkać ptaszka, bardzo nam pożądanego... Domyślacie się kogo, panowie?..—dodał spozierając bystro i szyderczo na obu rotmistrzów, którzy zapomnieli o własnem niebezpieczeństwie i nieposiadali się od zgrozy nad haniebnym postępkiem Rozworskiego.

— Pana starostę Modrowskiego, z którym mamy rachuneczek oddawna... Jest to jeden z szefów głównych tych konfederackich rozbójników. Pójdziemy po niego, a panów proszę z sobą.

— Czyż będziemy panu potrzebni? — zapytał Szczytowski.

— Więcej panów proszę z grzeczności niż z potrzeby. Byłbym nieuprzejmym gospodarzem, gdybym nie prosił na to polowanie moich gości, którzy przed chwilą sami dali mi tyle dobrych wskazówek, jak polować na konfederacką zwierzynę.

I uśmiechnąwszy się z brutalnem szyderstwem, kazał wsiąść obydwóm na konie i otoczywszy ich do

koła kozakami, przeznaczonymi na wyprawę, popędził sam na czele.

Co się stało w chatce, w której leżał ranny starosta, wiemy już z opowiadania Szmoka. Modrowski padł od strzałów kozackich. Pułkownik moskiewski znalazł między papierami zabitego relacyę od jeneralicyi, w której przy końcu była wiadomość o owem przejęciu depesz i o misyi, jakiej się podjęli podkomorzy i Mikołaj Strzetuski. Związani i odstawieni do obozu, wyprawieni zostali poźniej na Sybir, gdzie ich losy rozłączyły. Na jednej z stacyi tego pochodu na wygnanie, jeszcze w granicach kraju, spotkali się z wielu konfederatami, dziś towarzyszami srogiego losu, między którymi znajdowało się także wielu z starszyzny. Było to w Zawichoście, jednej z głównych stacyi pędzonych w niewolę konfederatów, po których pozostała owa zwrotka żałośnego wiersza:

W Zawichoście w tej kaźni przed ratuszem w mieście,
Stało w niewolę wziętych przeszło szlachty dwieście,
A z przyjazdu do miasta czterysta z okładem,
Którzy wiary bronili z przysięgłym przykładem...

Na tem zgromadzeniu jeńców konfederackich podkomorzy i deputat złożyli z kilku innymi ofiarami konfederacyi rodzaj sądu wojennego, i przedłożywszy haniebną zdradę Szczepana Rozworskiego wydali nań wyrok, jako na zdrajcę i szpiega

moskiewskiego, spisując zarazem uniwersał, ogłaszający cały ohydny postępek. Cała starszyzna znajdująca się między jeńcami podpisała te akta, a podkomorzy i deputat stwierdzili nawet przysięgą swe zeznania. Oba dokumenta miały być oddane w ręce którego z ziemian okolicznych z obowiązkiem, aby je ogłosił. Zamysł ten jednak nie mógł być wykonanym. Strzeżeni pilnie i srodze traktowani przez eskortę nie mogli obaj nasi towarzysze niedoli przemycić na świat aktów. Oryginały ich pozostały przy Strzetuskim. Zachował on je przy sobie przez cały czas swej kilkunastoletniej niewoli i powrócił z niemi do kraju, nie przeczuwając może, że posłużą kiedyś istotnie do wyświecenia zbrodni. Z Szczytowskim rozstał się wkrótce w niewoli deputat. Popędzono go w inną stronę i odtąd nie wiedzieli nawzajem nic o sobie.

Z odkryć Strzetuskiego łatwo odgadnie czytelnik, jakim sposobem udało się Rozworskiemu wydobyć ów akt urzędowy a potwarczy, stwierdzający niby winę podkomorzego Szczytowskiego. Rozworski widział u pułkownika moskiewskiego tylko podkomorzego. Poźniej gdy Moskale za jego przyczyną wtargnęli w miejsce, gdzie się znajdował ranny starosta Modrowski, jego tylko wskazał Rozworski swym podkomendnym, powołując ich

za świadków. Podkomorzy był bowiem postaci wyniosłej, znacznej, i znany był dobrze w oddziale konfederackim. Rozworski zastrzegł sobie był u pułkownika moskiewskiego, że Kozacy napadając na chatke, jemu i ludziom jego swobodnie umknąć dadzą. Odwrót ten bezpieczny uskutecznił Rozworski z udanym animuszem, podsunął się nawet bardzo blizko do tłuszczy kozackiej, dał pierwszy ognia do niej, i z doskonale udarą zgrozą zwrócił uwagę swych konfederatów na podkomorzego, który wśród Kozaków jadąc wydawał się istotnie ich przywódzcą. Konfederaci tedy składając swe zeznania quasi urzędownie i zapisując je w księgi grodzkie, co z łatwością zawsze przychodziło, sumiennie byli przekonani o tem, że spełniają uczynek sprawiedliwy.

Co było powodem, że Rozworski dopuścił się strasznego czynu, domyślają się nasi czytelnicy. Chciwość nieposkromiona, namiętna żądza dostatku i tego niezawisłego bytu, które obiecywało mu objęcie owych zapisanych włości po śmierci starosty, skłoniły przewrotną już z natury duszę Rozworskiego do chwycenia się choćby najohydniejszych środków. Człowiek ten, zarówno namiętny jak podły, nie zadrzał przed żadnym czynem, któryby go mógł zbliżyć do upragnionych celów.

*

Testament nieboszczyka deputata odkrywał dziś wszystko. Po dwudziestokilkoletnim tryumfie zbrodni i nikczemności, padł promień w tę tajemnicę, która była klątwą, ciężącą srodze na imieniu, na marzeniach, na całem życiu Augusta.

To też trudno sobie wyobrazić uczucia, które po odczytaniu niespodziewanych aktów wzbierały w sercu Augusta. Zachwyt więźnia, który przygnieciony sromotą i zapomniany, długi czas spędził w ciemności więziennej, a nagle, gdy już zwątpienia był blizkim, widzi się wolnym, bez kajdan, pod jasnem, pogodnem niebem, w obliczu osób ukochanych—zachwyt taki chyba mógłby posłużyć za miarę tego nieopisanego szczęścia, które uczuł nasz legionista.

Długo trwało, nim ochłonął z pierwszych wrażeń i nim zdołał przyjść do słowa. Rzucił się na Szmoka, uściskał go i ucałował, i obsypał go najrozmaitszemi pytaniami. Gdy się Szmok wyrwał z objęć legionisty, począł opowiadać niektóre szczegóły odnoszące się do testamentu.

Zaraz po pogrzebie pana deputata w Lublinie przywołał woźny Nemezy Kapica magistra Szmoka i pana patrona Klarkowskiego, a przeczytawszy im z rozrzewnieniem list swego dobrodzieja, znany już naszym czytelnikom, zawezwał obu na świadków i odpieczętował testament, którego miał być

egzekutorem. Testament ten nie był dawnej daty. Na samym początku uwiadamiał deputat, że cały swój majątek oddał do dyspozycyi panu naczelnikowi Kościuszce, zostawiając sobie skromny fundusz na kilka lat życia; fundusz ten zapisywał wraz z domem, w którym mieszkał, Nemezemu, z zastrzeżeniem, aby pokrył koszta pogrzebu i wydatki połączone z wykonaniem ostatniej woli. Strzetuski wymagał, aby Nemezy przybrawszy sobie zaufanego człowieka do pomocy, starał się wszelkiemi siłami odszukać Augusta Szczytowskiego, o którym miał deputat wiadomość, że żyje, i aby dotarł do wdowy po staroście Modrowskim, i uwiadomił ją także o prawdziwym przebiegu tej tragedyi, która odegrała się przed tak dawnemi laty.

— Zaraz w kilka dni potem — opowiadał pan magister — zaproponował mi Nemezy a raczej zaklinał na wszystko, abym wyjechał i starał się wynaleźć ślad twój, panie poruczniku. Ofiarował mi w tym celu ze schedy znaczną sumę na drogę. Bardzo chętnie podjąłem się tego zadania, bo dawno już pragnąłem odbyć dalszą podróż, z którą mógłbym połączyć moje cele naukowe.

Dalej opowiadał Szmok, że najpierw udał się do Warszawy, potem wyszukiwał ukrytych żołnierzy i oficerów kościuszkowskich, rozpytując się daremnie o Augusta, którego znano tylko pod

przybranem nazwiskiem. Następnie nie powracając wcale do Lublina, dwa razy był we Lwowie, gdzie w końcu udało mu się znaleźć jednego z towarzyszy i przyjaciół Augusta. Przyjaciel ten znał prawdziwe nazwisko Augusta i to był pierwszy ślad, który odszukał Szmok. Augusta nie było już we Lwowie, Szmok dowiedział się tylko, że wyjechał za granicę, udając się do legionów. Postanowił tedy udać się do Francyi, dokąd dano mu adresa do rozmaitych wygnańców polskich.

Szmok w podróży tej zapominał jednak często o właściwym jej celu. Towarzyszyła mu w podróży owa namiętność do mistyki i tajemniczych nauk alchemii. Szmok jeździł tedy rzemiennym dyszlem, zawierał znajomości z tak licznymi jeszcze w owym czasie szarlatanami magii i mistyki, robił z nimi eksperymenta, zwiedzał wszystkie tajemne towarzystwa iluminatów i tak dotarł aż do Avignonu, które to miasto było wówczas jednem z główniejszych ognisk mistyków. Tu znalazł się już bez dalszych środków do podróży, bo fundusz dany mu przez Nemezego stracił na najrozmaitsze wybryki magicznego amatorstwa.

W Avignonie znalazł Polaków, a między nimi znajdował się i Grabianka, słynny z swych skłonności do mistycyzmu. Szmok pragnął być przyjętym do loży iluminatów, a Grabianka użył go

jako gońca do Liberackiego. Wiemy już, jakiego rodzaju było to poselstwo. Mistrz iluminatów przepowiedział Liberackiemu śmierć od kuli nieprzyjacielskiej, skoro uda się do legionów. Liberacki mimo to posłusznym był wezwaniu swych towarzyszy broni i udał się do Włoch, a Grabianka usiłował raz jeszcze listownie skłonić go do powrotu. Szmok, któremu Grabianka dał pieniądze na podróż a wypełnienie poselstwa postawił jako warunek inicyowania go w tajemnice sekty, udał się z podwójną ochotą do Medyolanu, a potem do Werony.

Gdy Szmok kończył swoje opowiadanie, które wypełnione było długiemi dygresyami o znajomościach zawiązanych z mistykami i alchemikami, o cudownych experymentach i tryumfach, które odnosił nad niektórymi adeptami, zapytał go niecierpliwie August:

— Traf szczęśliwy sprowadził cię na moje ślady, panie magistrze. Ale powiedz mi teraz, czy spełniła się druga część ostatniej woli śp. deputata, czy starościna Modrowska uwiadomioną została o wszystkiem?...

— Nemezy miał to uczynić — odparł Szmok — ale czy uczynił, nie wiem.

— Nie miałeś żadnych o nim wiadomości?

— Jeszcze gdym był po raz drugi we Lwowie, pisała mi jedna z moich córek, że ten stary głupiec Nemezy wplątał się w sprawę przykrą. Zadarł się z nowymi urzędnikami austryackimi, którzy wmieszali się do sprawy spadkobierstwa po Strzetuskim, pogwałcił czynnie jakąś cesarską komisyę i dostał się do wieży.

— Więc zapewne nikt jeszcze nie uwiadomił starościny! Na miłość Boga, tam było potrzeba najpierw przesłać odkrycia Strzetuskiego! Zbrodniarz ten figuruje tam w swej masce i może mu jej dotąd nie zdarto. Gabryela może stała się ofiarą i znajduje się już może w posiadaniu Rozworskiego! To byłoby okropne! Boże! Ty czuwałeś przecież nad nimi!

Do szczęścia Augusta przymieszała się boleść i obawa. Miałażby mu być teraz wydartą Gabryela, teraz, kiedy padł ów straszliwy przedział między nią a nim, kiedy mógł już stanąć przed nią śmiało, i dumny przebytem cierpieniem odebrać słodką nagrodę za wszystko, co przebolał!...

Szarpany niepokojem i obawami August począł czynić wyrzuty Szmokowi, który milczał przelękniony nagłym gniewem legionisty, gdy do kwatery wszedł stary Wieruski. August rzucił się ku niemu i chwytając go w objęcia zawołał:

— Przyjacielu, ojcze mój! Noc pierzchła, a pamięć mego ojca promieni się czysto pod blaskiem prawdy! Wszystko odkryłem!

XIV.

SZTURM DO SAN LEO.

Wesołe, pełne uroku odrębnego było życie w legionach polskich. Choć w dali od ojczyzny, ale związani z nią nadzieją i przekonaniem, że za nią walczą na obcej ziemi, wśród ustawicznych trudów ale i wśród tej poezyi wojennego życia, która dla dzielnych, rycerskich umysłów tyle ma nieopisanego powabu, legioniści polscy skupiali w sobie tak samo zapał i werwę prawdziwie żołnierską, jak w nich skupiały się nadzieje całego narodu.

Kwiat walecznej młodzi i wybór sił rycerskich całej Polski składały się na ten szczupły, ale potężny swą ideą zastęp, który był zbrojnem ramieniem narodu i miał skruszyć jego pęta. Ta serdeczna, bohaterska dziatwa polska przebiegała zwycięzką zawsze stopą Włochy całe, a każdy pochód, choć nieraz bardziej oddalał od ojczyzny, zdawał się jej być właśnie pochodem do Polski. Wszakże

na każdym marszu legionów, przed każdym tańcem krwawym, brzmiały w kole ich odgłosem nie tęsknoty, ale męzkiej, silnej nadziei słowa pieśni nigdy niezapomnianej:

Marsz — marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!

Połączony z innemi oddziałami legion, w którym znajdowali się nasi dawni znajomi: August, stary Wieruski, poczciwy Mykita i pan magister Tobiasz Szmok, udał się w marsz do Rimini. Marsz to był wesoły i żwawy, a wiódł przez kraj równie piękny i uśmiechnięty czarowną swą pogodą, jak piękne i czarowne były nadzieje legionów.

Nieraz bieda i niedostatek dokuczyły żołnierzom i trudy pochodu srodze dojęły, ale nie zdołały one nigdy stłumić ochoczej werwy i tego humoru, którego nic nie wydrze prawdziwie żywotnym, dzielnym umysłom. August z Werony jeszcze napisał obszerny list do pani starościny Modrowskiej i do Gabryeli, w którym uwiadamiał o wszystkiem, i przejęty otuchą, zapomniał o przykrych obawach, dostrajając humor swój do wesołości towarzyszy.

Dwie żaby i cztery kasztany były nieraz całem pożywieniem żołnierzy, ale za to bywały i chwile obfitości, chwile obozowej ochoty, wśród

której hucznie i szumnie było między polską wiarą. „Ah, ce sont des braves coquins; ils mangent comme le loups, boivent diablement, et se battent, comme les lions!" — mawiali Francuzi o legionistach polskich, a oddział, któremu teraz towarzyszymy do Rimini, stwierdzał chwacko tę przyjacielską choć rubaszną charakterystykę. Umiano w razie biedy poprzestać na żabach i kasztanach, ale umiano także jeść z wilczym apetytem, pić od stu diabłów i bić się po lwiemu!

Kompania, w której był porucznikiem August, celowała swym humorem. Wieruski był „papą rotmistrzem". Tak go nazywali wszyscy. Stary wyga w wszystkich trudach szedł o lepsze z młodzieżą, a stały w swem postanowieniu nieprzyjmowania żadnej rangi, maszerował raźno z muszkietem na ramieniu. Czasem opowiadał przygody konfederackie i amerykańskie, czasem znowu rozspiewał się stary i nucił konfederackie pieśni. Wyuczył nawet niektórych piosnek całą kompanię, a gdy zanucił jednę najulubieńszą, to cały chór legionistów wpadał mu grzmiącym wtórem w słowa:

Hej! hej! Drewiczowe nogi
Już nie będą zastępywać Pułaskiemu drogi!

Ale najczęściej brzmiała swą dzielną nutą

owa wieczysta, elektryzująca, tętnem serc polskich urytmowana pieśń nasza: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Jej to echo wyrywało się z pod sztandarów legionów i leciało ptakiem przez kordony, przez granice, przez straże i czaty nieprzyjacielskie i szumiało w powietrzu ojczystem... I tak samo jak jej pierwsi spiewacy we Włoszech, powtarzano sobie na polskiej ziemi:

Marsz — marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski!

Oddział nasz stanął w Rimini. I wspomnieniami historycznemi i przepysznemi widokami, pełnemi malowniczego wdzięku i wspaniałości, zajęło miasto to w wysokim stopniu Augusta i jego towarzyszy. Pod miastem płynął Rubicon, sławny przekroczeniem wielkiego Cezara, z drugiej strony wspaniały Adryatyk połyskiwał w nieobjętych okiem przestrzeniach, a przed miastem roztaczał się najwznioślejszy widok górzysty.

Grzbiety Apeninu, które odłączały z tej strony państwo kościelne, piętrzyły się w olbrzymich szczytach, sięgających pod lazurowe stropy nieba. Pięły się góry po nad góry, tworząc jakby szczeble dla Tytanów, szturmujących Olimpu bramy. Majestatycznie sterczała góra Stromi, a po nad jej szczytem strzelały wyżej jeszcze cyple skaliste, ugrupowane w kształcie korony i też k o r o n ą

cesarską zwane. Na tych skałach wznosiła się owa maluczka, swobodna Rzeczpospolita San-Marino.

Opodal od strony San-Marino jakby igrzysko kontrastów wznosiły się baszty zamku papiezkiego San Leo. Oko obejmowało z kolei to malutką ustroń wolności, miniaturową Rzeczpospolitę San-Marino, to wieże twierdzy St. Leo, która była pomnikiem despotyzmu i niewoli, a w łonie swem ukrywała więzienie, na średniowiecznej jeszcze, barbarzyńskiej stopie utrzymywane.

W Rimini legion pozostać miał bezczynnie do nieoznaczonego czasu. August, który tyle razy słyszał o Rzeczypospolitej San-Marino, a teraz ciągle ją miał z pobliża przed oczyma, postanowił odwiedzić ten kącik wolny, który umiał utrzymywać swą niezawisłość i stać na straży swych praw republikańskich. Wybrał się tedy z jednym z oficerów do San-Marino. Bawił tam przez dzień cały. Wracając szli inną drogą, którą obrał umyślnie przewodnik w celu obznajomienia ich z widokami okolicy.

Noc zapadała, a jak na dobitek zaskoczyła burza z ogromną ulewą. Nie było sposobu dostać się już tego wieczora do Rimini. Po drodze, w gaju cytryn i drzew oliwnych, u zielonych stóp góry, na płacie ziemi, który przebujną wegetacyą

swą mile odbijał od skał napiętrzonych do koła, znajdowała się prześliczna willa, małe, wytworne cacko, jakby urosło nie z pod kielni murarskiej, ale z pod subtelnego dłuta weneckiego złotnika.

Przewodnik zaproponował Augustowi, aby szukać noclegu w tej willi.

— Czy przyjmąż nas tam? — zapytał August.

— Czemużby nie — odparł przewodnik — czemużby nie przyjął oficerów książę Albergati.

— Więc to willa księcia Albergati! Ha, próbujmy — odparł August.

Przewodnik skierował ku willi, zapukał i podróżnych naszych zaraz wpuszczono. Księstwa nie było w domu, był tylko rezydent willi, który jak najgrzeczniej przyjął Augusta i jego towarzysza. Dano zaraz obom sypialnię. Był to pokój przepysznie umeblowany, a kosztowne jego urządzenie tchnęło najlepszym smakiem.

— Szczęśliwy traf — zawołał kolega Augusta — takiej kwatery dawno już nie mieliśmy! — i rzucił się od razu na łoże, zasypiając wkrótce po znużeniu pieszej podróży po górach.

Augustowi nie zbierało się na sen; zaświecił drugą lampę i począł oglądać obrazy, które zdobiły ściany pokoju. Między większemi obrazami znajdował się jeden mały, mniej znakomitego, ale zawsze dobrego pędzla. Dla kompletu tylko Au-

gust zbliżył się z lampą do tego obrazu, bo czuł, że i jemu nagle poczynają się kleić powieki. Zbliżywszy się, August wydał naraz stłumiony okrzyk zdumienia i omal lampy z rąk nie wypuścił.

Był to portret dwojga młodych dziewcząt. Artysta odmalował je, wsparte nawzajem na sobie, i splecione ramionami. Jedna z nich była brunetka, z dużemi czarnemi oczyma, z twarzyczką wesołą i figlarną, druga była portretem... Gabryeli...

August przetarł oczy, myśląc, że uległ dziwnemu złudzeniu... Nie, to nie było złudzenie... Ta druga postać dziewicza, jasnowłosa, a z ciemnemi oczyma, które łączyły w sobie słodycz i energię zarazem, to nie mógł być, to nie był kto inny, jak Gabryela... Na tem płótnie, jak w magicznem zwierciedle, odbił się ów obraz, który na zawsze tkwił w sercu i imaginacyi Augusta...

Zdumiony i zachwycony do najwyższego stopnia, August oczu oderwać nie mógł od malowidła! Co za zagadka mogła się kryć w tym portrecie, który znachodził w ustronnej włoskiej willi, co za igrzysko podobieństwa!...

Całą prawie noc spędził August to na oglądaniu drogiego oblicza, to na rozpamiętywaniach i wspomnieniach, które ono w duszy jego budziło... Sen zmorzył go już nad rankiem. Gdy się obudził,

zerwał się szybko i zdawało mu się, że śnił tylko. Pospieszył raz jeszcze oglądnąć grupę dziewcząt, i przekonał się, że to była rzeczywistość. To musiał być portret Gabryeli.

Gdy się pojawił grzeczny rezydent i życząc im dobrego dnia pytał się, czem się zechcą posilić, August zapytał go skwapliwie:

— Powiedz mi pan, proszę, kogo przedstawia ten portret?

Włoch się uśmiechnął i rzekł:

— Nieprawdaż, że piękne dzieci?... Ta, rzekł, wskazując na brunetkę, to księżna Albergati, żona młodego księcia...

— A ta druga?

— Tego nie wiem... Jakaś przyjaciółka dawna księżny zapewne.

— Kiedy księztwo będą w tej willi?

— Codziennie się ich spodziewam. Mają tu przyjechać z gośćmi i otrzymałem już rozporządzenia

Więcej niczego nie mógł się dowiedzieć August od Włocha. Nie było nawet czasu pytać dłużej, obowiązek naglił do spiesznego powrotu do Rimini. August ruszył w drogę, ciągle rozmyślając nad swą przygodą. Umyślił zaraz w kilka dni zrobić wycieczkę do willi, napoić się raz jeszcze drogim widokiem i zapytać księcia, kogo portret przedstawia.

W Rimini nie miał już August czasu rozmyślać dalej nad dziwnem zrządzeniem. W ciągu dnia jeszcze rozbiegły się pogłoski, że legion wkrótce wyruszy na jakąś wyprawę, a tuż za pogłoskami nadszedł dzienny rozkaz, aby żołnierze byli gotowi do nocnego pochodu.

Wyprawa miała za cel twierdzę San Leo. Legiony miały szturmować i zająć warownię papiezką.

August krzątając się około służbowych czynności, które przygotowywały nocną wyprawę, znajdował się na końcu miasta. Ujrzał tu na małym wzgórku magistra Tobiasza Szmoka, który z miną ponurą i zachwyconą zarazem spozierał na dalekie szczyty gór i na kontury zamku San Leo, który się wspaniale rysowały zdala. Szmok stał głęboko zamyślony i zdawał się nic nie wiedzieć i nic nie słyszeć. August zbliżył się do niego i uderzając go po ramieniu, zawołał:

— Co tu robisz, doktorze?

Szmok budząc się z swego zamyślenia zwrócił bystre oczki na Augusta i wskazując na szczyty San Leo, rzekł:

— Patrz panie poruczniku, oto San Leo! Rozumiesz, San Leo!

August popatrzył z zdziwieniem na Szmoka i rzekł:

— Wiem, i cóż ztąd?

— Cóż ztąd?! — zawołał Szmok — więc ty nie wiesz, panie poruczniku, że tam zmarł człowiek największy wszystkich wieków, że tam dokonał żywota, jako ofiara ciemnoty i barbarzyństwa, jeniusz przez tajemnicze potęgi nadziemskie ukochany, że te mury pogrzebały w sobie wielką zagadkę nauk magicznych, że wraz z tajemnicami już wydartemi niebu i piekłu zeszedł tam ze świata mistrz cudowny, który ludzkość uszczęśliwić, porządek natury potęgą swych badań zmienić był w stanie!

— Któż to taki, panie magistrze?

— Cagliostro, wielki Cagliostro, boski Cagliostro! — zawołał z najwyższem entuzyazmem Szmok i padł na kolana zwracając twarz swą w stronę zamku San Leo. Tam go uwięziła przemoc brutalna, tam w tych lochach zgasł potężny jeniusz! Patrz, poruczniku, to grób wielkiego mistrza magii! O gdybym mógł, zburzyłbym ze szczętem te przeklęte mury, to ohydne, nikczemne, podłe gniazdo! Duszę oddałbym szatanowi, aby pod gruzami tych kamieni, pod ruiną wszystkich tych gór i skał zgnieść, zgruchotać, zetrzeć w miazgę tych barbarzyńców, łotrów, nikczemników, tych osłów, głupców, Beotów, te bydlęta przeklęte! Niechaj przeklęci będą na wieki!

*

August uśmiechnął się patrząc na uniesienie Szmoka.

— Pociesz się magistrze — rzekł — wesołą ci powiem nowinę. Stanie się zadość twojej zemście. Dziś w nocy ruszamy w pochód, aby szturmować ten zamek.

Szmok porwał się z ziemi i jak piłka podskoczył do góry.

— Poruczniku, czy być może! Och, co za rozkosz! Poruczniku! każ mi dać muszkiet, ja naprzód pomaszeruję. Daj mi muszkiet, bo zamorduję pierwszego lepszego żołnierza i jego bronią się uzbroję, jeźli mi nie dacie! Ja się bić będę jak lew, jak tygrys, jak hyena, jak diabeł ognisty!

August, którego serdecznie ubawił komiczny zapał magistra, uspokoił go i przyrzekł mu dać broń zupełną. Szmok cały dzień klął i odgrażał się strasznie i cały zdawał się być w gorączce. Cały arsenał zawiesił na sobie. Wziął muszkiet, cztery pistolety, szablę, sztylet, a wszystkie swe torby i kieszenie wypakował mnóstwem prochu i kul. Dobył jakiegoś flakonu, w którym, jak mówił, najstraszniejsza w świecie znajdowała się trucizna, i moczył w niej kule, końce szabli i sztyletów.

W nocy wyruszył oddział legionów z Rimini. Całą noc trwał uciążliwy pochód górami, utrudniony tem bardziej, że wojsko transportowało

z sobą działa. Z brzaskiem dnia stanął oddział u stóp ogromnej skały, na której piętrzyła się twierdza San Leo. Wydrapać się na tę górę, było już trudnem zadaniem, a cóż dopiero szturm po niej przypuszczać. Trudności te jednak nie przestraszyły walecznych legionistów, którzy niecierpliwili się, gdy czekać im kazano, dopóki nie nadejdą działa, pozostałe w tyle.

Uszykowano żołnierzy. Kompanię grenadyerów wysunięto naprzód. Grenadyerom kazano pozdejmować ogromne czapki z pąsowemi kitami i powkładać je na bagnety. Te czapki na bagnetach nadawały wojsku jakąś niesłychaną, olbrzymią postać. Dano sygnał do szturmu i z ogromnym okrzykiem bojowym rzucili się legioniści do szturmu. Naprzód wysunął się oddział grenadyerów.

W tej chwili wiarusy nagle śmiać się poczęli, choć chwila nie była do żartów stosowną. Ale bo też i w godzinę śmierci nawet trudno było nie śmiać się na widok, który się przedstawił.

Na sam front wyskoczył pan Tobiasz Szmok, obładowany bronią, objuczony torbami, pełnemi amunicyi. Mimo ciężaru, który dźwigał, wspiął się jak kot i spoglądając na mury twierdzy wołał ochrypłym głosem:

— Wystrzelam was, wykłuję, wytruję, łotry i zbrodniarze! Krew waszę pić będę! Za mną naprzód!

I garbaty aptekarz, w swej ogromnej kudłatej peruce, która śmiesznie przekrzywiła mu się na głowie, z twarzą pąsową od wściekłości, z oczkami namiętnie płonącemi, rzucił się mimo rzęsistych kul działowych, które padły z twierdzy, naprzód, a tak był komicznym w swem bohaterskiem uniesieniu, że zapomniano w szeregach o całej grozie sytuacyi.

Żołnierze z bezprzykładną walecznością szli do szturmu. Z twierdzy witano ich żywą kanonadą, ale po niejakim czasie działa umilkły a na szczycie warowni pokazała się biała chorągiew. Załoga się poddała. Rano wszedł legion polski do twierdzy.

Wyżsi oficerowie zajęci byli odbieraniem od komendanta, Szwajcara, broni i innych zapasów wojennych, a tymczasem August, Wieruski i kilku jeszcze innych oficerów poszli oglądać lochy i więzienia twierdzy, które wielką a smutną miały sławę. Nie potrzebujemy dodawać, że Szmok był także w tem gronie. Sierzanta, który był nadzorcą więzień i oprowadzał teraz po nich oficerów, mało Szmok nie udusił. Chwycił go za gardło i kląc straszliwie po polsku, po niemiecku i po włosku razem wołał:

— Gdzieście więzili Cagliostra! Gdzieście go żywcem pogrzebali, nędznicy! Prowadź do celi Cagliostra, bo cię rozsiekam!

Sierzant poprowadził ich do jednej z cel próżnych i drzwi otworzył. Była to cela, w której więziono tego słynnego awanturnika. Cagliostro skracał sobie czas więziennej samotności kabbalistyką. Ściany celi okryte były rysunkami dziwnemi; koła, gwiazdy, mistyczne znaki, symboliczne figury i postacie, opatrzone w napisy i nieodgadnione hieroglify, okrywały mury więzienia.

Magister Szmok wszedł pierwszy do sali i ledwie się w niej znalazł, padł na kolana z komicznem nabożeństwem. Potem powstał, a ujrzawszy na ścianach rysunki, aż podskoczył do góry z radości i zawołał:

— Ja to odczytam, odcyfruję wszystko! Zamknijcie mnie z temi śladami wielkiego umysłu! Tobiasz Szmok odda światu spuściznę Cagliostra. W tych znakach kabalistycznych wyczytam tajemnice cudowne, sekret filozoficznego kamienia i arcanum transmutationis!

I wydobywszy swą teczkę z papierami, zabrał się zaraz do kopiowania figur, narysowanych na ścianie, głuchy i ślepy na wszystko, co go otaczało. August i Wieruski zostawili magistra w celi Cagliostry, a sami udali się na zwiedzenie dalszych lochów.

Między więźniami, trzymanymi w San Leo, znajdowali się oprócz prostych zbrodniarzy także

więźniowie polityczni, którzy poźniej na rozkaz Dąbrowskiego powypuszczani zostali na wolność. Więźniowie ci rzucali się z wybuchami najwyższej radości w objęcia swych polskich wybawców, błogosławiąc chwili, w której losy wojny sprowadziły ich pod mury papiezkiej warowni.

Minąwszy znaczną część podziemnych więzień weszło nasze grono do celi, ciemniejszej jeszcze i straszniejszej niż poprzednie. Gdy przez drzwi otwarte wtargnęło trochę światła do więziennej komórki, ujrzano w kącie na barłogu postać, wzbudzającą litość. Był to starzec z długą siwą brodą, z twarzą znękaną poźnym wiekiem i przebytemi cierpieniami. Starzec ten ubrany był w resztki długiego, żydowskiego chałatu.

Więzień ujrzawszy wchodzących, powstał z barłogu, i jakby mu widok obcych ludzi dodał sił i otuchy, szybko się zbliżył do grona oficerów polskich.

Wieruski spojrzał nań przeciągle i zawołał z najwyższem zdumieniem:

— Mocny Boże! Auguście, jeźli mnie oczy nie mylą... to ów żyd, o którym ci mówiłem, to Rabbi Nehemiasz!

— Nehemiasz? — zawołał zdumiony August — Czyś ty Nehemiasz, starcze?

Na odgłos polskich słów i wymienionego nazwiska twarz starca rozpromieniła się najżywszą radością. Chwilkę stał niemy, jakby odurzony tą sceną, a potem wzniosłszy dłonie w górę zawołał po polsku:

— Mocny Boże! było wasze pierwsze słowo. O tak mocnym jest Bóg, potężnym jest Jehowa! Mocnym jest Bóg i kruszy zamki i żelaza, a ludźmi rzuca po najdalszych stronach świata, jako prochem pustyni... Niech będzie pochwalonym! Tak, nie łudzi was wzrok, ja jestem Nehemiasz!

— Jakżeż się to stało, że znajdujesz się tu, w dalekiej obczyźnie i to w więzieniu?

— Jak się to stało? — odparł Nehemiasz. — Wola w tem boża i mądre jego zrządzenie!... Chciał on wypróbować sługę swego... i zesłał nań niedolę i męczarnię. Rabbi Nehemiasz chciał służyć Bogu rozumem swym i nauką, i tułał się po świecie całym, aby zwodzić spory z mędrcami religii. Bóg zesłał na mnie nieszczęście, i w nieszczęściu tem z cierpień i katuszy poznałam go lepiej, niż z ksiąg i sporów uczonych. Niech będzie sławiony po wieki!

— Za cóż was tu zamknięto, Nehemiaszu? — zapytał August.

— Jeździłem po różnych krajach — odparł rabin — i staczałem dysputy religijne. Znają z tych

rozpraw starego Nehemiasza wszyscy uczeni zakonu. W tym celu przybyłem do Rzymu i wyzwałem uczonych teologów na dysputę religijną. Z początku odepchnięto z śmiechem pogardy żyda, aż nareście zgodzili się na rozprawę. Mniemali, że przekonają mnie i że przyjmę ich wiarę. Ale nie przekonali mnie i nie dowiedli, aby wiara Izraela gorszą była od wiary, którą postawił Chrystus Nazareńczyk. Kazano mi przechrzcić się, a gdy nie chciałem tego uczynić, wrzucono mnie do tego więzienia, i tu jęczę już długi czas w opuszczeniu i błagam Pana, aby powołał mnie do siebie z niedoli!

— Jesteś wolnym Nehemiaszu! — rzekł August — twierdza w naszym jest ręku!

— Niechaj Pan wojny i zwycięztwa, co wspierał Machabeuszów, pobłogosławi miecze wasze! — zawołał rabin tonem nabożnego namaszczenia — niechaj On, Pan nad Pany, i Wódz nad Wodze, rozprószy w niwec i porazi waszych wrogów, jak ongi męże Babylonu i Filistyńskie! Na wolności będąc jeszcze słyszałem, że wy synowie ziemi polskiej, na której ja wzrosłem i umrzeć pragnę, we Włoszech zwodzicie boje. Oby wasz miecz był zwycięzkim, obyście powrócili do ojczyzny waszej, jak Izrael do Kanaan, i wrogów jej rozgromili,

a potem oręże złożyli w spokoju i szczęściu! *)

— Chodźmyż ztąd, Nehemiaszu — rzekł August — nie przedłużajmy pobytu w tej ciemnej celi. Damy wam zasiłek, abyście mogli powrócić do swoich!

— Nie potrzebuję zasiłku. U moich współwyznawców rzymskich złożyłem znaczne pieniądze, a skrypta na nie ukryłem przed okiem nadzorców.

Rzekłszy to Nehemiasz, wskazał na swój chałat i dodał:

— Tu zaszyty jest mój majątek. Mam tu wszystkie moje papiery. I to, coś mi pan powierzył— rzekł zwracając się do Wieruskiego — pamiętasz pan w tej karczemce, kiedy cię gnano w niewolę... i to przechowałem!

---

*) Umieszczając tę osobę swojej powieści (Nehemiasza) w więzieniu San Leo, opierał się autor na prawdziwem zdarzeniu, które opowiada szef legionu Drzewiecki w swych pamiętnikach: „Na ten raz — pisze Drzewiecki — sami prawie złoczyńcy i kilku tylko było żydów, (w więzieniach San Leo); jeden z nich, żyd polski przybył, aby koniecznie dysputować z teologami kościoła, co mu dozwolonem było w nadziei nawrócenia. Dni kilka odbywała się ta dysputa, a gdy żyd uporu więcej, jak przyczyn miał za sobą, wzięto go w areszt i do San Leo odesłano. Jenerał Dąbrowski uwolnić go kazał.“ (str. 93).

— Możesz teraz oddać papiery wprost temu, do którego należą — odpowiedział wskazując na Augusta Wieruski — oto jest młody Szczytowski!

Żyd uważnie spojrzał na Augusta i rzekł:

— Bóg wybiera sprawiedliwych za narzędzie swej łaski. Wasz ojciec i wasz dziad sprawiedliwi byli panowie, a Nehemiasz wspominać o nich będzie zawsze z wdzięcznością — a teraz pan przybywasz, aby odewrzeć zamki mego więzienia. Niechaj ród twój będzie zawsze w łasce u Przedwiecznego!

Rzekłszy to Neheniasz rozpruł chałat i wydobywszy zeń plik papierów, przejrzał je uważnie i wybierając z pomiędzy nich pismo opieczętowane, wręczył je Augustowi:

— To pismo ojca twojego — rzekł Wieruski.

August z pietyzmem i głębokiem rozrzewnieniem ucałował list rodzica. Wybiegł zaraz z więzień i zdarłszy pieczęci czytać go począł. List zmarłego na drugiej półkuli świata wygnańca był do głębi wzruszającym. Podkomorzy otwierał serce swe przed synem swym—jak się wyrażał— „nieznanym, nieoglądanym nigdy“, którego imienia nawet nie znał, którego w życiu nigdy poznać już nie miał. Najserdeczniejsze uczucia miłości i tęsknoty ojca łączyły się z szlachetnemi upomnieniami człowieka, który wiele cierpiał, wiele po-

święcił w życiu i własne cnoty przelać chciał w duszę swego nieznanego potomka.

W liście swym dawał także podkomorzy obszerną informacyę Augustowi co do wszystkich stosunków familijnych i majątkowych, których sam nie mógł uporządkować. Znajdowały się w tej informacyi wskazówki najważniejsze dla Augusta, bo odnoszące się do tak haniebnie podanych w podejrzenie związków ślubnych jego rodziców. Miał teraz dowody w ręku, że potwarz i ohydne machinacye tylko napiętnowały go jako potomka nieprawych związków i wydarły mu spuściznę rodzinną. Informacya wskazywała szczegółowo, gdzie August w razie potrzeby znaleźć może potrzebne dokumenta i dowody. Z dowodami temi w ręku mógł August zaraz po powrocie do Polski wykazać cześć i prawowitość swego pochodzenia i z drogiej zagrody ojczystej wygonić nikczemnika, który zdradą i szalbierstwem ją posiadł.

August nie posiadał się i z rozrzewienia i z radości. Zdawało mu się już na chwilę, że wszystko posiadł, o czem marzył, że wszystko uzyskał, co mu los i wrogi wydarły — że do szczęścia nic mu już nie brakło... Wkrótce jednak przypominał sobie z goryczą, że na dnie serca jego spoczywa jeszcze jedno uczucie niezaspokojone, jedno marzenie nieziszczone, że bez Gabryeli szczęście dla

niego jest marą, za którą daremnie gonić, ku której daremnie tęsknić będzie...

Niedługim był pobyt legionów w San Leo. Po zajęciu i zapewnieniu sobie tej warowni otrzymało wojsko rozkaz powrotu do Rimini. August i Szczytowski znajdowali się w przedniej straży. Ledwie oddział ten o ćwierć milę oddalił się od San Leo, gdy doznał niespodziewanego napadu. Oddział wojska rzymskiego, złożonego głównie z Szwajcarów, który pierwotnie miał pospieszyć na odsiecz warowni, ale spóźniwszy się, wracał bez wystrzału, dał do przedniej straży z zasadzki ognia...

August padł na ziemię ugodzony kulą w piersi. Legioniści, którzy odparli w tej chwili niespodziewany atak, mniemali że młody oficer poległ. Ale na szczęście po krótkich trzeźwieniach August ocknął się w ramionach Wieruskiego i Mykity, który go już opłakiwał jako nieżywego.

Zatamowano krew płynącą, i opatrzono według możności ranę bandażami. Złożonego na prędko skleconych noszach, żołnierze dźwigali w dalszym marszu młodego porucznika. Wieruski szedł obok rannego i zapytał go:

— Jakże ci teraz, chłopcze kochany? Nieprawdaż, nie potrzebujemy drzeć o twoje życie?

— Drogi ojcze rotmistrzu, dziękuję za współczucie — szepnął słabym głosem ranny — ale podobno już wykreślicie mnie z kontroli... Czuję, żem ugodzony śmiertelnie.

Wieruski chciał go uspokoić. August uśmiechnął się i rzekł:

— Nie rotmistrzu... ja się nie boję śmierci. Ale prośbę mam do was. Kto wie, czy nie jestem na rozstaju, a umierającym przebacza się nawet dziecinne zachcenia. Gdy miniemy San Marino, wskażę ci willę małą, którą będzie można widzieć z drogi, którą pójdziemy. Tam mnie zanieście. Jest to willa księcia Albergati. Jeżeli mam umrzeć, to tam chciałbym umrzeć, tam jest ona... to jest portret jej — Gabryeli... Chciałbym oglądać go raz jeszcze i zapatrzony w tych drogich rysach skonać...

Po tych słowach wpadł August w omdlenie kilkuminutowe, które się kilka razy powtórzyło.

. . . .

Było to w pięknej willi księcia Albergati, w tym samym gabinecie, który już znamy, kiedy August obudził się z kilkunastogodzinnego otrętwienia, które miało prawie charakter letargu. Przed łóżkiem jego siedział Wieruski i trzymając dłoń jego patrzał mu w bladą twarz z ojcowskiem prawdziwie współczuciem. August obudziwszy się

uśmiechnął się z wyrazem wdzięczności i uścisnął słabo dłoń swego sędziwego przyjaciela.

— Lepiej mi — rzekł prawie wesoło — czuję się pokrzepionym. Zdaje się, że zatrwożyłem was niepotrzebnie...

— Tak chłopcze drogi — odparł Wieruski — wkrótce będziesz zdrów jak ryba. Lekarz księcia opatrzył twą ranę, nie jest wcale niebezpieczną, a zatrważające symptomata były tylko skutkiem wielkiego upływu krwi, której zatamować nie umieliśmy.

— Spełniłeś wolę moję; dziękuję ci rotmistrzu— rzekł August poznając pokój, w którym już raz przebywał.

— A przypadek spełnił stokroć więcej niż ja — rzekł wybuchając radośnie rotmistrz.

W tej chwili jednak jakby się swych słów nastraszył, położył palce na ustach i zafrasował się żywo. August z zdziwieniem nań spojrzał.

— At co tam! — zawołał nagle Wieruski — Auguście wszakżeś żołnierz! Potrafisz mężnie znieść radość, tak jak mężnie znosiłeś smutek?..

— Nie rozumiem cię, rotmistrzu.

— Włoski d o t t o r e strułby mnie, gdyby wiedział, jak łamię jego zakaz. Powiada on, że każde silne wzruszenie byłoby zabójczem... Ale tyś chwat!

żołnierz a ja niecierpliwy twego szczęścia, które będzie cudownym balsamem na twoją ranę...

— Cóż to takiego? mówisz jak sfinx, kochany ojcze!

— A przyrzekasz mi waść, że będziesz spokojnym?

— Przyrzekam — zapewnił August pełen zdziwienia.

— Słuchaj tedy kawalerze. Ale baczność! Spokój! zimna krew! Chciałeś widzieć konterfekt a tymczasem zobaczysz żywy oryginał!

— Co ty mówisz, rotmistrzu!—zawołał August i chciał się porwać z łóżka.

— Hola, hola! a słowo!—zawołał przytrzymując go rotmistrz.

— Będę spokojnym, jak lód, ale mów rotmistrzu!

— Otóż wiedz wasze, że tu przed godziną czuwała nad tobą panna starościanka Modrowska z swą matką, a tyś spał jak kamień, kawalerze!

August osłupiał z zdumienia i nieopisanej radości.

— Tak jest — potwierdził Wieruski z rozpromienioną twarzą — są tu... i pani twego serca i jej matka. Jaki traf je tu nadniósł, o tem się dowiesz później, a teraz powiem ci tylko, żem wziął na konferencyę starościnę, żem jej wszystko już odkrył, że się kobiecina spłakała serdecznie,

żem obcesowo wystąpił jako twój swat i że wszystko przyjęto!..

Zdumienie, radość, wzruszenie gwałtowne odjęły mowę Augustowi. Nie wiedział czy to sen dziwny, szalony, zdradziecko igrający z jego zmysłami — czy to rzeczywistość. W głowie mu się mąciło, krew wszystka jedną falą biła w serce...

W tej chwili z lekka, ostrożnie drzwi się uchyliły i do pokoju chorego weszły dwie kobiety.

Była to Gabryela i jej matka.

August wydał okrzyk i poruszył się żywo, tak że Wieruski musiał go przytrzymać.

Starościna zbliżyła się do rannego i biorąc go za rękę rzekła rozrzewnionym głosem:

— Wiem o wszystkiem panie Auguście! Patrz, drzę cała jeszcze od zgrozy, którą mnie przejęło opowiadanie pana Wieruskiego!.. Krew się ścina na te okropne odkrycia! Nie mówmy o nich, jeżeli można zapomnijmy... Dziwne drogi obrała sobie Opatrzność Boska....

August okrył rękę starościny pocałunkami— a chwytając następnie dłoń Gabryeli zawołał z uniesieniem:

— O tak! zapomnijmy! Zapomnijmy nawet cierpień naszych i naszej rozpaczy, panno Gabryelo! Czyż szczęście niewysłowione, które uśmiecha mi się w tej chwili, nie wynagradza nam ich sto-

krotnie... O Boże mój, Gabrycelo! czy to nie sen czarowny! O nie, to nie sen! a jeźli sen, to bez przebudzenia! Gabrycelo! wszakże nigdy! nigdy! się już nie rozłączymy!

— Nigdy!...—powtórzyła Gabrycela z zachwytem i spojrzała na Augusta wzrokiem, z którego promieniło się nieprzebrane uczucie szczęścia.

XV.

PUBLIKACYA WYROKU.

W kilkanaście dni po odjeździe nagłym pani staróściny i jej córki z Modrowa, zjechał do starego dworu major Rozworski z prawną assystencyą i objął go tytułem zastawu w posiadanie. Wiemy już, że Rozworski, korzystając z zaufania staróściny wyzyskał swą sytuacyę tak zręcznie, że cały majątek staróścinski każdej chwili przejść mógł w jego ręce.

Rozgniewany w najwyższym stopniu odprawą, którą mu dawał list zostawiony przez staróściny, przywiedziony do wściekłości nagłem rozwianiem się swych nadziei, które już za spełnione uważał, Rozworski szukał ulgi w zemście i nie zawahał się użyć przygotowanych już oddawna repressaliów.

Staróścina wyjeżdzając nagle do Włoch a przygotowana na machinacye Rozworskiego powierzyła opiekę nad majątkiem jednemu z najzrę-

czniejszych mecenasów lwowskich. Adwokat wziął się szybko do dzieła, ale nie obiecywał prędkich rezultatów. Rozworski obmyślał i wykombinował wszystko przebiegle i zajął stanowisko, z którego trzeba go było wypierać powoli, uporczywie, stopa za stopą, uciekając się do procesu.

Majątek starościński stał się tedy ofiarą grabieży. Rozworski przybył sam do Modrowa, aby kierować zajęciem i uregulować stosunki swej nowej zdobyczy. Od doby mieszkał i rozkazywał już w modrowskim dworze.

Stary sługa starościński Łukasz, zostawiony na straży dworu przez starościnę, jakby gromem porażony został widokiem tego najazdu. Byłby stawił opór Rozworskiemu, byłby może do gwałtu się posunął licząc na sukurs podwładnej sobie służby, ale mecenas lwowski dał mu wyraźną i ostrą instrukcyę, aby nie psuł sprawy żadną gwałtowną awanturą. Wypadki te smutne złamały bardziej poczciwego Łukasza, niż ośm krzyżyków, które dźwigał na swych barkach. Wychudły, zgarbiony, blady—stary sługa wyglądał jak upior.

Po izdebce, którą zamieszkiwał w oficynie, Łukasz chodził w ponurem zamyśleniu; w głowie plątały mu się myśli chaotycznie, a w sercu czuł ból srogi. Zdecydował się opuścić dwór Modrowski, w którym posiwiał, i przenieść się do miasta.

Począł pakować w kuferki odzież swą i drobne graty, ale robota ta nie szła mu jakoś, i dwoiła tylko serdeczną żałość poczciwego sługi. Gdy tak kręcił się po swojej izdebce, otwierając machinalnie wszystkie schowki i niby się pakując, a w istocie rozrzucając tylko graty po podłodze, usłyszał Łukasz turkot na dziedzińcu.

Z przyzwyczajenia raczej niż z ciekawości, bo po zaszłej katastrofie nic go już nie obchodziło, wyszedł Łukasz z izdebki i ujrzał na dziedzińcu chłopski wózek, z którego właśnie zsiadał jakiś oryginalny staruszek.

Ubrany był po polsku, w starym kontuszu granatowym z karmazynowemi wylotami, a na głowie miał wysoką, czworograniastą czapkę. Twarz jego była chuda, koścista i bliznami zeszpecona, a pod długim i załamanym nosem sterczał wąs siwy, pożółkły.

Po opisie takim prawie dodawać nie potrzebujemy, że to był stary nasz znajomy, woźny Nemezy.

Ujrzawszy Łukasza i domyślając się w nim domownika, zbliżył się do niego Nemezy, uchylił czapki i rzekł:

— Chcę mówić z JW. panią staróściną Modrowską...

Łukasz popatrzył prawie nieprzytomnie na gościa i nic nie odpowiedział.

— Jestem Nemezy Kapica, urzędnik Najjaśniejszego trybunału Lubelskiego. Przybywam z daleka, umyślnie, z ważnym bardzo interesem do JW. starościny.

— Zapoźno się wasze wybrał — odparł smutno Łukasz — pani starościny nie ma, wyjechała w podróż daleką, kto wie, kiedy wróci, a choć wróci, to już nie tu...

Zafrasował się na tę odpowiedź Nemezy i rzekł:

— Muszę tedy widzieć się z kimś, co ją tu zastępuje, a przynajmniej dowiedzieć się, jaką drogą mogę ją uwiadomić o sprawie bardzo ważnej.

— Nie masz tu nikogo — odparł Łukasz — ktoby w ważnych sprawach mógł zastąpić panią starościnę. Ja jeden tu zostałem stary sługa, i oto wynoszę się także, bo dwór i majątek grabieżą przeszedł w łotrowskie ręce.

— Jeżeli was łączy jaki związek z tym domem — rzekł uroczyście Nemezy — tedy wy mnie wysłuchać musicie. Mam wam udzielić odkrycia, które potem zakommunikuję za waszą poradą nieobecnej tu starościnie...

— Proszę więc za sobą, panie Kapica — odpowiedział Łukasz — gościny wam dać nie mogę,

bo sam uciekam ztąd dziś jeszcze, ale na tyle starczy mi jeszcze czasu, aby was wysłuchać.

Weszli obaj do izdebki w oficynach, a woźny tak zaczął:

— Dawno już miałem tu przybyć i srodze sobie wyrzucam, że dziś dopiero to czynię. Ale przesiedziałem długi czas w areszcie niemieckim w Lublinie. Niemcy wmieszali się w sprawę, która ich nie obchodziła, chcieli ze mną spisywać protokoły o testament i schedę pana deputata Strzetuskiego, który mnie wyłącznie i formalnie egzekutorem swej ostatniej woli uczynił. Człek się uniósł, poturbował Niemców i w kałauzie za to pokutował. Dla tego teraz dopiero spełniam polecenie, które zdała na mnie ostatnia wola właśnie tegoż śp. deputata, o którym wspomniałem. A teraz słuchaj wasze i przygotuj się, że dowiesz się o rzeczy straszliwej...

Po tym wstępie Nemezy począł opowiadać Łukaszowi szczegóły, które wiadome już są naszym czytelnikom. Gdy Łukasz dowiedział się o zbrodni Rozworskiego, zapłonął szalonym gniewem. Na twarzy jego drzał muszkuł każdy, brwi najeżyły się groźnie, a z oczu strzelały mu błyskawice najwyższego oburzenia. Zacisnął pięści z wściekłością i tonem urywanym, stłumionym od namiętnego gniewu zawołał:

— Boże straszliwego majestatu! I ta żmija ohydna gniazdo sobie obrała w tym domu! Morderca ojca poważył się sięgnąć po dłoń córki! Słuchaj mnie! ja strasznie pomszczę się na nim! On tu jest! on tu dziś panem! on grabieżą wydarł dziś mienie wdowie! Ale on żyw nie wyjdzie z tych progów, ja go zabiję!

I Łukasz w uniesieniu swem porwał ze ściany parę pistoletów i jak szalony ku drzwiom się rzucił. Nemezy chwycił go za ramię i zatrzymał.

— Pohamuj się człowiecze — począł mitygować Nemezy — ja sam go zabić jestem gotów, i mam większe prawo zabić go, niźli ty!... Zważ to, co mówię: mam prawo... Jam sługa sprawiedliwości, a na nim ciąży wyrok śmierci, wydany przez sąd wojenny konfederacki. Sąd ten choć ferowany w niewoli, wydany został formaliter i legaliter! Rozworski stoi pod rygorem liberae captivationis et colli. Ale ja inny mam plan na teraz. Pójdziemy zaraz do niego, a ja z nim pomówię. Zmusimy go, aby natychmiast podpisał prawny reces i zrzekł się nietylko swych pretensyi do Modrowa ale i do całego majątku podkomorzyca Szczytowskiego... Wydrzemy żądło żmiji, zostawiając życie plugawe!

Długo musiał perswadować Nemezy, nim Łukasza nieco uspokoił. Gdy się woźny przekonał,

że Łukasz ochłonął już nieco z szalonego uniesienia, wziął z rąk jego pistolety, opatrzył panewki i za swój pas wełniany włożył.

— Teraz prowadź mnie do zbrodniarza — rzekł poważnie Nemczy — a na miłość Bożą nie mieszaj się do niczego. Gdybyś go zabił, byłoby to proste zabójstwo; jeżeli padnie z rąk moich, będzie to tylko wymiar sprawiedliwości. Wiedz o tem, żem ja urzędnik Najjaśniejszego Trybunału!

Rzekłszy to z namaszczoną i uroczystą miną, Nemczy puścił naprzód Łukasza, a sam tuż za nim postępował.

Minęli podwórze i weszli do dworu. Łukasz przeszedł sień i szeroki korytarz i zatrzymawszy się przed drzwiami, rzekł:

— Tu zapewne go zastaniemy!...

— Czekajże wasze! Czy drzwi te wprost prowadzą do pokoju?

— Nie, od pokoju przegradza je przedpokój.

Nemczy zdjął czapkę, zarzucił ją na rękojeść swej starej karabeli, wyprostował się, przybrał minę uroczystą i zastępując drogę Łukaszowi zawołał dobitnym, poważnym głosem:

— Ucisz się mościpanie! Otworzę i zamknę drzwi!

A zwracając się do Łukasza dodał:

— Człowiek ten uważanym być może jako winny zbrodni kapitalnej i jako na śmierć skazany. Ceremoniał trybunalski nakazuje, aby przed odczytaniem wyroku gardłowego po trzykroć otworzyć i zamknąć drzwi. Ucisz się tedy i czekaj: oto otwieram i zamykam drzwi!

Rzekłszy to z głębokiem przeświadczeniem, iż spełnia funkcyę swą sumiennie, Nemezy po trzykroć otworzył i z trzaskiem ogromnym zamknął drzwi. Echo odezwało się przeraźliwym odgłosem w całem domostwie. Nemezy i Łukasz weszli do przedpokoju, w którym spotkali kozaczka, pytającego się o powód hałasu.

— Pan twój jest w pokoju? — zapytał woźny.

Chłopak potwierdził.

— Wynoś się tedy ztąd natychmiast! — zawołał rozkazująco Nemezy i wypychając chłopaka do sieni, zasunął za nim rygiel.

Gdy weszli do pokoju, Rozworski wybiegł naprzeciw nich z groźnym marsem na czole.

— Co to znaczy? — zawołał. — Kto się poważył trzaskać tu drzwiami.

Nemezy powoli, poważnie wysunął się naprzód i odpowiedział:

— Ja.

— Czego chcesz tutaj, kto ci wejść pozwolił?

Nemczy nic nie odpowiedział, ale wyciągając z zanadrza papier jakiś rozwinął go i głosem stentorowym czytać począł.

Był to wyrok ferowany na Rozworskiego przez starszyznę konfederacką w Zawichoście.

Major z początku ruszył się niecierpliwie z miejsca, jakby chciał wypchnąć za drzwi nieproszonych gości, lecz zaraz pierwsze słowa czytanego aktu przykuły go do ziemi...

Słowa wyroku zdawały się nań padać piorunnemi grotami...

Stał niemy, nieruchomy, drżący... Twarz jego pobladła okropnie, na czoło wystąpiły krople potu, a w błędnych oczach malowało się przerażenie...

Chciał się ruszyć, krzyknąć, chciał odepchnąć od siebie tego upiora, którym mu się wydał woźny, lecz ciężka zmora ołowianem brzemieniem gniotła mu piersi, a nogi odmawiały posługi...

Tymczasem z ust Nemczego grzmiały olbrzymim głosem straszliwe słowa wyroku, a wzrok Łukasza pełen pogardy i nienawiści tkwił bezustannie w obliczu majora...

Rozworski wyglądał jak zbrodzień oddany oprawcom...

Zdawało mu się, że stracił władzę wszystkich zmysłów z wyjątkiem słuchu.

W uszach jego brzmiały słowa manifestu konfederackiego, jak grom potępienia, jak echo dobywające się z grobu... jak okropny głos zemsty... Szumiały mu one w głowie, wpijały się w mózg, kruszyły pierś i serce lodem ścinały.

Gdy woźny skończył, Rozworski skoczył nagle z miejsca, porwał pistolet leżący na stole i strzelił... Strzał chybił a major wydając z siebie okrzyk, rzucił się ku drzwiom i odtrąciwszy od siebie Nemezego i Łukasza, którzy go zatrzymać chcieli, wybiegł na korytarz a ztamtąd na podwórze... Tu nagle padł i już nie powstał...

Gdy służba nadbiegła i podniosła go z ziemi, był bezprzytomnym... Zaniesiono go do pokojów, i złożono na łóżku. Rozworski był w gorączce. Majaczył straszliwie, krzyczał i targał się jak opętany, porywał za broń i rzucał się w napadzie szalonej jakiejś furyi na obecnych...

Przybyły lekarz daremnie używał środków łagodzących... Kilka dni szarpał się i rzucał Rozworski w malignie, aż wreszcie po okropnem i długiem pasowaniu się silnego organizmu ze śmiercią, wyzionął ducha...

Najprzewrotniejszych, najzuchwalszych nawet ludzi pamięć popełnionej zbrodni straszy ustawicznie widmem okropnem. Bezpieczny, bezkarny,

tryumfujący Rozworski czuł, że upior krwawy w piersi jego na zawsze obrał sobie siedlisko... Niespodziewane odkrycie zbrodni, straszne echo odzywające się po długim lat szeregu, sprawiło na nim zabójcze wrażenie.
